

Kenzaburo Oë

**Zerwać pąki, zabić
dzieci**

1. Powitanie

Dwóch naszych chłopców uciekło w nocy, więc o świcie tkwiliśmy wciąż w tym samym miejscu. Najpierw rozwieszaliśmy na bladym jeszcze słońcu nasze sztywne od wilgoci zielone płaszcze, a potem gapiliśmy się na brązową rzekę za szpalerem figowców, ścieżką holowniczą i niskim żywopłotem. Wczorajsza ulewa wyźłobiła w ścieżce głębokie bruzdy, którymi teraz płynęła całkiem czysta woda. Wartki nurt rzeki, wezbranej od deszczu, topniejących śniegów i wody z pękniętej tamy, niósł z dzikim rykiem padlinę: psy, koty i szczury.

A potem na ścieżkę wyległy wieśniaczki z dziećmi. I kobiety, i dzieci, jakby zawstydzone, patrzyły na nas z zaciekawieniem, ale też bezczelnie; coś tam między sobą szeptały i co chwila wybuchały śmiechem. A to nas wkurzało. Dla nich byliśmy istotami z innej planety. Niektórzy podeszli do żywopłotu, wyzywająco mierząc w wieśniaczki przyrodzeniami przypominającymi dojrzewające morele. Jakaś kobieta w średnim wieku przepchnęła się przez tłumek rozchichotanych i podekscytowanych dzieci. Z zaciśniętymi wargami i czerwonymi od śmiechu policzkami gapiała się na nas, rzucając towarzyszkom z niemowlętami na rękach sprośne uwagi pod naszym adresem. Ta zabawa powtarzała się już tyle razy w każdej z mijanych wiosek, że przestało nas bawić bezwstydnne poruszenie, jakie w tych wiejskich babach wywoływał widok naszych genitaliów, obrzezanych tak, jak to zwykle robi się chłopcom z poprawczaka.

Postanowiliśmy nie zwracać uwagi na bandę gapiów za żywopłotem. Jedni z nas krążyli po tej stronie ogrodzenia jak zwierzęta w klatce, inni poroziadali się na spalonych słońcem kamiennych płytach i wpatrywali się w blade cienie liści na ciemnobrązowej ziemi, czubkami palców kreśląc w niej ich drżące, niebieskawe zarysy.

Tylko mój brat nie odwracał wzroku przed natarczywymi spojrzeniami wieśniaczek. Stał przy żywopłocie, opierając się o twarde, skórzaste kamelie, upstrzone kroplami opadłej mgły, które zraszały przód jego płaszcza. Dla niego te baby były jak przedziwne, intrygujące stwory. Od czasu do czasu podbiegał do mnie i paplał mi do ucha wysokim, podekscytowanym głosem, z zachwytem opisując jaglicze oczy i spękane wargi dzieci albo wielkie, szerniałe i zgrubiałe od pracy na roli

paluchy kobiet. Widziałem, jaką ciekawość on z kolei budzi wśród wieśniaczek, i byłem dumny z jego lśniąco różowych policzków i pięknych, błyszczących tęczówek.

Tylko że obcy, zamknięci jak dzikie zwierzęta w klatce i wystawieni na wzrok innych, muszą nauczyć się wieść bezwolną, ślepą egzystencję kamienia, kwiatu czy drzewa, czyli po prostu tylko trwać. Mój brat, ponieważ wciąż się gapił, to w policzki uderzały go gęste, żółtawe kulki flegmy, zwijane na językach kobiet, i kamyki rzucające przez dzieci. On jednak tylko ocierał twarz wielką, wyszywaną w ptaki chustą i wciąż się dziwił, dlaczego go obrażają.

Jak widać, mój brat nie dorósł jeszcze, by przywyknąć do życia pod obserwacją, do życia zwierzęcia w klatce. Ale my wszyscy - tak. My z pewnością dorośliśmy i przywykliśmy do wielu rzeczy. Wiedzieliśmy, że musimy uparcie iść do przodu, przystosowując i ciała, i umysły do tego, co spotykało nas codziennie. Bicie do krwi, omdlenia - to był dopiero początek; ci, którym przydzielono na miesiąc, by opiekowali się psami policyjnymi, ryli brzydkie słowa na ścianach i podłogach młodymi palcami, zdeformowanymi już przez silne zęby głodnych psów, które karmili co rano. Mimo to wytrącił nas z równowagi widok naszych dwóch uciekinierów, których przyprowadził strażnik z policjantem. Byli kompletnie wykończeni.

Kiedy strażnik gadał z policjantem, my otoczyliśmy naszych dwóch dzielnych kolegów, którym tak nieszczęśliwie się nie udało. Mieli podbite oczy, zaschnięte strupy krwi na wargach i we włosach. Wyjąłem spirytus z mojej apteczki, przemyłem im rany, połałem je jodyną. Jeden z nich, starszy, dobrze zbudowany, podwinął nogawkę: na wewnętrznej stronie uda miał olbrzymi siniak po kopniaku. Nie mieliśmy pojęcia, jak się coś takiego leczy.

- Miałem w nocy wydostać się przez las do portu. Miałem dostać się na statek i odpłynąć na południe - powiedział z żalem.

Śmialiśmy się głośno, choć wciąż byliśmy zdenerwowani. On ciągle tęsknił za południem i zawsze opowiadał to samo, więc przeżywaliśmy go Minami - Południe.

- Ale złapali nas chłopci. I dali mi niezły wycisk. A przecież nie ukradłem im nawet jednego ziemniaka. Potraktowali nas jak szczury.

Krzyczeliśmy z podziwu i złości na ich odwagę i na brutalność wieśniaków.

- A mało brakowało, żebyśmy dotarli do drogi do portu. Potem już tylko ukryć się pod budą ciężarówki, i zaraz bylibyśmy w porcie.

- Ech - westchnął młodszy. - Byliśmy już tak blisko...

- Ale się nie udało - przerwał mu Minami, oblizując wargi. – Bo znowu musiał rozboleć cię brzuch.

- No.

Młodszy z uciekinierów wciąż był blady - cały czas bolał go brzuch. Teraz zwiesił głowę ze wstydu.

- Zbili was? - zapytał mój brat. Oczy mu błyszczały.

- Zbili to mało powiedziane - odparł Minami z dumą i pogardą. - Wywijiałem im się, póki mogłem, więc jak mnie złapali, byli tacy wściekli, że chcieli mi rozkwasić dupę motykami.

- Motykami! - powtórzył z zachwytem brat.

Kiedy policjant wreszcie sobie poszedł, rozgoniwszy najpierw tłum po drugiej stronie żywopłotu, strażnik zwołał nas wszystkich. Najpierw sprzął po twarzy Minamiego i jego współnika, rozmazując im na nowo krew na ustach, po czym skazał ich na całodzienną głódówkę. Ponieważ był to bardzo łagodny wyrok, a w dodatku strażnik nie bił jak strażnik, i w ogóle obszedł się z nimi jakoś tak bardziej po ludzku, uznaliśmy, że chce przywrócić jedność naszej grupy.

- Nie próbujcie znów uciekać - odezwał się strażnik, odchrząknął i zaczerwienił się. - Z takiej odciętej od świata wsi daleko nie uciekniecie. Nienawidzą was tu jak trądu i zabiją bez wahania. Łatwiej byłoby wam zwać z więzienia.

Miał rację. Wszystkie nasze uciezki, a jeszcze bardziej ich daremność, nauczyły nas, że choć wędrujemy od wioski do wioski, wznosi się wokół nas wciąż ten sam gigantyczny mur. Dla wieśniaków byliśmy jak drzazga za skórą - parła na nas ze wszystkich stron zwarta, przytłaczająca masa ciał. Odziani w twardą zbroję swej wspólnoty chłopie nie lubią wpuszczać obcych między siebie, a co dopiero pozwalać im wśród siebie żyć. Nasza mała gromadka dryfowała więc po tym morzu, które nigdy nikogo do siebie nie przyjmowało, tylko zawsze z powrotem odrzucało na brzeg.

- Powiem wam, że nigdzie nie bylibyście tak dobrze pilnowani. Widać, że wojna też na coś się przydała - ciągnął strażnik, ukazując w uśmiechu mocne zęby. - Ja bym tam nie dał rady wybić Minamiemu przednich zębów, ale ci chłopie mają twarde pięści.

- Dostałem motyką - wtrącił z satysfakcją Minami. - Od takiego jednego starego.

- Nie gadać bez pozwolenia! - krzyknął strażnik. - I za pięć minut macie być gotowi. Do wieczora musimy być na miejscu. Jak się nie pośpieszycie, to nie dostaniecie nic do żarcia. Ruszać się!

Z okrzykiem radości popędziliśmy po nasze rzeczy do starej szopy na jedwabniki, przydzielonej nam na ostatnią noc. Pięć minut później rzeczywiście byliśmy gotowi do wymarszu. Towarzysz nieudanej ucieczki Minamiego pojękiwał lekko i rzygał na jasnoróżowo w kącie żywopłotu. Ustawiliśmy się w szeregu na ścieżce i zaintonowaliśmy powolną, sprośną przyśpiewkę z naszego poprawczaka. Wywrzaskiwaliśmy jej pseudopobożny refren tak długo, aż nasz kolega przestał rzygać. Zdumione wieśniaczki znów otoczyły nas - piętnastu śpiewających niedożywionych chłopców w zielonych pelerynach. A nas jak zwykle rozsadzało uczucie upokorzenia i zapiekła wściekłość.

Kiedy więc skończył rzygać i gdy wreszcie wykichał z nosa ziarno pszenicy, które mu tam utkwilo, ruszyliśmy w drogę, wybijając rytm nogami w płóciennych butach i pośpiesznie wykrzykując na użytek wieśniaczek trzeci refren naszej piosenki.

Był to czas zabijania. Jak niekończąca się powódź, wojna wdzierала się swym masowym szaleństwem w najskrytsze zakamarki ludzkich serc i ludzkich ciał, w lasy, ulice i w niebo. Jeszcze w poprawczaku zdarzyło się, że jakiś lotnik, młody blondyn, spikował tuż nad podwórkiem naszego starego, ceglanego domu po to tylko, by przez szybę kabiny pokazać nam goły tyłek. Następnego dnia rano, kiedy szliśmy na apel, kobieta, która właśnie zmarła z głodu i której zwłoki opierały się o przerażające zwoje drutu kolczastego na bramie, upadła tuż przed naszym strażnikiem. Prawie co noc, a czasem i w biały dzień, niebo nad miastem na przemian rozświetlały luno i zakrywały kłęby czarnego dymu pożarów, wzniecanych przez bomby.

Był to czas, kiedy po ulicach miotali się dorośli, opanowani na dodatek dziwną manią zamykania za kratkami wszystkich tych, których skóra była jeszcze gładka albo ledwie świeciła delikatnym, kasztanowatym puszkciem; tych, którzy popełnili drobne przestępstwa albo choćby takich, których podejrzewano o kryminalne skłonności.

Im bardziej nasilały się naloty i coraz bliższy był nieuchronny koniec wojny, rodziny niektórych chłopaków zaczynały brać ich do siebie, ale większość nie miała ochoty zajmować się nieudanym, kłopotliwym potomstwem. Wtedy to strażnicy w swej obsesyjnej niechęci wypuszczania z garści zdobyczy wymyślili ewakuację poprawczaka.

Na dwa tygodnie przed planowaną ewakuacją rozesłano już wszystkie listy do rodzin z prośbą o odebranie dzieci; więźniowie szaleli z niecierpliwości. Gdy w pierwszym tygodniu oczekiwania pojawił się mój ojciec - to on mnie kiedyś

zadenuncjował - ubrany od stóp do głów w ciuchy z demobilu, nie mogłem opanować radości, tym bardziej że wziął ze sobą mojego brata. Okazało się jednak, że ojcu po prostu przykrzyło się szukać miejsca, w które mógłby wysłać brata, i że wpadł na pomysł, by skorzystać z ewakuacji poprawczaka. Byłem bardzo zawiedziony, ale gdy ojciec odjechał, uściskaliśmy się z bratem mocno.

Brat, którego włączono do grupy młodocianych przestępców i musiał nosić uniform poprawczaka, szalał z radości i fascynacji przez kilka pierwszych dni. Później bez przerwy gadał z nimi, z zamglonymi z zachwytu oczyma, zadręczając ich pytaniami o najdrobniejsze szczegóły ich przewinień. Gdy w nocy leżał ze mną pod wspólnym kocem, wzdychał ciężko, rozmyślając o tych wszystkich okropnościach. Jeszcze później, gdy już nauczył się na pamięć cudzych krwawych historii, z zapalem wymyślał własne zbrodnie. Od czasu do czasu przybiegał do mnie, z wypiekami na policzkach, i fantazjował, jak to wybił oko dziewczynce swym pistoletem zabawką. Wreszcie wtopił się zupełnie w naszą grupę. W tym czasie zabijania i szaleństwa to chyba właśnie tylko my, dzieci, wykształciliśmy w sobie silne poczucie solidarności. A potem, gdy minęły jeszcze kolejne dwa tygodnie oczekiwania i rozczarowań, nasza grupka - a w niej teraz już i mój brat - ruszyła w tę dziwnie chwalebną, lecz i hańbiącą podróż.

Droga: to ona wyprowadziła nas poza niesamowity, rozpadający się, pomarańczowy płot poprawczaka, ale nie byliśmy przez to bardziej wolni. Było tak, jakbyśmy szli z lochu do lochu, a zamiast pomarańczowego parkanu wyrósł wokół nas inny mur: niezliczeni strażnicy-chłopi o sękatych, spracowanych dłoniach. Wolności mieliśmy teraz dokładnie tyle, co przedtem za ogrodzeniem. Jedyłą przyjemnością było gapienie się na całe mnóstwo „dobrych” chłopców i drwiny z nich.

I od samego początku wszystkie nasze powtarzające się i nieuniknione próby ucieczki kończyły się tym, że dorośli zaciekle wyłapywali nas po wioskach, lasach, rzekach i polach i przyprowadzali z powrotem bardziej umarłych niż żywych. Dla nas, dzieci z odległego miasta, wieś była jak ściana z grubej przezroczystej gumy - mogliśmy się w nią wdzierać, ale zaraz odrzucała nas z powrotem.

Właśnie dlatego z wolności zostało nam tylko tyle: mogliśmy wlec się wiejskimi drogami - albo w kłębach kurzu, albo zapadając się po kolana w błocie - podczas odpoczynków w świątyniach, sanktuariach i szopach wykorzystywać chwile nieuwagi naszego strażnika, by prosić wieśniaków o żywność i gwizdać na wiejskie dziewczyny, gdy usiłowaliśmy doczyścić nasze wiecznie zabrudzone mundury.

Nasza podróż miała skończyć się po tygodniu. Jednak ponieważ kolejne negocjacje między naszym strażnikiem a starszyzną wioski, która musiała nas przyjąć, ciągle kończyły się fiaskiem, z jednego tygodnia zrobiły się trzy. Na miejsce - do dalekiej wioski w samym sercu gór - mieliśmy dotrzeć tego popołudnia. Gdyby nie ostatnia ucieczka, pewnie już byśmy tam byli i przysłuchiwali się rozmowie strażnika ze starszyzną albo odpoczywali, wyciągnięci na ziemi.

Kiedy opadły emocje, jakie wywołał w nas powrót uciekinierów, szliśmy szybko i w milczeniu, z tobołkami objijającymi się o uda. Większość z nas szła pogrążona w myślach, we wspólnym przygnębieniu, które rodziło się nam w piersiach i podchodziło do gardła. Ten z bólem brzucha oczywiście jęczał prawie całą drogę.

Nasza podróż dobiegała kresu. Póki byliśmy w drodze, choć szliśmy i w mroku, i za dnia, przynajmniej mogliśmy próbować ucieczki. Teraz, gdy za chwilę mieliśmy znaleźć się w jakiejś wiosce w górskiej głuszy, z dala od żyznych dolin, czuliśmy się tak, jakbyśmy wpadli do głębokiej dziury, za grubym murem, na pewno znacznie grubszym niż pomarańczowy płot poprawczaka. To miał być koniec. Wszystkie wsie, przez które dotąd przeszliśmy, zamknęły się za nami jak krąg nie do przebycia. Nieudana ucieczka Minamiiego - pewnie już ostatnia - była chyba głównym powodem naszego niezadowolenia. Tak jak on mieliśmy pretensje i czuliśmy złość do jego towarzysza, który zniweczył jego wysiłki, i to przez takie głupstwo jak ból brzucha. Dlatego gdy jęczał, pogwizdywaliśmy na znak obojętności, a niektórzy rzucali kamieniami w tyłek nieszczęśnika.

Tylko mój brat go pocieszał, nic sobie nie robiąc z naszych wściekłych spojrzeń i nie przestając wypytywać Minamiiego o szczegóły ucieczki, ale podniecenie i świetny humor brata nie mogły poprawić naszego ponurego nastroju. W końcu on też zmęczył się marszem. Cała grupa wlokła się teraz ze zwieszonymi głowami, w szarych, niezgrabnych ubraniach, nie zważając na oszczekujące nas psy i całe rodziny wieśniaków, które wyległy z przydrożnych gospodarstw i gapiły się na nas. Tylko nasz krzepki strażnik maszerował, prężąc pierś.

Wlekliśmy się jednak tak powoli, że i do świtu nie dotarlibyśmy na miejsce. Gdy jednak ostrożnie przeszliśmy przez most, niebezpiecznie podmyty przez powódź, i skręciliśmy w boczną drogę, prowadzącą od głównej trasy do kolejnego posterunku, ujrzeliśmy grupkę pełnych godności i zapału chłopców w mundurach - kadetów, a obok, na pomalowanej w zielone pasy wojskowej ciężarówce, kilku uzbrojonych

żandarmów w średnim wieku. Humory zaraz nam się poprawiły, krzyknęliśmy z radości i rzuciliśmy się pędem w ich stronę.

Kadeci odwrócili głowy, słysząc nasze krzyki, ale wciąż stali sztywno na baczność i milczeli. Byli uzbrojeni w krótkie noże. Twarde twarze, wpółotwarte usta i kształtne głowy sprawiały, że byli piękni jak świetnie ujeżdżone konie. Zatrzymaliśmy się metr przed nimi i przypatrywaliśmy się im tęsknie. Żaden z nas się do nich nie odezwał. Oni też milczeli. Wydawali się zmęczeni i niespokojni. Od tych młodych żołnierzy, którzy ucichli jakby w zdumieniu, od ich miękkich profilów, wyraźnych w zachodzącym słońcu, prześwitującym przez rzadki zagajnik na łagodnym zboczu, płynęła, jak woń ich ciał, wielka, pociągająca siła. Znacznie większa, niż gdyby karczowali las lub wytapiali z sosnowych korzeni gęstą żywicę, lub rozgadani włożyli się po miasteczku w tych swoich pięknych mundurach.

- Ej - odezwał się Minami, przysuwając głowę tak, że ustami prawie dotykał mojego ucha. - Gdyby tylko chcieli, przespałbym się z każdym za parę sucharów. Choćbym miał być potem cały spuchnięty. - Westchnął. W kącikach wydętych warg gromadziła mu się ślina, gdy patrzył rozjaśnionym wzrokiem na krągłe, twarde pośladki kadetów. - Za to mnie właśnie wsadzili - powiedział z nagłym żalem. - Za to, że się przespałem z kimś takim jak oni.

- Nie gadaj. Jak zrobiłeś to za parę sucharów, to jeszcze się nie skurwiłeś - odparłem. - Wsadzają za pedałstwo, nawet jeśli nie jesteś pedziem.

- Aha - odpowiedział zamyślony i przepchnął się do przodu, żeby jeszcze lepiej przypatrzeć się tym, którzy mogliby zostać jego klientami, gdyby był na wolności.

Mój brat, który dotąd z przejęciem przysłuchiwał się rozmowie naszego strażnika z żandarmami, teraz odwrócił się i podbiegł do mnie. Aż drżał z podniecenia, jak zawsze, gdy z ważną miną dzielił się ze mną podsłuchaną tajemnicą.

- Uciekł. Jeden kadet uciekł do lasu. Wszyscy go szukają. Jakbyśmy poszli do lasu, toby nas zastrzelili.

- Ale po co? - zapytałem, zdziwiony. - Po co uciekł do lasu?

- Uciekł - powtarzał w kółko. - Uciekł. I siedzi w lesie.

Kiedy otoczyli nas nasi koledzy, brat opowiedział to wszystko swym śpiewnym głosem jeszcze wiele razy. Podeszliśmy do żandarmów. Nasz strażnik kazał nam się odsunąć i ustawić pod drzewem. Potem zdał żandarmom relację ze stanu drogi, którą szliśmy, i zachęcił ich, by zadawali pytania. Zgromadzeni pod niskim, rozłożystym drzewem kamforowym zaczynaliśmy się niecierpliwić, przytupując, pochrzäkując i

wciąż przypatrując się smutnym kadetom, pełnym godności żandarmom rozmawiającym z naszym strażnikiem, i brunatnym, ciemnym zboczom gór, pokrytym opadłymi rdzawopurpurowymi liśćmi - tam właśnie miał ukrywać się zbieg. Ale wciąż nie wiedzieliśmy, co postanowią żandarmi, więc nasz zapal ostygł i znów ogarnęło nas przygnębienie.

Gdy twarze żandarmów i strażnika stały się bardziej ponure w chłodnym powietrzu wieczoru, na drodze pojawił się jakiś człowiek na staroświeckim rowerze. Powiedział coś do żandarmów i załadował rower na ciężarówkę. Oni wydali rozkaz i kadeci ustawili się w szeregu; wtedy strażnik podbiegł do nas.

- Podwiozą nas na miejsce - oznajmił.

Humory natychmiast nam się poprawiły. Z wrzaskiem rzuciliśmy się do ciężarówki. Gdy ruszała z donośnym, mechanicznym zgrzytem, zauważyliśmy, podnieceni, że kadeci ruszają zwartą kolumną w przeciwną stronę.

Rzęząc i szarpiąc, ciężarówka wspinała się po ciemku wąską, stromą drogą. Co jakiś czas musieliśmy wysiadać, bo powódź miejscami podmyła zbocze. Gdy ciężarówka bez ładunku ostrożnie przejeżdżała niebezpieczny odcinek, my staliśmy przed nią na oświetlonej reflektorami, czerwonej, gliniastej drodze, mrużąc oczy od blasku. Ale ten starszy wieśniak z rowerem, który też z nami jechał, zostawał w ciężarówce, kładł się na płask i palił śmierdzące skręty z suszonych ziół. Od początku nie odezwał się do nas ani słowem. Tylko od czasu do czasu patrzył na nasze chude ramiona i kolana, boleśnie wywracał przekrwionymi oczyma i wreszcie odwracał wzrok. Ciężarówka jechała coraz wolniej po nierównej górskiej drodze. Dźwięk jej silnika przecinał bezlitośnie nocną ciszę. Ciemne, prawie czarne liście zdawały się napierać na nią z obu stron, a chłodny, szczypiący w policzki wiatr przynosił wilgotną mgłę i studził trochę rosnące w nas podniecenie.

Poza tym ochotę do szeptów odbierały nam groźne postacie żandarmów, klęczących obok nas w ciężarówce i mocno zaciskających wargi przed coraz silniejszym wiatrem. Nasza nocna wędrówka odbywała się więc teraz w milczeniu, przerywanym tylko jękami naszego chorego. Mimo to za każdym razem, gdy światła ciężarówki oświetlały ciemną ścianę schodzącego w dół lasu i odbijały się od niej jak od przybierającej wody w rzece albo gdy strzelały w górę, ku szczytom, w ślad za krzykami nocnych zwierząt, wyskakujących nagle z gęstwy leśnej, wyteżaliśmy wzrok, by dostrzec kryjącego się gdzieś tam dezertera.

Wreszcie zmęczenie długą drogą, niepotrzebne podniecenie, podskoki ciężarówki i czujna obecność żandarmów sprawiły, że zapadliśmy w głęboki sen, przyciskając głowy do twardych, szorstkich desek. Ponieważ mój brat zasnął pierwszy, podtrzymałem jego ładną głowę, by chronić jego dziecinny sen, ale sam też zasnąłem, oparty o jego ciało.

Gdy otwarłem oczy, przebudzony własnym, niespokojnym snem i potrząśnięciem za ramię, jęknąłem głośno na tę nieprzyjemną pobudkę, choć przecież ciągle naloty powinny mnie już do tego przyzwyczaić. Zorientowałem się, że leżę na deskach ciężarówki i że to mój brat usiłuje wyrwać mnie ze snu. Inni zdążyli już wsiąść, tylko niepozorny wieśniak mocował się ze swym rowerem, którego przednie koło zaplątało się w coś z tyłu paki. By mu pomóc, zerwałem się szybko, otrzepałem ubranie i chwyciłem za zimną, moką kierownicę. Rower był ciężki. Wieśniak rzucił mi ponad moimi napiętymi, obolałymi ramionami lekki, ale miły uśmiech. Kiedy udało mu się opuścić rower na ziemię, ja też zeskoczyłem, brat jednak się zawahał; wtedy mocne ręce wieśniaka bez wysiłku opuściły go w dół. Brat zaśmiał się wstydliwie, bo go to połaskotało.

- Dziękuję - powiedział cicho, jak przystało na nowego przyjaciela.

- Aha - odpowiedział wieśniak, podnosząc rower.

Za masą ciemnego, nocnego powietrza, za lśniącą na białą, bladą, wąską drogą płonęło ognisko, wokół którego stało wiele postaci. Żandarmi i nasz strażnik podeszli do nich. Wieśniak ruszył za nimi, niezgrabnie podskakując na siodełku roweru. Zbiliśmy się w grupkę przy ciężarówce i mając od chłodu gęsią skórę na karkach, patrzyliśmy na nich. Było naprawdę zimno, i to tak jakoś inaczej niż dotąd. Ten nowy chłód był dziwny, przenikał do szpiku kości, jakbyśmy znaleźli się w zupełnie innym klimacie. Pomyślałem, że teraz to naprawdę jesteśmy w górach. Trzęśliśmy się jak osiki, choć żałośnie kuliliśmy ramiona. Ale trzęśliśmy się też z podniecenia, jakie udzielało się nam od ludzi zgromadzonych wokół ognia; ono otaczało ognisko jak las. W milczeniu patrzyłem, jak żandarmi i strażnik wchodzi w grupę wieśniaków i zaczynają z nimi rozmawiać.

Wieśniacy zaraz otoczyli żandarmów i strażnika i szybko zaczęli się naradzać, ale ich słowa nie docierały do naszych na próżno nadstawianych uszu. Przyzwyczajonymi już do ciemności oczyma, w blasku nagle buchających płomieni widzieliśmy iluś tam kadetów i powolne ruchy wieśniaków uzbrojonych w

bambusowe dzidy i motyki. Wyglądało to tak, jakby toczyła się tu jakaś mała wojna. Patrzyliśmy na to, zdenerwowani.

Stary wieśniak wyszedł z kręgu spierających się o coś dorosłych i wrócił do nas. Na bagażniku roweru przywiózł trochę chrustu. Rzucił drewno na ziemię i znów ruszył do ognia, bez słowa, ale po chwili przyniósł rozpaloną, zieloną gałąź, strzelającą wokół rozgrzaną żywicą. Oparł rower o drzewo, a my szybko przygotowaliśmy ognisko. Drewno nie chciało się palić, więc, choć zmęczeni, rzuciliśmy się w rzadki las po suche liście i gałązki, które łamały się łatwo z ostrym trzaskiem. Wieśniak wsadzał głowę w dym i z zapamiętaniem rozdmuchiwał ogień, który to przygasając, to rozpalając się na nowo, ukazywał na jego ciemno opalonym, niemal czerwonym, potężnym jak stary pień drzewa karku niezliczone blizny po oparzeniach.

Gdy ogień zaczął wreszcie trzaskać i puszczać w górę gęsty dym, poczuliśmy, że te wspólne wysiłki zbliżyły nas i wieśniaka. W dodatku w żyłach krew zaczynała krążyć szybciej, ogrzewając nasze zziębnięte ciała przyjemnym dreszczem, więc powoli znów poczuliśmy odprężenie. Wieśniak też. Staliśmy wokół roztaczającego słodkawą woń ognia, który teraz palił się jasno, i uśmiechaliśmy się do siebie bez powodu.

- Pan jest kowalem? - zapytał nieśmiało mój brat. - Prawda?

- Aha - odparł wesoło wieśniak. - Jak byłem w twoim wieku, umiałem już wykuwać sierpy.

- Ale fajnie - powiedział brat z nieskrywanym podziwem. - A ja też mógłbym się nauczyć?

- To kwestia wprawy. Widziałeś mój rower? Sam przerobiłem pedały, żeby były mocniejsze. - Wieśniak wstał, wyciągnął rower spod drzewa i przed naszymi zachwyconymi oczami oparł go sobie o kolana; zaśmiał się krótko, gdy obrysował swym popękany kciukiem pogrubioną oś pedału, niezgrabną i kanciastą, ale wyglądającą jak żywa kończyna, tak jak kończynę przypomina motyka lub sierp.

- Nie wiedziałem, że kowale potrafią przerabiać rowery – odezwał się mój brat.

- Nic dziwnego - powiedział kowal, kładąc rower na czarnej ziemi, parującej od żaru ogniska, i wtykając w ogień kilka patyków. - Tego nikt nie wie - dodał.

Wsluchując się w dźwięk tryskającej żywicy, w cichy ruch powietrza, w szmer opadających na ziemię płatków popiołu i w chrapliwy śmiech wieśniaka, myśleliśmy o jedynym rowerze w naszym poprawczaku. Pewnie stoi teraz oparty gdzieś o ścianę, chyba popękały mu już stare, ubłocone opony...

Przy drugim ognisku zrobiło się głośno. Ktoś wydawał rozkazy donośnym głosem. Unieśliśmy głowy i, patrząc w gęsty mrok, zobaczyliśmy, że tamci ustawiają się w szereg.

- To kadeci, prawda? - zapytał kowala jeden z naszych. - Są na ćwiczeniach czy szukają dezertera?

- No - odpowiedział zaraz kowal. - Obławę sobie w górach urządzili. Szukają go wszyscy razem, kadeci i chłopci. Od trzech dni gonimy tam i z powrotem po górach, i nic. Jeżeli uciekł w te strony, to daleko nie zajdzie. Do naszej wsi po drugiej stronie doliny można się dostać tylko kolejką. Inaczej się nie da, bo jest powódź. No więc przeszukaliśmy cały teren, ale daremnie. Pewnie skończymy obławę i wrócimy do siebie, na drugą stronę doliny. On musiał się utopić jeszcze w dolinie.

Nocna, cicha obława uzbrojonych chłopów z dzidami i motykami: uciekający przed nimi żołnierz biegnie przez las i tonie w wezbranej rzece. Westchnęliśmy głęboko na samą myśl o tych krwawych łowach. Wojna! Nagle i niespodziewanie skradające się ku nam dzikie zwierzę! Obława!

- To musiało być okropne - powiedziałem. - Ta obława. Musiała być okropna.

- Była okropna. Gorsza niż na dzika - mruknął kowal. - Ludzie tłukli się po krzakach przez trzy dni bez jedzenia i picia. - Jakby na przekór swym słowom kowal miał dość wesołą minę. Powoli powtórzył, co przed chwilą powiedział, a lśniąca blaski płomieni iskrzyły mu na mokrych wargach. - Była okropna. Człowiek miał podrapane całe ciało, a nawet królika nie dało się wypłoszyć.

- To tak samo poluje się na króliki? - zapytał brat, najwyraźniej zdumiony. - I na zające?

- Jak się je wypłoszy, to się je łapie - zapewnił kowal. - Gołębie, bażanty, króliki...

Mój brat pochylił się do przodu, chcąc dalej bombardować kowala pytaniami o swe ukochane zwierzątka, ale do ogniska właśnie podeszli szybko nasz strażnik i jakiś wysoki wieśniak. Kowal umilkł i otoczył kolana ramieniem na znak, że rozmowa skończona, a my znów zdrętwieliśmy z podniecenia.

- To naczelnik wioski, w której się wami zajmą. Wstać, ukłonić się. W porządku - oznajmił z ulgą strażnik.

Staliśmy, przypatrując się wielkiemu mężczyźnie o ostrym podbródku, w roboczym stroju z grubej bawełny i zakrywającej uszy, futrzanej czapce. On też patrzył na nas spod opuszczonych powiek, ale jego oczy lśniły bystrym, brązowym blaskiem.

- Wszystko jest gotowe na wasz przyjazd. Już od trzech dni - powiedział naczelnik, poruszając zarośniętą szczęką, jakby żuł ziarno. - Możecie być spokojni.

- Powierzam was panu naczelnikowi - powiedział strażnik. - Postanowiłem wrócić z żołnierzami ciężarówką po drugą grupę. Tylko nie przynieście mi wstydu.

Zapewniliśmy, że nie przyniesiemy i wtedy naczelnik oświadczył:

- My we wsi zobaczymy, co z wami zrobić, w zależności od waszego zachowania.

- I żebyście się nie buntowali. Jeżeli będziecie łamać regulamin, wasz starosta ma mi powiedzieć. Już ja się z wami porachuję po ewakuacji.

Taka groźba wisiała nad nami od zawsze, opóźniała i obrzydzała każde działanie, narażając nas na wielką irytację i zmęczenie. Zrobimy listę obecności, potem ją sprawdzimy, potem wybierzemy starostę i wreszcie niechętny chórek naszych głosów odśpiewa hymn poprawczaka... A tymczasem wokół nas gromadzili się wieśniacy o brudnych twarzach i w podartych ubraniach, ściskali w dłoniach broń i z ciekawością przyglądali się naszej wygłodniałej gromadce. Byliśmy wszyscy obdarci, niespokojni, spięci.

Kadeci przemaszerowali od drugiego ogniska do ciężarówki. Patrzyliśmy na nich jeszcze, gdy ciężarówka zawracała z łoskotem - byli wymęczeni, zubożeni, źli i milczący. Już nie wyglądali tak młodo i pięknie. Oni też musieli przemierzać górskie ścieżki po deszczu i dolinę upstrzoną osuwiskami; w obławie, w której brali udział, zatracili swe junackie, twarde, zwierzęce piękno.

Zostawiliśmy więc kadetów i naszego strażnika przy ciężarówce i ruszyliśmy w górę stromą, wąską ścieżyną, pilnowani przez milczących chłopów uzbrojonych w bambusowe dzidy i motyki. Ciemne zarośla zamykały się za nami i cięły nas po zmrożonych ciałach, smagały do krwi nasze palce, policzki, głowy i karki. Gdy hałas ciężarówki ucichł już w oddali, doleciał nas z głębi nocnego lasu gwałtowny szum wody, który drażnił nasze uszy i pędził nas do przodu. Milczenie wieśniaków było zaraźliwe i przez całą drogę - w lesie, na wierzchołkach otaczających dolinę gór, gdzie uderzył w nas zimny, bezlitosny wiatr, nawet na wąskiej, równej półce skalnej - żaden z nas nie powiedział ani słowa.

Na końcu ciemnej skalnej półki znajdowało się widoczne w nikłym świetle solidne rusztowanie, a za nim wagonik na szynach, który przewoził ścięte drzewa z jednego końca doliny na drugą. Wsiedliśmy do niego na rozkaz naczelnika.

- Tylko się nie ruszajcie. Ani trochę - ostrzegał nas wielokrotnie, gdy już dał znak operatorowi, który obsługiwał silnik po drugiej stronie doliny. - Jak ktoś się poruszy, wagon się wywróci i wszyscy zginiecie. Nie ruszajcie się. Ani trochę.

Jego twardy, gniewny głos opadał nas jak chmara owadów, gromadził się na naszych pokrytych skorupą brudu ciałach i mieszał się z cichym szumem wody, dolatującym z głębokiego, mrocznego dna doliny. Czekaliśmy na odjazd w wąskiej, pochłapanej wapnem kołysce wagonika, śmiertelnie zmęczeni, siedząc nieruchomo jeden przy drugim jak bezpańskie psy, schwymane przez hycła. Nie ruszajcie się, ani trochę. Jak ktoś się poruszy, wagon się wywróci i wszyscy zginiecie. Nie ruszajcie się. Ani trochę.

Potem kolejka odjechała. Wiozła nas powoli, lekko drżąc, po torach przez głęboką dolinę w gęstą, duszącą toń kory i liści, w bezmiar leśny na przeciwległym zboczu, ciemniejszy nawet od dna doliny. A suche, ostre powietrze zimowej nocy zaciskało się mocno wokół wagonika pędzącego po wąskim, nierównym torze, wyładowanego po brzegi młodymi chłopcami, ciągniętego przez metalowy kabel.

Wsunąłem rękę między ściśnięte ciała, szukając i w końcu znajdując drobną, miękką dłoń mojego brata. Ciepło jego palców, z całych sił zaciskających się na moich, i jego tętno dziecka niosły mi kruchą, choć niespożytą żywotność, taką, jaka drzemie w ciele królika czy wiewiórki. Podobne uczucie musiało płynąć ku niemu ode mnie. Bałem się. Strach, który sprawiał, że drżały mi wargi, a całe ciało ogarniało znużenie, musiał też udzielać się jemu. Byliśmy jak psy, które w niebezpieczeństwie zatraciły wszelką wolę oporu. Trwaliśmy tak, z lękiem zagryzając wargi.

Z obu stron odzywały się od czasu do czasu głosy dorosłych, krzyczące w chropawym żargonie, jakby rozwścieczone, i odbijały się echem od dna doliny. Ale nie miały one dla nas żadnego znaczenia. Nie liczyło się nic - tylko coraz intensywniejsza woń lasu i turkot kół po szynach szalały nad naszymi małymi, opadającymi główkami jak nocna burza.

Chłopiec chory na żołądek po tej długiej drodze przez dolinę znowu zaczął jęczeć, dzwoniąc zębami. Starał się bez ruchu znieść przeszywający ból i słabo pojękiwał.

- Ej, nie rzygaj mi na plecy - odezwał się chłodno Minami.

Jęki przycichły, chory już tylko wzdychał. Wśród stłoczonych ciał towarzyszy zobaczyłem jego drobną, pobladłą twarz z zaciśniętą na ustach dłonią. Odwróciłem

wzrok. Nikt tu nic na to nie poradzi. Pozostaje tylko leżeć bez ruchu w pędzącym przez dolinę wagoniku wyładowanym chłopcami.

Wreszcie, gdy kolejka zatrzymała się z lekkim stuknięciem, młody wieśniak, stojący okrakiem nad kablem nawiniętym na grubą drewnianą oś, zablokował mechanizm drewnianym klinem i krzyknął do nas:

- Jesteście na miejscu. Wysiadać, ale szybko!

2. Pierwsze drobne zadanie

Eskortowani przez milczących, uzbrojonych wieśniaków, schodziliśmy w ciemny las wąską, krętą ścieżką. Otoczyły nas na nowo dźwięki pękającej na mrozie kory i ukradkowej ucieczki małych stworzeń, a piskliwe ptasie wrzaski i nagły szum skrzydeł raz po raz napędzały nam stracha. Nocny las był raz jak ciche, raz szalejące morze. Wieśniacy pilnowali nas od przodu i od tyłu jak jeńców wojennych, choć była to zbyteczna ostrożność, bo nawet najbardziej wojowniczy z nas nie mieli odwagi rzucić się w tę czasem wzburzoną, to znów spokojną toń. Gdy wreszcie wyszliśmy z lasu, droga w błądy mrok stała się prosta, wyłożono ją drobnymi, zaokrąglonymi przez deszcz i wiatr kamieniami, które przyjemnie było czuć pod stopą, gdyż szło się teraz łatwiej. W oddali, w wąskiej, zakrzywionej kotlinie ukazała się mała wioska.

Domy stały prawie jeden na drugim, ponuro jak drzewa w mrocznym lesie, z którego dopiero co wyszliśmy. Przytulone do siebie milczały jak nocne zwierzęta, od niskiego zbocza otaczającego kotlinę po jej głębokie dno. Czasem zdarzała się jakaś przerwa między domami, potem znowu robiło się gęsto. Zatrzymaliśmy się i patrzyliśmy w dół na wioskę, a w sercach rodziło nam się jakieś dziwne uczucie.

- Światła są pogaszone, bo obowiązuje zaciemnienie - wyjaśnił naczelnik. - Wasza kwatery jest już za tą grupką domów, w świątyni na prawo od wieży przeciwpożarowej.

Wyteżyliśmy wzrok i zobaczyliśmy na wyraźnie zarysowanej linii zbocza - prowadzącego w stronę góry po przeciwległej stronie kotliny - niską, krępą wieżę na żelaznych słupach, wtopioną jak drzewo w rosnący za nią las. Potem popatrzyliśmy w prawo, na parterowy budynek większy niż wiejskie domy na dnie doliny; naprzeciw niego stał jeszcze jeden, duży, piętrowy, otoczony różnymi przybudówkami, a wokół wznosił się niski gliniany mur, oświetlony blaskiem księżyca.

- Ja chcę mieszkać na piętrze - powiedział mój brat.

Wieśniacy wybuchnęli drwiącym śmiechem, w którym czaiła się ukryta siła.

- Wasza kwatery - wyjaśnił naczelnik - to ten parterowy dom naprzeciwko. Zrozumiano?

- Tak - powiedział mój brat wyraźnie rozczarowany. - Tak właśnie myślałem.

Ruszyliśmy dalej. Wioska zniknęła w cieniu starych drzew wznoszących się po obu stronach brukowanej drogi i zakrywających niebo. Potem trzeba było jeszcze iść i iść, i wreszcie znaleźliśmy się w dolinie, niespodziewanie dla nas rozległej i rozgałęzionej. Pomiedzy domami iskrzyły się pola z resztkami niezebranych warzyw, zniszczonych już przez przymrozki.

Domy z zamkniętymi drewnianymi drzwiami sprawiały wrażenie uspionych, jednak zauważyliśmy, że zza wpółluchylonych odrzwi i zza okiennych framug wpatrują się w nas badawcze oczy. Musieliśmy spuszczać wzrok, by ich nie widzieć. Szczekały psy.

U stóp zbocza nasz pochód zmienił kierunek; została z nami mniej niż połowa wieśniaków. Poprowadzili nas wąską, wznoszącą się stromo ścieżką obok otwartej studni, w smrodzie starych, zapleśniałych śmieci, który wdzierał się nam w nozdrza, do kolejnej brukowanej drogi. Po lewej stronie zobaczyliśmy otwartą przestrzeń i budynek z wieloma oknami.

- To nasza szkoła - powiedział naczelnik. - Teraz jest zamknięta. Powódź podmyła drogi do miasta. Nauczyciele przestali przyjeżdżać. Musieliśmy ją zamknąć.

Byliśmy zbyt zmęczeni, by interesować się losem szkoły, leniwych nauczycieli i dzieci z wioski, na pewno zadowolonych z tych długich, niespodziewanych wakacji. Szliśmy w milczeniu, ze zwieszonymi głowami. Wciąż wspinając się pod górę, minęliśmy jakiś magazyn, a potem solidny budynek - zupełnie inny niż rozchwiane i byle jakie domki, które widzieliśmy po drodze - otoczony murkiem, przerywanym w kilku miejscach krótkimi, kamiennymi schodami. Dalej była świątynia z wąskim ogrodem i podcieniami na tyle głębokimi, że zasłaniały niebo. Ustawiono nas w szeregu w ogrodzie, po czym odbył się drobiazgowy obrzęd zakwaterowania: nie palić ognia, nie zanieczyszczać wychodków, posiłki zapewnią nam wieśniacy. Wysłuchaliśmy wszystkich tych nakazów, posłusznie potakując głowami.

- Będziecie chronić pola w górach, a nie lenić się! - krzyknął nagle naczelnik ostrym głosem na zakończenie swej przemowy. - A kto będzie kradł, palił ogień albo się awanturował, tego zatłuczemy na śmierć. Nie zapominajcie, że dla nas jesteście

robactwem. Mimo to damy wam dach nad głową i jedzenie. Pamiętajcie, że jesteście dla nas bezużytecznym robactwem.

Staliśmy w zimnym, ciemnym ogrodzie - zmęczeni chłopcy, złaknieni snu jak gąbka wody, tak wyczerpani, że niezdolni wykrztusić słowa. A w dodatku nim wpuszczono nas do środka, musieliśmy jeszcze umyć nogi i przejść kontrolę naszego stanu fizycznego.

Wieśniacy wreszcie zostawili nas samych. Przykucnięci w ciemności, bo ostatni z nich wykręcił nam jedyną żarówkę, sięgaliśmy pokrytymi solą i śliną palcami do bambusowego koszyka, w którym przyniesiono nam jedzenie; w otępieniu, milcząc, jedliśmy ten późny posiłek: zimne ziemniaki, pokryte jakąś lepka mazią, która osiadała nam na podniebieniach.

Posiłek, który czekał na nas u kresu tej długiej podróży, był więc bardzo nędzny: trzy koszyki najgorszych ziemniaków i garść twardej jak kamień soli. Byliśmy zawiedzeni i źli, ale nie mieliśmy wyboru - cierpliwie jedliśmy to, co nam przyniesiono. Siedzieliśmy na wilgotnej macie w świątyni; wokół były białe ściany i grube, drewniane słupy. W pomieszczeniu oddzielonym drewnianymi drzwiami od wąskiego przedsionka z klepiskiem i od wychodka już zrobiło się duszno. Innych izb tu nie było. Nikt poza nami tu nie mieszkał.

Zostało jeszcze trochę ziemniaków, ale w końcu nasze żołądki nie mogły więcej ich strawić. Senność i nieokreślony smutek, płynący z zaspokojenia pierwszego głodu, sączyły nam się w skołatane głowy jak woda. Jeden po drugim odchodziliśmy od koszy, wycieraliśmy palce w spodnie na tyłkach i kładliśmy się na wznak pod wspólnymi, cienkimi pledami. Oczy przyzwyczajają się do mroku i zaczynały powoli rozróżniać belki w stropie.

W dusznym pomieszczeniu słychać było teraz już tylko jęki naszego chorego, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Wyteżaliśmy wzrok i nasłuchiwalismy w ciemności. Krzyki nieznanych zwierząt, odgłosy pękającej kory, narastający nagle szum wiatru: to wszystko uderzało w nas z zewnątrz.

Mój brat, śpiący dotąd z czołem wspartym o moje plecy, usiadł nagle. Zawahał się na chwilę.

- Co? - zapytałem stłumionym głosem.

- Pić mi się chce - odparł chrapliwie, nerwowo. - W ogrodzie jest studnia.

Pójdę się napić.

- Pójdę z tobą.
- Nie trzeba - zaprotestował, bo najwyraźniej zraniłem jego dumę. - Nie boję się.

Ponieważ uniosłem się z posłania, teraz znów się położyłem. Nasłuchiwałem, jak schodzi na klepisko i usiłuje otworzyć niskie drzwi prowadzące na zewnątrz. Nie bardzo mu to szło. Próbował kilkakrotnie, cmoknął z niezadowoleniem i wyraźnie rozczarowany wrócił do mnie.

- Zamknięte. Od zewnątrz - powiedział. - Nie wiem, co robić.
- Zamknięte? - powtórzył za nim Minami donośnym głosem, od którego napięcie w izbie natychmiast wzrosło. - To je rozwalę.

Zeskoczył na klepisko i gwałtownie rzucił się na drzwi, ale wbrew naszym oczekiwaniom tylko paskudnie zaklął. Jeszcze raz śmiało zaatakował drzwi, ale znowu odbił się od nich jak piłka. Jemu też się nie udało.

- Sukinsyny - złościł się, wracając z klepiska i kładąc się pod koc sąsiada. - Chcą nas trzymać pod kluczem, nie dają nic do picia, a żarcie takie, jak dla świń.

Doskwierało nam pragnienie. Ślina gęstniała w ustach na zdrętwiałych od bólu językach. Chciało nam się spać, ale było okropnie zimno. I jeszcze to straszne pragnienie. Z całych sił wycieńczonych ciał powstrzymywaliśmy szloch zaciskający nasze obrzmiałe już gardła.

Następnego ranka, obserwowani przez wieśniaków, którzy przyszli otworzyć nam drzwi, wieśniaczki, które przyniosły nam zawinięte w szmaty jedzenie, i ich dzieci, które gapiły się na nas zza drzew i węgłów domów, jedliśmy twarde kulki brązowego ryżu, palcami wpychaliśmy do ust warzywną potrawkę i piliśmy herbatę z czerwonych, miedzianych kubków. Nie było to ani dobre, ani obfite, ale jedliśmy w milczeniu. Gdy zjedliśmy, ścieżką wspiął się do nas kowal z myśliwską strzelbą na ramieniu. Wieśniacy poszli sobie, ale dzieci nawet nie drgnęły. Gapiły się na nas, ale gdy wołaliśmy do nich i machaliśmy rękami, milczały, a ich ziemiste twarze były wciąż tak samo obojętne i bez wyrazu.

Kowal przez chwilę przyglądał się nam badawczo. Potem podszedł do tego, który chorował na żołądek i nie tknął przyniesionego rano posiłku. Patrzyliśmy w milczeniu, jak nachyla się nad naszym wycieńczonym towarzyszem, przygląda mu się i wreszcie zerka na nas przez swe szerokie ramię, uśmiechając się niepewnie.

- Poza nim cała reszta ma dziś robotę.

- Mamy pracować? - zapytałem.
- Od rana mamy pracować? A może moglibyśmy dziś odpocząć? - zażartował Minami.
- Dzisiaj to żadna praca - zdenerwował się kowal. - Musicie tylko pochować to i owo.
- Co pochować? - zapytał mój brat, zaciekawiony.
- Nie gadać - odparł urażony kowal. - Wychodzić. Ustawić się w szereg.

Pospiesznie wiązaliśmy sznurówki i jeden po drugim wybiegaliśmy do ogrodu. Kowal pogadał jeszcze z chorym, potem szybko wyszedł, a my ruszyliśmy za nim w dół zbocza. Chmara wiejskich dzieci biegła za nami, ale trzymały się na dystans. Gdy odwracaliśmy się do nich, robiąc wrogie gesty, natychmiast się oddalały, po to tylko, by za chwilę znów podążać za nami, nieufnie nas obserwując.

Był poranek; pogodny, zimowy poranek. Środek drogi, wysypany kraszonym kamieniem, wypiętrzał się w górę, suchy i już wzbijający kurz, ale w obu koleinach, pokrytych zeschniętym, pożółkłym zielskiem, tkwiły jeszcze lodowe tafle, które skrzypiały i pękały z trzaskiem, kiedy na nie nadepnęliśmy. A powietrze przeszywał chłód zalatujący zamarznętym nawozem końskim.

U stóp zbocza biegła trochę szersza droga, wybrukowana okrągłymi kamieniami wielkości cegły, a wzdłuż niej stały małe, niskie domki. To im przyglądaliśmy się w ciemności poprzedniej nocy, ale teraz skąpane w porannym słońcu strzechy i gliniane ściany lśniły miękkim, złotym blaskiem. Góry, które przerażały nas w nocy, rzadki las, przez który prowadziła droga z doliny i stromo wznoszące się zarośla otaczające wioskę spowijała błękitnobladobrazowa poświata. Ze wszystkich stron dobiegały ptasie trele. Poweseleliśmy - najpierw trochę, potem nagle bardzo, aż zachciało nam się śpiewać. Przecież w końcu dotarliśmy do wsi, w której mieliśmy spędzić resztę zimy i pewnie niejedną jeszcze porę roku. Możemy pracować. Chętnie popracujemy. Do tej pory praca, jaką nam wynajdywano, to było struganie zabawek z drewna, bezsensowne sadzenie ziemniaków w jałowej ziemi czy też - w najlepszym razie - wyplatanie sandałów na drewnianych podeszwach. Milczenie kowala, który maszerował szybko, pochylony do przodu, zapowiadało chyba prawdziwą, męską robotę. Wyczekująco, rozdętymi nozdrzami chwytałyśmy zimne powietrze i drżeliśmy.

- Patrz, zdechły pies! - zawołał mój brat. - Jeszcze szczeniak!

Weszliśmy w gęstwą chwastów pod niską morelą, do której dobiegł mój brat, i zobaczyliśmy psa.

- Zdechł, bo się czymś struł - zawołał z wypiekami na twarzy; podbiegło do niego kilku młodszych chłopców. - Ma spuchnięty brzuch.

- Ej, wy tam! - wrzasnął kowal, bez sensu wymachując ku nim ręką. - Nie wychodzić z szeregu bez pozwolenia!

Mój brat i jego koledzy, wyraźnie podekscytowani, wrócili do szeregu. Miałem wrażenie, że mój brat nie umie ukryć złości, przecież to była jawna zdrada nawiązanej poprzedniej nocy przyjaźni.

- Chodź tu, ale zabierz psa - powiedział kowal, nadal faworyzując brata.

Zaśmialiśmy się, a brat nie wiedział, co ma zrobić. Kowal z powagą powtórzył polecenie:

- Zarzuć na niego sznur i ciągnij.

Mój brat już się nie wahał. Szybko podniósł z trawy sztywny, przymarznięty sznur i pochylił się nad zdechłym psem. Młodszy chłopcy wznieśli triumfalny okrzyk i pobiegli z pomocą.

- Upięką go i każą nam zjeść - szepnęła Minami, komicznie ponuro. - To będzie obrzydliwe.

- Nawet koty można jeść - powiedziałem. - I szczury, i wszystko.

- A tu nawet jest zdechły kot - odparł trochę zdziwiony. I rzeczywiście: u jego stóp leżał w gęstej trawie trup kota z wyciągniętymi w górę, małymi łapkami. - Cętkowany.

- Tego też zabrać - rozkazał spokojnie kowal. - Nie lenić się.

Trochę zszokowani wiązaliśmy sznurem wzdęte trupy kota i psa, by pociągnąć je za sobą.

Szliśmy w dół, wąską, zarośniętą dróżką obok prymitywnego budynku szkoły. Było tam jeszcze trochę śniegu. Potem ścieżka opadała stromo w wąską zamkniętą wokół dolinkę. Na przeciwległym zboczu zobaczyliśmy otwarty tunel, coś jakby porzucony szyb kopalniany, otoczony paroma nędznymi chatynkami.

Potykając się, zeszliśmy w dół.

Gdy wąska dróżka skończyła się na łące mokrej od stopionego szronu, zauważyliśmy szopę i oborę. Kowal wsadził ramię w wejście do szopy zbudowanej z nieociosanych bali i zawołał:

- Padło wam coś?

- Nic - odpowiedział jakiś niski, ochryply głos. Z ciemnego wnętrza szopy dobiegł odgłos pośpiesznego wstawania. - Na razie ani jedno.

- Pożyczę sobie od was kilka motyk.

- Dobra.

Kowal wszedł na klepisko i po chwili wrócił z naręczem motyk, które rzucił na wilgotną ziemię. Były to motyki na górskie pola, o grubych żelaznych końcach na krótkich grubych trzonkach - bardzo mocne. Skoczyliśmy do nich, by zarzucić je sobie na ramiona. Byliśmy podekscytowani i dumni, że dostaliśmy narzędzia i, co najważniejsze, że były to solidne, męskie narzędzia rolnicze dla normalnych ludzi.

Ale kowal najwyraźniej nie traktował nas jak normalnych ludzi. Gdy podnosiliśmy motyki i zarzucaliśmy je sobie na ramiona, celował w nas odbezpieczoną bronią. Wieśniak wyszedł z szopy i popatrzył na nas oraz ciągnięte przez nas trupy z obojętnym wyrazem twarzy. Trochę zdumiała nas ta obojętność, ale obwisłe worki pod jego oczami wyglądały tak, jakby miały zaraz się wypełnić, zamknąć mu oczy i zesłać na niego sen.

- Tylko tyle od rana? - zapytał wieśniak powoli, jakby znudzony.

- Następna będzie twoja krowa - powiedział kowal.

- Jak mi padnie, to koniec - był wyraźnie poruszony. - Jak mi krowa padnie, to koniec.

Kowal pokręcił głową i gestem kazał nam zejść na łąkę. Bardzo pilnował, by nie iść pierwszy i nie odwracać się do nas plecami, gdy mieliśmy w rękach narzędzia, których mogliśmy użyć jako broni. Zbiegliśmy aż na koniec dolinki, gdzie wąska rzeczka migotała w słońcu. Marszczyła się lekkim wiatrem, silniejszym jednak niż we wsi i przynoszącym cieplejsze powietrze.

Obróciliśmy się i popatrzyliśmy w górę, na zbocze. Za kowalem szybko zbiegły wiejskie dzieci. Domy wieśniaków zawieszane na zboczu wyglądały stąd jak stado ptaków na tle zimnobłękitnego nieba. Kowal gwałtownym gestem ręki nakazał nam przejść w prawo. Ruszyliśmy przez ostre, sztywne chwasty, które podrapały nam skórę, a błoto i pokryte meszkiem ziarna traw czepiały się zeszywniałych kończyn dwóch trupów, równie nieruchomych jak rośliny.

Nagle zatrzymaliśmy się jak wryci przed bezładną stertą dziwnych przedmiotów. Dyszeliśmy ciężko i ciężkie mieliśmy też buty, zupełnie oblepione błotem.

Psy, koty, myszy polne, kozy, nawet żrebaki - pagórek z dziesiątków spokojnie rozkładających się zwierzęcych zwłok. Zaciśnięte zęby, ciekące źrenice, sztywne kończyny. Martwe mięso i skrzepła krew powoli zamieniały się w gęstą maź, od której lepiała się zwiędła trawa i zaschnięte błoto; nie wiadomo dlaczego temu bezlitosnemu rozkładowi opierały się z powodzeniem pełne życia, niezliczone uszy.

Zwierzęta pokryte były jak czarnym śniegiem warstwą tłustych, zimowych much, które w regularnych odstępach czasu unosiły się lekko, brzmiąc pełną ciszy muzyką wlewającą się nam do głów. Aż zatoczyliśmy się z wrażenia.

- Och - westchnął mój brat. Wobec tej góry trupów rudawy piesek, którego przyciągnął tu na sznurze, stał się nagle nieważny i zwyczajny jak trawa czy ziemia.

- Macie wykopać dół i pochować to wszystko - odezwał się kowal. - Nie stać tak, nie gapić się! Do roboty!

Ale my wciąż staliśmy jak wryci, nie wiedząc, co robić, w zaduchu wyczuwanym samą skórą naszych twarzy - nie mówiąc już o nozdrzach - który jak gęsta ciecz płynął od martwej masy. Wylewający się z niej, wijący się, przenikliwy smród miał w sobie coś hipnotyzującego. Dzieci, które przyciskają małe noski do tylnych ud suki mającej cieczkę i wachają jej zapach, zuchwałe dzieci, które zdobywają się na odwagę pogłaskania choćby przez chwilę grzbietu podnieconego psa, znają dobrze subtelne, niemal ludzkie znaczenie i magię smrodu zwierzęcych zwłok. Wybałuszaliśmy oczy tak, że omal nie wyskoczyły nam z orbit. Chciwie łapaliśmy powietrze.

- Jest jeszcze jedno - urywanym, wiejskim akcentem zawołał za nami zawstydzony i nieśmiały, a jednak władczy głos.

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy, że jedno z wiejskich dzieci, które zatrzymały się na kopczyku niedaleko nas, trzyma w palcach za ogon małego szczura o wydętym brzuchu i wymachuje nim.

- Głupi, nie ruszaj! Rozumiesz? - krzyknął kowal, żyły aż nabrzmiały mu na szyi. - Idź do domu, umyj ręce!

Chłopczyk zadrzał, odrzucił szczurka i popędził w górę, do wioski. Patrzyliśmy oniemiały, jak kowal patrzy za nim. Jego twarz płonęła szlachetnym gniewem.

- Zabrać to - powiedział, kiedy trochę się uspokoił.

Ale nikt z nas się nie ruszył. Szczur to był dla nas dziwnie zły znak.

- No, ktoś chyba po to pójdzie - powiedział kowal łagodniejszym tonem.

Ruszyłem biegiem. Gdy wiejskie dzieci z wrzaskiem rzuciły się do ucieczki, kucnąłem, chwyciłem twardy, pokurczony szczurzy ogon między palce i pobiegłem z

powrotem. Nie zważając na wyrzut we wzroku mojego brata, rzuciłem szczura na samą górę sterty zwierząt, które wciąż wysyłały ów niemy zew. Szczurek odbił się od wyblakłego od słońca, bezwłosego grzbietu kota, ześlizgnął się po innych zwierzętach i wsunął pod nagi, wypięty zad kozy. Wezbrała w nas fala śmiechu i napięcie natychmiast się rozładowało.

- No, to do roboty - zachęcił nas kowal.

Chwyciliśmy za motyki i zaczęliśmy kopać brązową ziemię, pokrytą zwiędłą trawą i opadłymi liśćmi. Była miękka i łatwo się poddawała. Odkopywane przez nas tłuste, biało-pomarańczowe larwy, pogrążone w śnie zimowym żaby i ryjówki ginęły natychmiast od celnych uderzeń motyk. Rzadka mgła szybko uniosła się znad doliny, ale sterta rozkładających się padłych zwierząt napelniała powietrze inną mgłą - mgłą niesłabnącego fetoru.

Kopaliśmy prostokątny dół o rozmiarach dokładnie dwa metry na trzy. Po pierwszej, miękkiej warstwie gleby pojawiła się druga, trochę twardsza, zawierająca białe kryształki. Wskutek uderzeń motyki sączyła się na powierzchnię zimna woda. W bladym zimowym słońcu na naszych policzkach i czołach pojawiły się krople potu. Dół robił się coraz głębszy, więc tylko kilku z nas mogło w nim pracować. Odrzuciłem motykę, by otrzeć pot z czoła. Wiejskie dzieci nerwowo znów podeszły bliżej, ale gdy tylko zobaczyły, że przestałem pracować, były gotowe uciec w każdej chwili. Zauważyłem wśród nich dziewczynkę o czarnym z brudu karku. Jej zapuchnięte wargi, mały nosek i chore, zażawione oczy odebrały mi całą radość z napędzenia im strachu. Kiedy w marszu mijaliśmy wioski, nastraszyłem tyle takich dziewczynek, że aż mi zbrzydło. Gdy kucały, by się wysiusiać, obnażając swe małe, chude pośladki, z wrzaskiem rzucaliśmy się nagle w ich stronę. Teraz jednak już nas to nie bawiło. Wiejskimi dziećmi po prostu gardziłem. I miałem ich dość.

- Nie lenić się! - krzyknął kowal, podchodząc bliżej.

- Oho - powiedziałem, wracając do pracy - ale grubą lufę ma ta strzelba.

- Bo to strzelba na niedźwiedzie. Na człowieka też się nada - odparł groźnie kowal, odsuwając broń od mojej wyciągniętej ręki. - Będiesz się stawiał, to cię zastrzelę. Dla mnie to nic takiego.

- Wiem - powiedziałem urażony. - Jak dzieci ze wsi dotykają zdechłego szczura, to się zarażą, ale my możemy, tak?

- Co? - kowal aż się zająknął.

- To jakaś zwierzęca zaraza? - zapytałem, wskazując podbródkiem na moich kolegów, którzy zaczęli wrzucać padlinę do świeżo wykopanego dołu. - A jaka?

- Skąd mam wiedzieć? - odparł chytrze kowal. - Doktor też nie wie.

- A, jak zdychają tylko zwierzęta, to nie szkodzi. W najgorszym razie padnie komuś koń, co? - zapytałem jeszcze chytrze. Kowal dał się pociągnąć za język.

- Ludzie też umarli - powiedział jednym tchem.

- Jeden Koreańczyk - wystawiając głowę zza pleców kowala, zawołał wiejski chłopiec, którego ciekawość najwyraźniej przemogła strach. - Nie widzicie flagi?

Spojrzelśmy na grupkę nieprawdopodobnie nędznych domków, uczepionych zbocza po drugiej stronie kotliny. Na jednej ze stojących na uboczu chat powiewała szkarłatna papierowa chorągiew. Na dnie dolinki powietrze teraz niemal stało, ale tam, w połowie zbocza wiało pewnie cały dzień, niósł się stamtąd zapach ziemi i świeżych liści. Tam nie czuć smrodu gnijących psów...

- Tam? - Nieśmiały chłopiec zacisnął usta, gdy odpowiedziałem pytaniem na pytanie. - Tam umarł jakiś Koreańczyk?

- To koreańska osada. Umarł tylko jeden. - Kowal odpowiedział za dzieciaka. - Nie wiemy, czy na to samo co zwierzęta, czy nie.

Moi koledzy usiłowali właśnie dźwignąć ciężkie ciele o pękniętym brzuchu, z którego wylewały się mięso, krew i inne płyny ustrojowe. Jeżeli choroba zabiła takie silne ciele, to pewnie mogła też zaatakować ludzi.

- A w magazynie umiera jakaś kobieta. Jedna z ewakuowanych - zapiszczało z wrażenia inne dziecko. - Bo podniosła coś z ziemi i zjadła. Wszyscy tak mówią.

- Jeżeli to zaraza, to trzeba zawieźć chorą do szpitala zakaźnego. Jak się rozniesie, będzie tragedia. Wszyscy poumierają.

- Nie ma tu żadnego szpitala zakaźnego - powiedział ponuro kowal. - Nie mamy tu nic takiego.

- To co robicie, jak we wsi wybucha zaraza? - nalegałem.

- Cała wieś ucieka. Uciekamy, zostawiamy chorych. Takie jest prawo. Jak u nas wybucha zaraza, inne wioski muszą nam pomóc. Bo jak u nich wybuchnie, to my też im pomagamy. Dwadzieścia lat temu, jak była cholera, przez trzy miesiące mieszkaliśmy w sąsiedniej wiosce.

Dwadzieścia lat temu - to brzmiało dostojnie, jak stara legenda. Zacząłem sobie to wyobrażać: dwadzieścia lat temu, w mrokach dziejów, wieśniacy uciekają,

zostawiając na łasce losu jęczące, cierpiące ofiary zarazy. A teraz rozmawiam z jednym z tych uciekinierów, który stoi tak blisko mnie, że czuję odór jego potu.

- To czemu tym razem nie uciekacie? - zapytałem, dysząc mimowolnie.

- Jak to „tym razem”? - odpowiedział. - To żadna zaraza. Padło trochę zwierząt, zachorowało dwoje ludzi, ale tylko jedna osoba zmarła, to wszystko.

Urwał, mocno zacisnął wargi i odwrócił się. Podbiegłem pomóc kolegom. Poprzenosiliśmy wszystkie zwierzęta łącznie z małym pieskiem i powrzucailiśmy je do dołu jedno na drugie, ściśle je upychając. Większość trupów już gniła, więc gdy skóra ich kończyn pękała mi w dłoniach, czułem niemal, że zarazki rzucają się na mnie całą chmarą, i zalewał mnie zimny pot. Po chwili jednak mój węch był tak przytępiony falą smrodu, że właściwie świadomie nic już nie czułem. A gdy wreszcie przenieśliśmy do dołu wszystkie zwierzęta i gdy przysypaliśmy je ziemią, niecierpliwie podnieśliśmy oczy i zobaczyliśmy, że na wąskim, ograniczonym z obu stron przez góry paśmie nieba świeci słońce i że leje się z niego na nas południowe światło.

- Po obiedzie przyjdziemy lepiej ubić ziemię - oznajmił kowal. - Idźcie do rzeki umyć ręce, tylko porządnie.

Z okrzykiem radości, wymachując ubłoconymi rękami, zbiegliśmy do płynącej dnem kotliny wąskiej rzeczki. Tkwiły w niej aksamitne od mchu kamienie, między którymi sączyły się strumyczki czystej wody; gdy wkładaliśmy w nie dłonie, ciała przeszywał nam ostry ból. Jednak gdy tarliśmy nasze czerwone, zapuchnięte, odrętwiałe palce, na chwilę pojawiała się między nimi tęcza i ten pulsujący, słoneczny blask rodził w naszych gardłach szczęśliwy śmiech.

- Porządnie się myjcie, tam jest kupa zarazków - powiedziałem głośno. - Zarazy można dostać nawet od dotknięcia.

- Psia zaraza, szcurza zaraza - wołał wesoło Minami, chlapiąc wodą wokoło. - Kocia zaraza, żuczka zaraza.

Zaśmiewaliśmy się głośno i darliśmy się jak opętani, ale jeden z chłopców nagle zamilkł i w napięciu zaczął wpatrywać się w coś pod powierzchnią wody. Jego nagle milczenie udzieliło się wszystkim. Wychylając się jeden przez drugiego, patrzyliśmy w miejsce, które wskazywał drżącym palcem.

- To krab - zawołał ze zdumieniem mój brat.

I rzeczywiście był to krab. Zbrojne w szczypce odnóży wielkości dziecięcej dłoni wychylały się spomiędzy kamieni w bladoniebieskiej wodzie na tle płowego piasku. Na każdym z nich gięły się z prądem brązowe włoski. Brat ostrożnie włożył dłoń do

wody i podsunął ją do odnóży kraba. Musnął go chyba jednym palcem, bo woda zmętniała w jednej chwili. Gdy na nowo się oczyściła, pod kamieniem nie było już nic. Zaśmialiśmy się chrapliwie i przez odświeżone nosy wdychaliśmy woń rzeki, zwykłą woń wody i piasku.

- Chodźcie tu, chodźcie, co wy tam wyrabiacie? - krzyczał poirytowany kowal.

Wracaliśmy do świątyni, wspinając się po zboczu, deptając zwiędłą trawę, a potem maszerowaliśmy po wybrukowanej, wiejskiej uliczce. Już we wsi nie mogliśmy iść dalej, bo drogę tarasowali chłopci, którzy z natężeniem wpatrywali się w drzwi magazynu i nie zwracali uwagi na naszą kolumnę. Wiejskie dzieci chyłkiem przemknęły obok nas i dołączyły do grupy dorosłych. Z budynku dobiegał dziewczęcy szloch, który zmroził nas do szpiku kości.

Zza drzwi wynurzył się mężczyzna o szerokim, łysym czole i wielkich, odstających uszach; niósł starą, wypchaną, skórzaną torbę. Gdy energicznie pokręcił głową, wśród wieśniaków przebiegł niespokojny szept. Kilku z nich weszło do środka.

- No i co, panie doktorze? - odezwał się kowal. Jego głos zabrzmiał nienaturalnie głośno w posępnym milczeniu wieśniaków.

- No cóż... - powiedział wyniośle mężczyzna, nie odpowiadając wprost na pytanie, i przepchnął się ku nam przez tłum.

Przyglądał się nam uważnie nieprzyjemnym, badawczym spojrzeniem zmęczonych, brązowych, jakby zmętniałych oczu. Ogarnęło nas dziwne przecucie, że to, co zostawił w magazynie, za chwilę przyjdzie straszyc nas.

- Kto tu jest szefem? - zapytał niskim, szorstkim głosem. - Kto tu rządzi?

Speszony, podbechtywany i namawiany przez kolegów, wykrztusiłem wreszcie:

- Ja, ale to bez znaczenia.

- Tak? - powiedział. - Zbadałem waszego chorego kolegę. Jutro niech ktoś przyjdzie po lekarstwo do sąsiedniej wioski. Narysuję wam, jak trafić.

Z wypchanej torby wyjął notes, narysował w nim ołówkiem mapkę, wydarł kartkę i wepchnął mi ją do wyciągniętej ręki. Zanim schowałem ją do kieszeni na piersi, usiłowałem zorientować się w niej trochę, ale nie miałem pojęcia, co przedstawia ten prosty plan.

Właśnie chciałem zapytać lekarza o stan chorego kolegi, ale wtedy z magazynu wyszedł naczelnik ze szlochającą dziewczynką, którą poprowadził w górę po zboczu.

Jej lament - taki, jakby ktoś przypalał ją żywym ogniem - sprawił, że wstrząśnięci zamilkliśmy jak oniemiałe z trwogi zwierzęta.

3. Wybuch zarazy i ucieczka wieśniaków

Po południu mieliśmy iść ubijać ziemię nad dołem z pochowanymi zwierzętami. Zjedliśmy prosty posiłek i długo potem czekaliśmy, siedząc na wąskiej werandzie świątyni i chłonąc całym ciałem słabe, zimowe słońce, ale kowal, który kierował naszą pracą, nie pojawił się na prowadzącej przez świątynny ogródek ścieżce. Tylko wiejskie dzieci, brudne, o prawie całkiem zubożniętych twarzach, stały z założonymi rękami i uważnie się nam przyglądały. Gdy wygrażaliśmy im pięściami, rozbiegały się w popłochu jak psy, ale zaraz gromadziły się na nowo. Wkrótce znudził nas ten jednostronny berek i ignorując je jak trawę czy drzewa, zajęliśmy się własnymi sprawami. W końcu był to nasz pierwszy odpoczynek od chwili przybycia do wioski.

Niektórzy porządkowali więc tobołki, rozkładając na słońcu swe skarby - tajemnicze rurki albo uchwyty z brązu, zakrwawione łańcuchy do walki czy kawałki kuloodpornego szkła - i polerując je szmatkami. Inni kończyli model samolotu, strugany z kawałka miękkiego drewna. Minami musiał sobie opatrzyć odbyt, chronicznie zainfekowany od jego pełnej poświęcenia pasji; wierny pomocnik wcierał w niego resztkę maści z celulooidowej tubki, wydobytej z tobołka. Minami musiał przyjąć poniżającą pozycję, w jakiej małe zwierzęta oddają kał, ale jeżeli ktoś zaczynał się z niego naśmiewać, natychmiast rzucał się z opuszczonymi spodniami na bezczelnego typka i okładał go pięściami. Mieliśmy święty spokój i po raz pierwszy od wielu dni czas na leniuchowanie. Tylko chłopiec chory na żołądek, teraz już zbyt słaby nawet, by jęczeć, leżał na wznak ze wzrokiem utkwionym w strop. Ale co mogliśmy na to poradzić?

Powietrze nagle zrobiło się zimne, powiał wiatr, zmierzch spłynął z wierzchołków drzew, zasłaniających światło ze spokojnego nieba. Milczące wieśniaczki przyniosły wieczorny posiłek. Gdy zjedliśmy pośpiesznie, wszystkie drewniane drzwi znowu zamknięto od zewnątrz. Obecny przy posiłku kowal milczał z surową miną i nie odpowiadał na próby nawiązania rozmowy. Gdy zostaliśmy sami, znów uwięzieni we wnętrzu ciemnej świątyni, ów szczególny zapach, którym podczas pracy przesiąkły nasze ciała, ubrania i przede wszystkim dusze, stopniowo się z nich

wydobywał i mieszał z i tak już dusznym powietrzem w pomieszczeniu. Mimo to usiłowaliśmy przywołać sen przed nasze oczy i w głąb nas, tak byliśmy przytłoczeni wypełniającym nasze ciała znużeniem i ciężkim zaduchem w izbie.

Ale słaby, płytki oddech chorego, wrzaski zwierząt w nocnym lesie i trzask drzew za drzwiami odbierał nam sen. W dodatku tu i tam słychać było odgłosy ruchu, szmer ukradkowej i tłumionej rozkoszy; ja jednak byłem zbyt zmęczony, żeby sobie dogodzić.

Tej nocy nasz schorowany kolega umarł. Wszyscy zbudziliśmy się w tej samej chwili. Nie rozległ się żaden nagły dźwięk, nie poczuliśmy czyjejś obecności, można powiedzieć, że wręcz przeciwnie. Spaliśmy lekko i nagle w tym śnie zabrakło czegoś cichego, coś zniknęło. Ta dziwna inność dotknęła wszystkich jednocześnie. Usiedliśmy w ciemności. Nagle w mrocznym powietrzu rozległ się cichy szloch jednego z młodszych chłopców. Zapłakany, powiedział, że to straszne stracić przyjaciela. Zrozumieliśmy w lot. Po omacku zbliżyliśmy się do martwego chłopca, który już zaczynał chłodzić i tężeć, a który jeszcze wieczorem był jednym z nas. Otoczyliśmy go i dotykaliśmy ciała, z którego nagle uszło życie, a potem cofaliśmy dłonie, jakby ze wstrętem.

Nagle paru z nas zaczęło krzyczeć i dopadło drzwi. Panika natychmiast udzieliła się wszystkim. Wrzeszczeliśmy i waliliśmy w drzwi, przywierając do nich całym ciałem, jakbyśmy chcieli znaleźć się jak najdalej od trupa.

- Ej, ej! Otwierać! Ej! Chory nie żyje!

-Ej! Ej!

Krzyczeliśmy, ale chór naszych głosów nie przekazywał żadnego konkretnego sensu, był jak krzyki zwierząt nocą w lesie. Potem poczuliśmy, że za tym pchaniem, tłuczeniem w drzwi, za krzykiem, lecącym w niebo i w głęboką dolinę, kryje się tylko nasz smutek.

Minęło dużo czasu - krzyczeliśmy coraz ciszej, bo ochrypliśmy i brakło nam sił - nim usłyszeliśmy niespokojne kroki tłumu ciągnącego drogą przed ogródkiem. Zamek w drewnianych drzwiach obrócił się z chrzęstem. Zamilkliśmy w oczekiwaniu. Jednak wieśniacy zawahali się, nim weszli, od drzwi poświecili sobie silną latarką. W jej świetle zobaczyłem zalaną łzami twarz brata. Potem do środka weszli naczelnik i kowal. Obaj mierzyli do nas ze strzelb i przypatrywali się nam nieufnie. Nie mówiliśmy nic, tylko oddychaliśmy głośno. Obaj byli spięci jak uzbrojeni strażnicy tłumiący więzienny bunt. Zagryzali wargi i rozdymali nozdrza.

- Czego, smarkacze? - warknął naczelnik. - Co to za awantury?

Chciałem wyjaśnić, co się stało, więc przełknąłem ślinę, by rozluźnić ochryple gardło, ale niepotrzebnie. Snop światła latarki, którą kowal trzymał w lewej ręce, przesunął się na zmarłego i tam pozostał. Obaj zbliżyli się do naszego martwego towarzysza, zdecydowanie stawiając obute nogi na macie, i, czując na sobie nasz badawczy wzrok, stali się jeszcze bardziej napięci i podejrzliwi. Potem pochylili się i zaczęli przypatrywać się ciału. W żółtawym świetle latarki widać było bladą, zmierzwioną, małą główkę, skórę, zeszywniałą jak owocowa skórka, a pod nosem strup zaschniętej krwi. I ciężkie powieki, unoszone przez szorstkie palce, i ręce, skrzyżowane na piersi.

To było wstrętne. Zaczął narastać w nas posępny, zimny gniew na tych wieśniaków, którzy, przyświecając sobie latarką, oglądali ciało. Gdyby jeszcze przez chwilę przeciągnęli to beczeszczenie zwłok, kilku z nas chyba rzuciłoby się na nich z krzykiem. Ale nagle się wyprostowali i wyszli do ogródka, zostawiając ciało.

Właśnie wzeszedł późny księżyc. Przez wąską szparę w drewnianych, niezamkniętych drzwiach zobaczyliśmy ciemną gromadę wieśniaków, którzy cicho rozmawiali ze stojącym naprzeciw nich naczelnikiem i kowalem. Może dlatego, że byli podekscytowani, gadali niezrozumiałym dla nas dialektem, więc mogliśmy tylko patrzeć na nich jak na gryzącą się między sobą, warczącą sforę psów.

Naczelnik krzyknął coś ostro, jakby wydawał rozkaz. Odpowiedziało mu długie milczenie. Krzyknął jeszcze raz, a wtedy tłum wieśniaków ruszył przez ogródek. Gdy kowal wskoczył na ganek i zaczął zamykać drzwi, usiłowałem go wypytać. W oświetlającym go od tyłu świetle księżycy był czarny i zwalisty. Zamknął drzwi, nie okazując mi najmniejszego zainteresowania. Szybko jednak poszedł sobie, i tym razem nie przekręcił klucza w zamku. Skuleni w kącie jak najdalej od ciała, obejmując rękoma kolana, usłyszeliśmy, że kroki dorosłych oddalają się. I poczuliśmy, że nasze podniecenie mija, że znika gdzieś jak oddalający się dźwięk. Teraz nawet już nie wiedzieliśmy, dlaczego krzyczeliśmy i tłukliśmy w drewniane drzwi. Dzieci nic nie mogą poradzić na śmierć.

Znów ujrzałem umorusaną, metalowoszarą twarz brata - tym razem w świetle padającym przez szczelinę w drzwiach. Popatrzył w moją stronę lśnącymi, brązowymi jak rodzynki oczyma, w których jeszcze czaiły się ślady łez i strachu.

- Co? - zapytałem.

Przesunął językiem po wargach, którym natychmiast wrócił ich żywy kolor i blask.

- Zimno mi.
- A co, nie masz kurtki? - zapytałem, dotykając jego drżących ramion.
- Pożyczyłem tamtemu, bo okropnie marzł - wykręcił głowę w kierunku ciała.
- W dzień?
- Aha.
- Teraz już mu niepotrzebna - powiedziałem ze złością. - Weź ją z powrotem.
- No - mruknął niechętnie i spuścił wzrok.
- To ja ci przyniosę - oświadczyłem i wstałem.

Zaraz ruszył za mną, jakby bał się zostać sam.

By odzyskać zieloną kurtkę brata, musiałem dość brutalnie pchać i przesuwać ciężkie ciało zmarłego chłopca. Gdy ściągałem ją z niego, ciało zachwiało się i opadło na bok. W ciemności poczułem utkwiony w siebie wzrok towarzyszy, ale nie miałem wyboru.

Kurtka śmierdziała jak owoc, szybko rozkładający się w chemikaliach, a nie przez długotrwałe działanie bakterii - był to smród nieorganicznego gnicia. Brat nie wsunął rąk w rękawy, tylko zarzucił ją sobie na ramiona i pochylony wpatrywał się w twarz zmarłego, już upiornie bladą. Po chwili wstrząsnął nim cichy płacz.

- To był mój przyjaciel, to był mój kolega - powtarzał, wstrząsany łkaniem.

Za jego plecami widziałem małą, ptasią twarzyczkę chłopca, który tak długo wędrował z nami, odchyłoną do tyłu i sztywną, a w niej zimne, ciemne, szeroko otwarte oczy. Łzy popłynęły mi po policzkach, kapiąc na ramię brata.

Objąłem go i pomogłem wstać. Wróciliśmy w kąt izby, porzucając towarzysza, który jeszcze raz zmienił się w trupa z otwartymi oczyma. Nawet gdy już siedzieliśmy wśród innych, moim bratem wciąż wstrząsał szloch. Jego rozpacz udzieliła się innym. Zrobiło się jeszcze gorzej.

Długo siedzieliśmy w ciszy, nieruchomo. Potem nagle zabił na trwożę wioskowy dzwon. Zaniepokojeni nasłuchiwaliliśmy, co się dzieje, ale dzwon wkrótce umilkł; za to wkrótce u stóp zbocza, za zakrętem brukowanej drogi, usłyszeliśmy niezwykły ruch, który jakby rozchodził się falami w każdy zakątek wioski: ludzkie kroki, stuk jakby przesuwanych mebli i nagłe rzenie koni, a potem nieustanne szczekanie psów i stłumione krzyki dzieci.

Dźwięk najpierw jakby gromadził się u stóp zbocza. Potem powoli się rozprzestrzenił. W mroku odszukałem twarz Minami. On też patrzył na mnie. Spojrzeliśmy sobie w oczy z tak bliska, że omal nie dotknęliśmy się czołami.

- Hej - powiedział cicho Minami.
- Chodźmy zobaczyć - powiedziałem.

Rzuciliśmy się ku drzwiom i z całych sił naparliśmy na nie. Kowal zapomniał zamknąć je na klucz. Otworzyły się głośno. Minami i ja wyskoczyliśmy boso do zimnego ogródka - a mój brat za nami. Minami krzyknął ostro na innych, którzy też się zerwali.

- Wy zostańcie pilnować ciała! Bo jak nie, przyjdą dzikie psy i je zezrą.
- Zostańcie i poczekajcie na nas! - Ja też krzyknąłem. - Ukarzę każdego, kto wyjdzie.

Nie byli zadowoleni, ale nie próbowali wychodzić. Minami, brat i ja zbiegliśmy w dół ścieżką przez ogród.

Gdy biegnąc po żwirze, który parzył zimnem nasze bose stopy, dotarliśmy do tego rogu ogrodu, gdzie przez dziurę w niskim, kamiennym murku widać było szeroką drogę, wilgotny, nocny wiatr przyniósł stłumiony, lecz narastający hałas i odgłosy niezliczonych kroków. Nagle zobaczyliśmy na drodze przesuwający się tłum i oniemieliśmy z wrażenia.

W ciemnej, niebieskawoszarej poświacie księżycy powoli szły przed siebie cienie postaci, przygiętych pod ciężarem dobytku. Nie tylko dorośli mężczyźni, lecz również dzieci, starcy i kobiety nieśli tobołki na plecach i w rękach. Potem doszedł jeszcze dźwięk kruszących kamienie drogi wozów i ciągniętych na uwięzi kóz i bydła. Księżyc oświetlał mokrym blaskiem białą, sztywną szczecinę na grzbietach kóz, srebrzył też główki dzieci.

Wszyscy szli razem. Pochód zamykali dwaj mężczyźni ze strzelbami. Była to pewnie tylna straż, ale wyglądało to tak, jakby pędzili wieśniaków w nieznanym kierunku, jakby prowadzili bydło do rzeźni. Pochyleni do przodu wieśniacy szli naprzód bez słowa. Gdy się oddalili, droga i stojące wzdłuż niej małe domki wyglądały przeraźliwie pusto w świetle księżycy.

- Ach - westchnął słabo mój brat, jakby miał zemdleć z wielkiego zdziwienia.
- Ach - jęknął Minami. - A więc to tak.
- Nawet kozy - powiedział brat. - Zabierają nawet bydło.

- Uciekają - rozłościł się Minami, jakby dopiero teraz zorientował się w sytuacji. - Uciekają, i to w środku nocy.

- No - przytaknąłem. - Uciekają.

Zamilkliśmy. Przeskoczyliśmy murek, przecięliśmy wąskie pole i pobiegliśmy w stronę drogi. Zimne, przesycone mgłą powietrze nocy szczypało nas w policzki i powieki jak ostry proszek, ale krew aż kipiała w nas z wrażenia; byliśmy jak oszaleli. Na drodze rozsypane przez uciekających wieśniaków ziarna zboża lekko odbijały promienie księżyca. Samych wieśniaków nie było już widać. Biegając jak najciszej, dopadliśmy starej moreli i ukryliśmy się w jej niższych gałęziach. Stąd mogliśmy patrzeć na pochód wieśniaków, oddalający się za wzniesienie. Gdy za nim zniknęli, znowu podbiegliśmy bliżej, ukradkiem, jak zwierzątko, tak by widzieć tylną straż.

- Uciekają - powiedział mój brat, usiłując naśladować ton Minami. Jego głos, ochrypli jakby ze złości, był dziwnie słaby. - Zabierają nawet kozy.

- Uciekają - powiedział też Minami. - Dlaczego?

Popatrzyliśmy na siebie. Z ust Minami ciekła ślina. Jego oczy rozwarły się szeroko.

- Nie wiem. Nie mam pojęcia - skłamałem na wszelki wypadek.

Minami mruknął coś i gryzł paznokcie z irytacji. Nad pnącym się daleko pod górę tłumem wieśniaków unosiły się krzyki dziecka, na pewno tłumione dorosłą dłonią. Rozległ się smutny skowyt psa. Ramiona mojego brata drgnęły.

- To może my też powinniśmy uciec razem z nimi? - zapytał Minami.

- Strażnik ma tu przyprowadzić drugą grupę - powiedziałem.

- Mam to gdzieś. Wieśniacy uciekają, to my biegnijmy za nimi.

Ale obaj wiedzieliśmy, że gdyby zamierzali wziąć nas ze sobą, nie zamykaliby nas w ciemnej świątyni. Wiedzieliśmy, że uciekają chyłkiem, nocą, i że wcale nie chcieli nas zabrać. Dlatego zamiast wrócić do nawołujących nas kolegów, poszedłem za wieśniakami, kryjąc się w cieniu to po jednej, to po drugiej stronie drogi. Czy mogłem postąpić inaczej?

Nagle usłyszeliśmy zbliżające się, pośpieszne kroki. Gdy tylko ukryliśmy się w gęstych krzewach obsypanych kroplami rosy, całkiem blisko, w świetle księżyca, ujrzelśmy kowala. Zbiegał w dół, podtrzymując ręką kolbę przewieszoną przez plecy strzelby, by nie obijała mu się o uda. Nadzieja rozjaśniła nasze twarze. W dodatku pochód wieśniaków jakby się zatrzymał w miejscu, gdzie droga wchodziła w las. Czyli

jest jeszcze czas, pomyślałem. Jednak nie zostawią nas w dolinie, w której szaleje straszliwa zaraza.

Ale wkrótce i ta nadzieja zniknęła, bo niemal natychmiast kowal pojawił się znowu, z wielkim koszem pod pachą. Dyszał ciężko, bo nawet w ciemnościach widzieliśmy kłęby pary wydobywającej się z jego ust. W osłupieniu zobaczyliśmy, że w koszu szamocze się jak oszalały biały królik. Wieśniacy znów ruszyli - a my usiedliśmy i nie ruszaliśmy się. Bose stopy już całkiem zdrętwiały nam z zimna, były jak napuchnięte, a chłód rozchodził się od nich na całe rozpalone ciało. Minami odwrócił się do mnie. Popatrzyłem mu w twarz, na której jak u młodego zwierzęcia dziwnie mieszały się niezdrowe okrucieństwo i dziecięca niedojrzałość. Drżał; otwierał usta, ale nie mógł wykrztusić słowa. Nagle z oczu trysnęły mu łzy.

- Ja... - powiedział rozgorączkowanym głosem, który z trudem wydobywał mu się z gardła. - Ja wszystkim opowiem. Niech się dowiedzą, jak nas tu opuścili.

Potem wyskoczył z zarośli i zrobił groteskowy, obsceniczny gest. Obejmując brata ramieniem, powoli wstałem i też wyszedłem z ukrycia. Staliśmy teraz w pełnym świetle księżyca, ale wieśniacy całkiem zniknęli już w lesie i tylko od czasu do czasu dobiegało nas z tamtej strony szczekanie psa. A potem rozległ się odgłos plaskania stóp - to Minami popędził co sił drogą.

Nie wiadomo po co poszliśmy na skraj lasu i usiedliśmy nad rowem. Księżyc zniknął prawie w koronach drzew; świt zaczynał już rozświetlać perłowym blaskiem ciemnoszare niebo. Mróz był straszny. Mgła znowu gęstniała, ograniczając widoczność. Nie wiedzieliśmy, co zrobić. Nawet gdybyśmy pobiegli obudzić kolegów, nic by to nie dało. A poza tym byłem tak zmęczony, że nie miałem na nic siły.

- Prześpij się trochę - powiedziałem głosem nabrzmiałym od łez.

- Ta kurtka śmierdzi - powiedział brat, przyciskając mi do boku czoło i zwijając się przy mnie w kłębek. - Nie chcę jej nosić.

- Jak wszędzie słońce, wypierzemy ją w rzece - powiedziałem, żeby dodać mu otuchy, choć nie byłem pewny, czy w tej małej, wąskiej rzeczce uda się cokolwiek wyprać.

- Dobra - odparł, wierząc się i jeszcze mocniej przytulając do mnie. - Wypierzemy.

- Jak powieje wiatr, zaraz wyschnie - stwierdziłem, położyłem mu dłoń na plecach i zacząłem lekko nim kołysać. - Najlepszy byłby południowy.

- Rano szybko wyschnie - powiedział słabym głosem, zapadając w sen. Potem lekko ziewnął i po chwili już spał w tej niewygodnej pozycji.

Zostałem sam, wyczerpany i przygnębiony. Odsunąłem się od brata, oplótłem obiema rękami kolana i spuściłem głowę. Jego kurtka rzeczywiście lekko zalatywała trupem, a może to było tylko takie ulotne wrażenie. Z całych sił zmuszałem się, by myśleć tylko o praniu kurtki w rzeczce, gdy nadejdzie świt i powieje południowy wiatr. Byle nie myśleć o tym, że nas porzucono.

4. Odcięci od świata

O świcie w wiosce panowała śmiertelna cisza. Nie piał koguty, nie słychać było żadnych innych zwierząt. Poranne słońce, miękkie i białe, zalewało nieruchome, jakby otumanione domy, drzewa, ścieżki - w ogóle całą głęboką dolinę. Wioska była w nim skąpana jak w czystej wodzie, nie rzucało też najmniejszego cienia u naszych stóp, stóp porzuconych chłopców, gdy chodziliśmy drogą w górę i w dół zbocza.

Wszystko było lepsze, niż zostać w ciemnej świątyni - byle jak najdalej od zwłok naszego kolegi, które zaczynały już wydzielać wilgotny zapach, wyciągnięte nieruchomo jak drzewo, jak dom. Łaziliśmy więc po wiejskiej drodze, pustej i wymarłej jak wydma nad wzburzonym morzem, z oczyma spuchniętymi od niewyspania, pochyleni, z dłońmi wbitymi w kieszenie kurtek.

Dusił nas lęk, ale chodziliśmy w milczeniu dwójkami, trójkami, dotrzymując sobie nawzajem towarzystwa na pokrytej szronem drodze. Gdy napotykaliliśmy inną grupkę kolegów z kwaśnymi minami, uśmiechaliśmy się bez słowa i gwizdaliśmy do siebie, kierując się dziwnym, niespokojnym poczuciem nierzeczywistości. Byliśmy trochę oszołomieni widokiem tej wioski, tak całkowicie bez mieszkańców, tą jakby jej pustą skorupą, i czuliśmy się bardzo niepewnie - trochę tak, jak na szkolnych uroczystościach. Gwałtowne podniecenie na wieść o ucieczce wieśniaków i pierwszych godzin po niej już opadło. Mieliśmy wrażenie, że ten nasz milczący respekt względem dziwnej, pustej wioski zaraz doprowadzi nas do śmiechu, więc zaciskaliśmy zęby. Pozbawieni straży nie mieliśmy nic do roboty. Nie wiedzieliśmy, co robić, więc powoli i uparcie łaziliśmy tam i z powrotem po wiejskiej drodze.

A w wiosce panowała cisza. Niebo zakrywające dolinę zrobiło się przejmująco, żywo bładoniebieskie. Po drugiej stronie kotliny zbocze góry, w której znajdował się

opuszczony szyb, wyglądało tak, jakby pływało w nim mnóstwo małych rybek, gdy w podmuchach wiatru liście krzewów ukazywały swe srebrnoszare spody. Po chwili zafalowały jak morze liście drzew rosnących przy drodze - znak, że wiatr się zmienia. Ale poniżej, na wysokości naszych głów i ramion, nie wiało wcale. Grzało słońce. Domy zamknięte były na solidne, żelazne kłódki lub na zasuwę owinięte łańcuchem. I milczały. Wolno przechadzaliśmy się między nimi.

Było południe, gdy słońce wyszło nad górski grzbiet. Idąc drogą, słyszeliśmy zegary wybijające godzinę w zamkniętych na głucho, opuszczonych domach. I nagle zaatakował nas głód. Wstrzymując oddech, z lekkim strachem poszliśmy do izby, w której leżał nasz zmarły kolega, po nasze tobołki; każdy miał w nich jeszcze trochę sucharów. Wróciliśmy na plac przed szkołą i tam zjedliśmy. A zgromadziliśmy się tam tylko dlatego, że stała tam mała pompa; kiedy się pompowało, ciurkał z niej cienki strumyk mętnej wody. Innego powodu nie było. I nie było też żadnego oczywistego powodu, by zachowywać to dziwne milczenie, ciężkie i nienaturalnie niezręczne. Byliśmy pewnie jedynymi ludźmi, którzy zostali w milczącej wiosce, a przytłaczało nas wszystkich to samo poczucie zaskoczenia. Skoro dzieliliśmy los i uczucia, co mogło nas poróżnić.

Ale po skończonym posiłku pełne brzuchy wprawiły jednych w denerwujące znużenie i smutek, innych w głupawy błogostan. Zaraz zaczęliśmy mleć ozorami i klócić się.

- Czemu uciekli? - zapytał mnie jeden z kolegów. - Wiesz?

- Właśnie, czemu? - powtórzył mój brat, który siedział tuż przy mnie, otaczając ramionami kolana, z przechyloną na bok głową.

- Nie wiem - odpowiedziałem.

Nad wioską i doliną znów zapadła rozleniwiająca cisza, otaczając nas niby pierścieniem i odbijającym się echem. Jedni leżeli na bruku, inni, oparci o pnie drzew, tępo wpatrywali się w niebo, które jakby w jakiś dziwny sposób na nas opadało.

- Ty, ej, ty - powiedział Minami, nagle wstając i patrząc na mnie. - Ty nie piłeś wody z tej studni, no nie?

- Co? - zapytałem zaskoczony.

- A czemu nie piłeś? - nie ustępował Minami. - Wiem czemu. Boisz się zarazy. Ludzie uciekli ze wsi, bo przerazili się zarazy i zostawili nas w mrowiu zarazków.

Teraz niepokój zaczął udzielać się wszystkim. Uznałem, że muszę ich jakoś uspokoić, bo z rozpaczony mogą stać się nieobliczalni. Nie tylko oni - ja też.

- Zarazy? - powiedziałem, wykrzywiając usta, jakbym szydził z Minamiego. - Nawet mi to do głowy nie przyszło.

- A ta kobieta, co umarła w magazynie? I nasz kolega? - pytał dalej.

- On zachorował, zanim tu dotarliśmy - odparłem. - Wszyscy to wiemy, no nie?

- A te zwierzęta? - odezwał się po chwili namysłu Minami. - Tyle ich padło.

Wspomnienie widoku i smrodu tej sterty zwierzęcych trupów, które chowaliśmy nie dalej jak wczoraj, natychmiast wróciło i wstrząsnęło mną na nowo. Dlaczego?

- Szczurza zaraza, królicza zaraza - próbowałem pokpiwać. - Jak ktoś się tego boi, proszę bardzo, niech ucieka z wieśniakami!

- Ja uciekam - zdecydował Minami, zarzucił tobolek na plecy i zerwał się na równe nogi. - Nie chcę umierać. A wy możecie sobie tu zostać, zdychać od zarazy i czekać na strażnika z drugą grupą.

Nasi koledzy po kolei wstali i ruszyli za nim. W końcu przy pompie zostało nas tylko dwóch: ja i mój brat. Popatrzyliśmy sobie w oczy. Gładka skóra wokół jego warg drżała z niepokoju. Gdy Minami i cała reszta dotarli do głównej drogi, ruszyliśmy za nimi, ale na znak sprzeciwu zostawiliśmy toboleki.

Wspinaliśmy się krętą drogą po zboczu, aż doszliśmy do lasu, gdzie leżała spora warstwa mokrych, opadłych liści. Trzymaliśmy się z dala od grupy Minamiego. Szliśmy, objęci ramionami, afiszując się z naszą braterską więzią, ale nie byłem pewny, czy zostalibyśmy sami w wiosce, po tym jak oni odeszli. Dlatego też, gdy brat ścisnął mnie ramieniem i patrzył na mnie rozgorączkowanym wzrokiem, bezlitośnie go ignorowałem. Jego oczy pytały: Czy to rzeczywiście zaraza? Czy myszy polne i inne zwierzęta też poginęły? Odpowiadałem sam sobie: Nie wiem, skąd mam wiedzieć?

Gdy Minami i cała reszta wyszli z lasu, stanęli jak wryci przy końcu toru kolejki. Obaj z bratem nie wytrzymaliśmy - podbiegliśmy do nich. Wszelkie nieprzyjemne uczucia natychmiast zniknęły. Patrzyliśmy na drugi koniec toru jako jedna grupa. Jedna, osłupiała grupa. Potem wszyscy razem westchnęliśmy gorzko.

Na przeciwległym zboczu na torze kolejki wznosiła się teraz złowieszcza barykada z pni drzew, desek, podkładów i kamieni - byliśmy odcięci. Każda próba wspięcia się po niej z wąskich szyn musiałaby się skończyć upadkiem na dno doliny wraz z kamieniami i drewnem. Barykada stała przed nami jak potężny mur obronny,

a zarazem była niebezpiecznie niestabilną pułapką. W głębokim dnie doliny szalała woda, spływająca z zalanych wyżyn. Staliśmy zaskoczeni i osłupiali, niezdolni nawet myśleć. Ja też - bo choć przedtem nie miałem zamiaru przedostać się na drugą stronę doliny, by uciec z wioski, nastrój kolegów udzielił się i mnie. Byłem jak oni zszokowany i jak oni milczałem.

I nagle zobaczyliśmy przez zwarzone mrozem gałęzie drzew, że z szopy przy tamtym końcu toru wychodzi jakiś człowiek. Pierwszy krzyknął Minami, po chwili wszyscy darliśmy się jak najęci.

- Ej! Ej! - wołaliśmy, wymachując rękami i patykami, by przyciągnąć jego uwagę.

Nasze głosy, kiedy tak się przekrzykiwaliśmy, niosąc się echem po dolinie, brzmiały jak żaloszny chór.

- Ej! Ej! Jeszcze my! Ej!

Ten ktoś po drugiej stronie już nas zauważył. Mężczyzna szybko zdjął z ramienia strzelbę myśliwską i wskoczył na kopczyk na lewo od szopy. Opuściliśmy ręce i przestaliśmy zdzierać obolałe gardła. Zrozumieliśmy. On zajmował najdogodniejszy punkt obserwacyjny na wypadek, gdyby któremuś z nas w rozpacz przyszło do głowy ruszyć po torach na drugą stronę doliny. Nie tylko wzniesiono więc barykadę, lecz również postawiono przy niej uzbrojonego wartownika. Byliśmy odcięci od świata.

Gniew wybuchnął w nas jak płomień. Rzucaliśmy przekleństwa w stronę przeciwległego zbocza, ale nasze wrzaski niosły się tylko po dolinie, ginąc w szumie rzeki, i nie docierały do mężczyzny, który przykłęknął na pokrytym bezlistnymi dębami zboczu i wycelował w nas swoją strzelbę. Rozsadzała nas wściekłość i byliśmy samotni.

- A to drańska banda - warknął Minami skrzeczącym ze złości głosem. - Zabijają każdego, kto spróbuje przejść po moście. Ale draństwo, co?

- Ale dlaczego? Dlaczego będą strzelać? - pytał mój brat z oczyma pełnymi łez. Głos drżał mu jak małemu dziecku. - Jak to zabijają?

- Przecież my nie jesteśmy ich wrogami - powiedział płacząco ktoś inny, komu udzieliło się wzburzenie mojego brata. - Nie jesteśmy ich wrogami.

- A dlatego, żeby nas tu odciąć! - wrzasnął Minami. - Przestańcie się mazać. Chcą nas tu odciąć, i już. Zrozumiano?

- Ale dlaczego chcą nas odciąć? - zapytał cichutko mój brat, onieśmielony gwałtownym tonem Minamiego.

- Bo ty, ja, my wszyscy jesteśmy zarażeni - odparł Minami. - Boją się, że wszędzie rozniesiemy zarazę. Więc dlatego chcą nas odciąć, żeby patrzeć, jak zdychamy razem z psami i myszami.

- Ale my wcale nie jesteśmy zarażeni - oświadczyłem kolegom, groźnie spoglądając na Minamiego. - Tylko oni tak myślą. Czy rzygał ktoś dziś rano? Czy dostał ktoś czerwonych plam na całym ciele? Albo wszy?

Cisza. Zagryzłem wargi, gdy echo powtórzyło moje słowa.

- Wracajmy - powiedział Minami. - Lepsza zaraza niż kula w łeb.

Z dzikim okrzykiem kopnął w tyłek stojącego przed nim chłopca i popędził przed siebie. Ruszyłem za nim drogą przez las. Biegłem prawie na oślep, do utraty tchu, byle mi nie uciekł. Dogoniłem go, gdy wyczerpany zatrzymał się na skraju lasu. Przez chwilę tylko dyszeliśmy ciężko, niezdolni wykrztusić ani słowa. Nasi młodszy koledzy zostali daleko w tyle; teraz las rozbrzmiewał odgłosami ich biegu, które były jak zapowiadające burzę nagłe porywy wiatru. I jak okrzyk wyrwany z niespokojnej piersi.

- Słuchaj no. Żebyś już więcej nie mówił o zarazie - odezwałem się ochryple do Minamiego. - Jak rozkleją się przez ciebie, pożałujesz.

Wyczuł groźbę w moim głosie, uniósł podbródek do góry, ale mi się nie sprzeciwił. Milczał, tylko jego twarz wyrażała niepokój i gniew.

- Zgoda? - powiedziałem. - Ja też nic nie powiem.

- Dobra - powiedział roztargniony. Zupełnie jakby już myślał o czym innym. A potem nagle zaczął mówić: - Ale jeżeli zechcemy uciec, to musi nam się udać. Niech sobie pilnują toru. Damy radę.

Doskonale wiedziałem, że blefuje. Milczałem, czując na twarzy jego rozszluszczony wzrok. O tym, że ucieczka nie może się udać, przekonało mnie opowiadanie wieśniaków uczestniczących w obławie na kadeta, głębokość doliny i wartki prąd rzeki, który widzieliśmy na własne oczy.

- Możemy przejść przez górski grzbiet - mówił Minami, odrzucając mój niemy sprzeciw, choć jego głos nie był już taki silny.

- To wieśniacy po drugiej stronie zbiją cię na kwaśne jabłko - powiedziałem. - Tak jak wtedy, kiedy uciekałeś wcześniej.

Barykada na torze kolejki była jak symbol. Ten gruby, niezłomny mur skupiał w sobie całą wrogość ludzi z otaczających nas wiosek. A tej nie mogliśmy się przeciwstawić. Tej nie mogliśmy przebić.

- Aha, na kwaśne jabłko - jęknął Minami. - Trzy razy uciekałem i trzy razy sprali mnie na kwaśne jabłko. Tylko że tym razem siedzi tam ten typ z myśliwską strzelbą. Kiedyś musiałem pomagać szlachtować chore psy i bydło. Młotem tak wielkim jak ich łby. Rozumiesz? Chore bydło aż jęczało.

- Przestań, bo ci przywalę - krzyknąłem z wściekłością. - I żebyś więcej nie mówił takich rzeczy.

- Rozumiesz, rozumiesz - powiedział, gotów odeprzeć mój atak. - Żeby zabić chore ciele, trzeba było trzech ludzi. Ja odwracałem jego uwagę wodą albo sianem.

Już miałem skoczyć mu do gardła, ale w tej samej chwili oczy zasły mu łzami. Powstrzymałem się, dysząc ciężko.

- Rozumiesz teraz? - zapytał, wycierając łzy wierzchem dłoni. - Bo ja naprawdę to robiłem.

- To co innego. Jesteśmy odcięci, ale żaden z nas nie zachorował - powiedziałem.

- Nawet nie umiem tego opowiedzieć - mówił poirytowany. - Ale przypomniałem sobie, jak to było, kiedy zabijałem te cielaki. Wszystko mi się przypomniało.

Niemal udzieliło mi się to smutne rozdrażnienie, które spłynęło na niego. Wargi mi drżały już nie tylko z gniewu.

- Ale przecież nic na to nie poradzimy, prawda? - powiedziałem. - Nie bez. Jesteśmy odcięci. Nic na to nie poradzimy.

Wreszcie dogonili nas inni, również mój brat. Gdy nas otoczyli, Minami i ja patrzyliśmy sobie w oczy jak najlepsi przyjaciele.

Nie zamierzam usprawiedliwiać tego, co zaczęło się późnym popołudniem. Nikt z nas o tym nie przesądził, nikt tego potem nie oceniał. A choć było to nienormalne, zaczęło się całkiem zwyczajnie - tak samo, gdy dorastającym dzieciom zaczynają nagle wydłużać się uda.

Zaczął się więc od tego, że każdy z nas wybrał sobie dom - czasem na jeden dom przypadło nas dwóch - i brutalnie włamaliśmy się do środka. Bez dreszczu

podniecenia, który zwykle towarzyszy kradzieży, odkryliśmy pochowaną po chatach żywność.

My z bratem wybraliśmy sobie dom z balami w ścianie, na samym końcu brukowanej drogi w dolinę. Gdy wyrwałem kłódkę z drzwi i rozwalilem zamek kamieniem, który przyniósł mój brat, on wskoczył do mrocznego wnętrza jak mała, zwinna rybka.

Było tam ciemno, zupełnie jak w opuszczonym przez ludzi lesie. Tylko w powietrzu unosił się jeszcze zapach człowieka, ale już słabł, pozbawiony cudownej świeżości „życia”. Z otynkowanych ścian, nagich, czarnych belek czy ciężkich, koślawych sprzętów, wbijających się w rozłożone na podłodze tatami, z żadnego zakamarka nie patrzyły na nas obce oczy, gdy wkradaliśmy się do obcego domu. Nie było tu obcych, więcej, nie było tu nikogo. Było to miejsce opuszczone przez ludzi.

Razem z bratem beztrąsko deptaliśmy białą porzuconą w pośpiechu na tatami i deskach podłogi. Znaleźliśmy ukryte worki z ryżem, trochę suszonych ryb i odrobinę sosu sojowego na dnie starej, popękanej butelki. Wynieśliśmy to wszystko na drogę, jakbyśmy zbierali przydrożne kwiaty. Pracowaliśmy powoli, w milczeniu. Wyrzuciłem na stertę żywności na bruku puszkę mączki sojowej. Zdążyłem tak obrócić kilka razy, gdy zawołał do mnie Minami, który właśnie z grymasem na twarzy wyciągał worek pełen jedzenia z domu na rogu.

- Takiego śmiecia jeszcze nigdy nie kradłem - powiedział ponuro.

- A twój co? Stoi? - odkrzyknąłem, bo zawsze się chwalił, że kiedy popełnia przestępstwo, ma straszną erekcję.

- A gdzie tam. Miękki jak szmaciana lalka.

Jego głos wkrótce zanikł w odbijającej się echem pustce. Wróciłem do moich „śmieci”. Zabraliśmy się do nich właściwie dlatego, że nie mieliśmy nic innego do roboty, ale ta grzeszna, niedbała praca nie była zbyt ciekawa. Domki były małe, a kradziony „towar” - byle jaki. Ani na chwilę nie budził naszego zainteresowania. Razem z bratem postanowiliśmy zanieść tyle łupów, ile udźwigniemy, na plac przed szkołą. Nasi koledzy już tam złożyli swoje. Były to nędzne worki z żywnością. Mogła nam ona zapewnić dość długie przetrwanie, ale nic poza tym. Chłopcy byli wymęczeni i chyba wstydzieli się swej zdobyczy. Pogadaliśmy o tym, co się udało znaleźć, a potem poszliśmy po resztę łupów.

- Ej! - krzyknął nagle mój brat. - Spójrz tam.

Moje zwiotczałe mięśnie w jednej chwili napięły się jak struny, a krew uderzyła do głowy. Przed resztką „naszego” dobra stał wpatrzony w nas młody Koreańczyk z workiem ryżu na ramieniu. Ogarnęła mnie panująca w dolinie cisza, słyszałem tylko nagle głucho okrzyki kolegów i jakby w tle widziałem przedwieczne słońce. Powoli zbliżałem się do napastnika z utkwionym w niego wzrokiem; paliła mnie skóra na całym ciele. Worek ryżu zsunął mu się z ramienia, Koreańczyk pochylił głowę i przyczał się - wtedy na niego skoczyłem.

Pierwsza gwałtowna walka bez tchu - paznokcie wbite w skórę, napierające na siebie ciała, splątane nogi. Upadliśmy na bruk i tarzaliśmy się po nim bezgłośnie, kopiąc się i kłując nawzajem łokciami. Walczyliśmy w milczeniu, zajadle. Ciało młodego Koreańczyka silnie pachniało. Był nieprawdopodobnie ciężki. Przygniatał mnie, łokciem przyciskając mi prawą rękę do ziemi. Nie mogłem się ruszyć. Tłuste palce wbiły mi się w nozdrza, krew spłynęła po szczęce. Nie mogłem wydobyć głowy spod jego klatki piersiowej. On jednak też był unieruchomiony i też dyszał już ciężko. Wyciągnąłem lewą rękę, rozwarłem palce i wbiłem je w ziemię. Usłyszałem zbliżające się kroki brata i groźne pomruki Koreańczyka, a potem poczułem, że brat wciska mi w dłoń kamień. Uderzyłem przeciwnika w kark tak uzbrojoną pięścią.

Koreański chłopiec jęknął, zwiotczał i zsunął się ze mnie. Wstałem, trzymając się dłonią za nos. Mój wróg, o krągłej twarzy dziecka, grubych, mięsistych wargach i łagodnych, wąskich oczach, patrzył na mnie. Już miałem kopnąć go w splot słoneczny, ale opuściłem nogę i odwróciłem się do brata, który wycofał się pod przydrożne drzewa. Trzymał dłonie na biodrach i gapił się na nas okrągłymi, pełnymi łez oczyma.

Przywołałem go ruchem głowy, by zebrał resztę naszych rzeczy, ale powstrzymałem go, gdy chciał też zabrać porzucony przez Koreańczyka worek ryżu. Już mi na tym nie zależało. Potem ruszyliśmy z powrotem pod górę. Nasz wróg wciąż leżał i obserwował każdy nasz gest.

- Silny jesteś, bracie - powiedział wysokim głosem brat. Twarz miał mokrą od łez.

- On też - powiedziałem i obróciłem się, brocząc krwią z nosa na nasz łup.

Koreańczyk utykał i ugiął się pod ciężarem swego worka. Był już na krótkim, wąskim, niewybrukowanym mostku przez dolinę. Pewnie wracał do domu, do koreańskiej osady po drugiej stronie góry. Pomyślałem sobie, że nie tylko my zostaliśmy sami, i zaczęło budzić się we mnie niejasne uczucie. Ale krew ciągle lała mi się z nosa, pomyślałem, że jeżeli nie odchyłę głowy do tyłu, będę miał krew na piersi,

na rękach i na żywności też. Mój brat nie mógł już wytrzymać, zostawił mnie z tyłu i popędził opowiedzieć innym o mojej niespodziewanej walce z Koreańczykiem.

Świadomość, że w okolicy zostali jeszcze inni ludzie, zaniepokoiła moich kolegów, a wieczorem znaleźliśmy kolejnego porzuconego „sąsiada”.

Właśnie urządzaliśmy się w swoich domach i przygotowywaliśmy kolację. Każdy wziął ten dom, który podobał mu się najbardziej. My z bratem wybraliśmy sobie budynek na zboczu nad szkolnym placem; w czas żniw służył chyba za spichlerz. W sieni z klepiskiem leżały puste worki na słomę i na ziarno; niska izba miała służyć nam za mieszkanie. Wnieśliśmy do środka zdobytą żywność i stary koc w kwiaty. Ja przyniosłem trochę chrustu i ułożyłem stos na klepisku, a mój brat wykopał parę warzyw z poletka za domem. W sąsiednim gospodarstwie znalazł garnek. Włożyliśmy do niego pokrojone warzywa, suszoną rybę i parę garści ryżu i poszliśmy po wodę do pompy przed szkołą.

Przed magazynem kłębił się tłum chłopców, którzy zaglądali do środka przez otwarte drzwi. Wieczne słońce rzucało fioletowy cień na ich niedojrzałe, choć krzepkie ciała, napierające na siebie przed wejściem, ale tam jakby zamierające ze zdziwienia. Podbiegliśmy obaj. W ciemnym magazynie zobaczyliśmy martwe ciało, okryte całunem, i siedzącą obok dziewczynkę, otepiałą, lecz bardzo nam wrogą. Patrzyłem na nią ja, patrzyli inni. Wszyscy dyszeliśmy ciężko. Mimo woli westchnąłem ze zdziwienia.

- Ja też zostawili - powiedział podekscytowany Minami niskim, rozgorączkowanym głosem, przepychając się do mnie przez tłum chłopców. - Nawet nie zdążyli pogrzebać jej matki, bo zaraz uciekli. A to dranie!

- No - powiedziałem i wciąż patrzyłem na małą, nieruchomą głowę dziewczynki, na jej zwrócone na nas przestraszone oczy i na widoczne pod jej bezwładnie opadającą jak więdnąca roślina ręką czoło leżącego trupa. Powietrze z zewnątrz, zabarwione złotym blaskiem wieczoru, właśnie zaczynało wpadać do środka.

- Powąchaj, jak śmierdzi. - Minami pociągnął nosem. - Tak samo jak zdechły pies.

- Kto je tu znalazł?

- Ktoś chciał tu spać - zaśmiał się podniecony. - Ktoś chciał tu z nimi spać. Z martwą kobietą i ogłupiałą dziewczyną.

- No, nie gapcie się - powiedziałem z odrazą, myśląc o ustach dziewczynki, w półotwartych z lęku, o jej różowych dziąsłach i napiętych, drgających policzkach; była brudna i nieładna. Nie miałem też ochoty patrzeć na trupa.

- Kto otworzył, niech teraz zamyka - powiedział Minami.

Gdy jeden z kolegów ze strachem podszedł do drzwi, twarz dziewczynki wykrzywiła się, jakby miała zaraz miała się rozplakać. Potem, gdy drzwi już się zamknęły, usłyszeliśmy jej szloch. Dziewczynka natychmiast stała się dla nas tajemnicą. Wielką tajemnicą. Drzwi zacięły się i nie chciały zamknąć do końca, a nasz kolega przestał się z nimi mocować - ramiona trzęsły mu się z panicznego strachu. Chwilę jeszcze postaliśmy tam, ale zrobiło się jakoś strasznie. Z ciężkim sercem wróciliśmy do swoich domów i do gotowania kolacji.

Razem z bratem rozpaliliśmy ułożone na klepisku drewno, ustawiliśmy garnek na niewielkim ogniu i czekając na posiłek, głodni jak wilki, rozmawialiśmy o naszej kłopotliwej sąsiadce.

- Ta dziewczynka - powiedział w zamyśleniu mój brat - pewnie oszalała przez to, że umarła jej matka.

- A skąd wiesz, że oszalała?

- A jaka ona brudna - powiedział nie wiedząc czemu. - No nie?

- No - mruknąłem. - Była trochę brudna.

Ryżowa potrawka ugotowała się tak szybko, że nie wierzyliśmy własnym oczom. Smakowała też nieźle. Ale ucza. Jedliśmy zachłannie i w milczeniu, używając menażek i sztućców z naszych tobołków. Płomienie liżące kupkę chrustu na środku klepiska ogrzały powietrze wewnątrz spichlerza, w którym rozniósł się tajemniczy, wilgotny zapach. Najedzeni do syta, ociążali jak ślimaki, położyliśmy się na zaścielającej deski słomie, owinięci kocem. Zapadła noc. W wiosce byliśmy wolni, ale sen nie przychodził. Brat zamknął oczy, nakrył się aż pod brodę kocem, zalatującym potem i łojem. Oddychał lekko. Pomyślałem, że może powinienem zanieść resztę potrawy dziewczynce w magazynie. Nie chciało mi się jednak ruszyć - a poza tym bałem się leżącego przy niej nabrzmiałego ciała. Już i tak zaczynał stawać mi przed oczyma widok oglądanego w gasnącym, wieczornym słońcu trupa. I widok drugich zwłok - naszego kolegi, leżącego na wznak w opustoszałym teraz świątynnym budynku. Myślałem o śmierci. Dopadły mnie uczucia, od których ścisnęło mnie w dołku, zasychało w gardle i gniotło w brzuchu. Miałem to już od dawna - kiedy wszystko rozhula się na dobre, przez całą noc nie zmrużę oka. Natomiast w dzień nie

zdarzało mi się to nigdy. Plecy i uda miałem złane potem, tonąłem w nim cały razem z głową.

„Śmierć” była dla mnie nieistnieniem za sto lat, a za sto lat - nieistnieniem przez całą bezkresną przyszłość. Nawet w tej odległej przyszłości będą wybuchać wojny, dzieci będą trafiać do poprawczaków, niektóre sprzedadzą się homoseksualistom, inne będą żyć w miarę normalnie. Tylko że mnie już wtedy nie będzie. Rozmyślałem o tym, zagryzając wargi, zgięty wpół z lęku i gniewu. Teraz na pewno z obu trupów płyną na całą wąską kotlinę zarazki, od których powietrze gęstnieje i staje się lepkie. I co gorsza, nic nie można na to poradzić. Wzdrygnąłem się ze zgrozy.

- Co? - odezwał się mój brat.

- Nic - odpowiedziałem ochryple. - Śpij już.

- Nie zimno ci? - spytał nieśmiało po chwili. - Czuję przeciąg.

Zerwałem się i poszedłem zatkać szpary we frontowych, drewnianych drzwiach, używając do tego słomy z jednej z mat na podłodze. Przez mały otwór zobaczyłem łagodny poblask mrugającego jak latarnia ognia gdzieś w koreańskiej osadzie na przeciwległym zboczu. Zapalił ogień, pomyślałem, czując, że rozwija się we mnie jak roślinny pączek coś na kształt przyjaźni. Cały potłuczony, znów poczułem ból w nosie, ale to było jak przyjemny powiew. Silny był. Niektórzy Koreańczycy są bardzo silni, więc jak się z nimi walczy, to trwa to długo.

- Pokaż mi swój otwieracz do puszek. Ten z wielbłądem - powiedział prosząco brat. - No, na chwilę.

Wziąłem z tobołka otwieracz do puszek w kształcie wielbłąda i włożyłem mu go w wyciągniętą dłoń. Do niczego nie był nam teraz potrzebny, ale była to nasza ulubiona rzecz. Brat ciągle się o niego napraszał. Gdy wróciłem do niego pod koc, przycisnął się do mnie ciepłymi, dobrze mi znanymi plecami.

- Ej - powiedziałem. - Chyba się nie boisz?

- Co? - zapytał sennie, ziewnąwszy lekko. - Pożyczysz mi na chwilę ten otwieracz? Mogę go włożyć do mojej torby?

- Tylko potem oddaj - odparłem wspaniałomyślnie.

Ogień na klepisku niemal wygasł. Wokół, w otaczających kotlinę lasach, rozbrzmiewały krzyki zwierząt, nagły szum ptasich skrzydeł i odgłosy pękającej na mrozie kory drzew. Przytłoczony prowokującym, gaszącym wszelką nadzieję, natrętnym widokiem śmierci nie mogłem zasnąć i z zazdrości o spokojny oddech

brata omal na chwilę nie straciłem dla niego całej czułości. W wiosce spali lub nie mogli zasnąć porzuceni i niepochowani; poza wioską spali snem sprawiedliwych źli ludzie.

5. Solidarność porzuconych

Następnego ranka znów ugotowaliśmy sobie potrawkę, prawie się do siebie nie odzywając. Kończyliśmy ją przy ogniu na klepisku. Nie mieliśmy apetytu. We wsi panowała głucha cisza.

Na zewnątrz wszystko skąpane było w słabym, delikatnym, zimowym słońcu. Śnieżne zasy po obu stronach drogi powoli topniały. Postawiliśmy kołnierze kurtek i zeszliliśmy w dół zbocza. Nasi koledzy siedzieli albo łazili bez celu po placu przed szkołą. Apatia, która ich dopadła, i rozleniwiające powietrze zaatakowały teraz i mnie jak trucizna.

Usiedliśmy na kamieniu w rogu placu i otoczyliśmy kolana ramionami. Grupka chłopców skupionych wokół Minamiego zaczęła bawić się w baranie skoki, ale robili to tak leniwie i tak bez przekonania, że w końcu tylko się ze sobą pokłócili. Choć był to intensywny ruch na świeżym powietrzu, zainteresował ich akurat tak jak siedzenie na ziemi z rękoma wokół kolan. Minami i paru innych znudzonych skokami ustawiło się w krąg, zsunęło spodnie i wystawiło podbrzusza na wiatr. Obsceniczne chichoty, ochryple wrzaski. Ich członki, skąpane w jasnym słońcu, powoli wzwodziły się, powoli opadały, i tak w kółko. Niezależny od nich ruch genitaliów, pozbawionych i obcesowości pożądania, i spokoju spełnienia, trwał na widoku wszystkich przez dłuższy czas, ale tak naprawdę nikogo to nie obchodziło.

Gdy tak niemrawo się bawili, my spoglądaliśmy na staroświecki zegar ścienny - koledzy wynieśli go z jednego z domów - albo usiłowaliśmy obliczyć godzinę z pozycji słońca. Czas jednak włókł się i wcale nie chciał płynąć. Pomyślałem ze złością, że nie płynie, bo nie chce płynąć bez ludzkiego nadzoru - podobnie jak domowe zwierzęta nie pracują bez poganiacza. Czas jest jak koń czy owca. Nie ruszy z miejsca bez polecenia dorosłych. Jesteśmy czymś niezmiennym w zatrzymanym czasie. Nic nie da się zrobić. A nie ma nic gorszego, nic bardziej irytującego i męczącego niż sączące się w ciało znużenie i beczynność. Wstałem, roztrzęsiony.

- Co? - zapytał mój brat, spoglądając na mnie w górę zamglonym wzrokiem.

- Idę dać resztę potrawki dziewczynce w magazynie - powiedziałem, bo właśnie przyszło mi to do głowy.

- Dobra - powiedział cicho, pochylając głowę i ukazując kark, chudy i brudny, lecz wzruszająco piękny. - Pójdę poszukać jakichś smacznych warzyw.

- Dobrze by było, gdybyś znalazł kapustę pekińską - powiedziałem i pomknąłem w dół zbocza do naszego spichrza, zostawiając go z tyłu.

Resztki potrawki na dnie garnka zdążyły już wystygnać i zgęstnieć. Patrząc na nie, zawahałem się, ale się nie rozmyśliłem. Właściwie szukałem zajęcia. W końcu dla nas wszystkich, odciętych od świata w wiosce, wszystko stawało się takie zimne i gęste i nie chciało miękko się rozpuścić. Biegając z powrotem, myślałem o tym, że ta droga, te bezlistne drzewa, budynek szkolny i nawet moi koledzy, tkwiący w miejscu jak dzikie zwierzęta, też nie mają w sobie żadnej miękkości i żadnego ciepła.

Ciężkie drzwi magazynu były zamknięte, została tylko wąska szpara. Zajrzałem do środka i wzdrygnąłem się znowu, bo tuż po drugiej stronie ujrzałem twarz dziewczynki, nienaturalnie białą w jakby sypkim świetle. Wpatrywała się we mnie napuchniętymi z niewyspania oczyma. Za jej wątlymi plecami trup wciąż patrzył w górę. Pomyślałem, że dziewczynka odsunęła się od zwłok, bo śmierdziały coraz bardziej, i próbowała wdychać świeże powietrze przez szparę w drzwiach. Znowu poczułem obrzydzenie. Szybko wsunąłem garnek do środka.

Dziewczynka zerwała się na równe nogi. Przestraszyła się. Mój niepewny głos zabrzmiał dziwnie ochryple i nieśmiało.

- Ej, ty, jedz. Ej.

Przygarbiła się w milczeniu, płochliwa jak ptak. Znowu odezwałem się, wściekły, że mój głos brzmi tak głupio.

- Przecież twoja matka nie żyje. No, jedz.

Zakryła uszy dłońmi i uparcie milczała. Odwróciłem się na pięcie i popędziłem pod górę, zagryzając usta z gniewu. Idiotka, idiotka, mruczałem do siebie. Przeklinałem ją, ale czułem, że gdybym przestał, chyba bym się rozplakał. Coś mi się stało.

Kiedy wróciłem na plac, wszyscy stali wokół mojego brata, który, rozgorączkowany, nad czymś się pochylał. I co? Między kolanami trzymał nie kapustę, tylko liniejącego i chyba niezbyt zdrowego psiaka. Pies ufnie pocierał pysk o jego pierś i skowyczał, pewnie z głodu.

- A gdzie ty go znalazł? - ledwie oddychałem ze zdziwienia. - Gdzie on był, ten pies?

Brat chciał odpowiedzieć, ale nie mógł wykrztusić ani słowa. Za to jego lekko miedziana twarz wyrażała dumę, radość i zarazem zakłopotanie.

- Nie może mówić, tak się cieszy, że go znalazł - wtrącił się Minami zde gustowanym tonem, pełnym jednak i zazdrości, i pogardy. - Zatluczmy bydlę na śmierć, będzie co jeść.

Brat drgnął i mocniej przytulił psa. Popatrzył w górę, na Minami, groźnie i z napięciem.

- Patrzcie, patrzcie - szydził urażony Minami. - Jak on go trzyma, jak nie chce puścić! Aż pieskowi zaraz stanie.

Brat bez słowa zniósł wybuch śmiechu chłopców. Gryząc wargi, drżał z wściekłości.

- Zabierz go i daj mu suszonej ryby - rzuciłem pojednawczo, by powstrzymać Minami i resztę. - Nie zwracaj na nich uwagi.

Młodszy chłopcy ruszyli za bratem, który już odzyskał pewność siebie i pogwizdując na psa, prowadził go do naszego spichrza. Minami wlepił we mnie wzrok, w którym czał się chytry uśmieszek, i czubkiem buta kopnął kamień. Byliśmy obaj tak znudzeni, że byłoby fajnie, gdyby coś się wydarzyło, ale na bójkę nie mieliśmy dość energii.

Męczył nas ten marudny upływ czasu i ciężąca nad doliną cisza. Powoli zaczynaliśmy uginać się pod tym brzemieniem. W dodatku jakbyśmy na coś czekali. Na cokolwiek, co przywróciłoby nam energię i czujność - choćby na powrót wieśniaków. Włamaliśmy się do ich domów, okradliśmy je, część z nich zajęliśmy dla siebie, lecz nie byliśmy pewni, czy jeszcze nienawidzimy tych, którzy nas opuścili, czy już nie.

Tuż po południu poszedłem do magazynu po garnek, żebyśmy mieli w czym ugotować obiad. Ta perspektywa niezbyt pobudzała mój apetyt. Opróżniony garnek leżał przy drzwiach, wypchnięty przez szparę. Zajrzałem do środka i przez chwilę wpatrywałem się w zmęczone oczy dziewczynki, które stawały się coraz bardziej ufne. Ale nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa. Po posiłku z bratem podzieliłem resztki obiadu: połowę dałem psu, który pocierał głową o udo brata i nie zamierzał sobie pójść, połowę zanieśliśmy dziewczynce. Z ciemności za drzwiami patrzyła na garnek, który do niej wyciągnąłem, ale nie chciała wystawić ręki, by po niego sięgnąć.

Postawiłem go na ziemi, a ponieważ przyszło mi do głowy, że pewnie chce się jej pić, wziąłem starą manierkę i pobiegłem do pompy przed szkołą.

Kiedy wróciłem, dziewczynka łapczywie przeżuwała przyniesione przeze mnie jedzenie. Pokazałem jej manierkę - nie zareagowała - i ruszyłem z powrotem, całkiem z siebie zadowolony. A jeśli chodzi o psa mojego brata, to łapczywie pałaszował nie tylko naszą potrawkę, ale i inne resztki, rzucane mu przez kolegów.

Później, gdy minął już skamieniały czas, zobaczyliśmy, że przecinającą przeciwległe zbocze wąską ścieżką prowadzącą od koreańskiej osady idzie chłopiec z jakimś wielkim, owiniętym w białe płótno tobołem na plecach. Natychmiast rozpoznaliśmy w nim mojego przeciwnika. I natychmiast zorientowaliśmy się, że to, co dźwiga na plecach, to owinięte płótnem zwłoki dorosłego człowieka. To odkrycie nas sparaliżowało.

Z natężeniem patrzyliśmy, jak Koreańczyk niezgrabnie napina mięśnie mocnych kończyn pod tym wielkim ciężarem. Gdy jego głowa i biały ładunek zniknęły za budynkiem szkoły, ruszyliśmy wąską uliczką, w wilgotnym, zalatującym moczem powietrzu płynącym z krytych strzechą chat i wyszliśmy na trawiaste zbocze nad doliną. Potem powoli szliśmy w dół, naprzeciw Koreańczykowi. Wiedzieliśmy, że już nas dostrzegł, ale uparcie wbijał wzrok w ziemię i ignorował nas, dopóki nie znalazł się na płaskiej łące tuż nad wąską rzeczką i nie zobaczył rezultatów naszej pierwszej pracy w wiosce.

Wtedy opuścił ciężar na trawę, obrzucił naszą grupę szybkim spojrzeniem bystrych oczu, po czym popędził nieprawdopodobnie szybko z powrotem na górę. Po chwili wrócił z motyką, którą trzymał na ramieniu jak strzelbę. Jeszcze zanim zaczął kopać na łące tuż obok przyniesionego przez siebie białego tobołu, domyśliliśmy się, co zamierza, i prąd przeszył nas wszystkich. Skoro on chowa swego zmarłego, my pochowamy naszego. Popatrzyliśmy po sobie rozgorączkowanym wzrokiem.

- No - powiedział Minami. - To go pochowajmy.
- Pochowajmy - poparłem go, jakbym nabierał siły.
- Tu go przyniesiemy - przerwał mi szybko. - Ty kop dół. Ty też i jeszcze paru innych.

Skinąłem głową i pobiegłem do szopy z motykami. Brat kuczał u góry zbocza i gładził grzbiet przestraszonego psa, który skomlał i kulił ogon od chwili, gdy pojawił się Koreańczyk.

Zabraliśmy się do pracy. Wiedziałem, że mój brat ma wielką ochotę nam pomóc, ale gdy dół był prawie gotowy, a Minami i inni szli już z boczem, niosąc naszego kolegę zawiniętego w koc, pies zaskowyczał, jakby obdzierano go ze skóry i tak się wyrywał, tak wciskał łeb między nogi swojego opiekuna, że nie mogłem przywołać brata.

Z doświadczenia z grzebaniem psów, kotów, szczurów i tak dalej wiedzieliśmy już, że dla człowieka trzeba będzie wykopać całkiem głęboki i długi dół. Więc gdy Minami i jego towarzysze położyli na łące, tuż za kopcem, w którym pochowaliśmy zwierzęta, ciasno owinięte w koc ciało, zaraz przyszli nam pomóc. Niedaleko koreański chłopiec, unosząc motykę w niemal pionowo wyprostowanych ramionach, kopał dół dla swojego zmarłego.

W końcu spociliśmy się w grubej bieliźnie; nasiąknięta brudem zaczęła śmierdzieć stęchlizną, więc przynieśliśmy trupa w kocu i złożyliśmy go w ziemi, ale było ciągle za płytko. Wyciągnęliśmy więc toból zabrudzony ziemią i ponownie wskoczyliśmy z motykami do dołu.

Widać było, że i Koreańczykowi też nie idzie najlepiej. Na dnie wykopanej w ziemi dziury gromadziło się coraz więcej wody gruntowej. Opuściliśmy owinięte w koc zwłoki w pogłębiającą się kałużę czerwono-brunatnej wody. Zostawiłem Minamiego i resztę - układali ciało tak starannie, jakby sadzili kwiatki, a potem zaczęli zasypywać je miękką ziemią - podszedłem do brata, który klęczał, przyciskając do kolan psa, i usiadłem obok niego. Patrząc z tego miejsca na dół, w którym pochowaliśmy naszego zmarłego, i na ten, w którym zmieściliśmy tyle zwierzęcych zwłok, odnosiło się wrażenie, że to początek całej serii - to były jakby dwa punkty odniesienia. Wyobraziłem sobie rozmieszczone w równych odstępach względem tych dwóch punktów proste mogiły i niezliczone ciała, które trzeba będzie jeszcze pochować. Na świecie jest teraz tyle pól bitewnych - ilu ludzi zginie? Ile grobów będzie trzeba, by ich wszystkich pochować? Wydało mi się w tej chwili, że nasz pojedynczy grób ogarnie kiedyś cały świat.

Nasz kolega spoczywał teraz w ziemi. Woda gruntowa wdzierała się już w jego skórę, włosy, w miękką śluzówkę odbytu. A przecież płynęła pod powierzchnią ziemi, zdążyła więc już obmyć niezliczone trupy zwierząt. Pewnie w końcu zostanie wchłonięta przez twarde korzenie traw.

Byłem tak przygnębiony, że musiałem przestać o tym myśleć. Wstałem i popatrzyłem na drugi brzeg. Koreańczyk też już kończył. Teraz usiłował podnieść

leżący w pobliżu kamień, tak wielki, że z trudem obejmował go ramionami. Zrozumiałem jego szlachetny zamiar. Chciał albo wznieść pomnik zmarłemu, albo umieścić go na grobie jako ciężką pokrywę, z obawy, by trup nie wstał w środku nocy. Niezależnie od tego, o co mu chodziło, było to prawdziwe bohaterstwo - i ten widok pomógł mi ocknąć się z marazmu. Zbiegłem po zboczu i klepnąłem w ramię Minamiiego, który właśnie kończył usypywać ziemny kopiec na grobie.

- Co? - powiedział, unosząc w górę zaczerwienioną z wysiłku twarz.

- Patrz - powiedziałem i pokazałem na drugie zbocze, choć wysoka trawa i nierówności terenu skrywały przed nami pochylonego nad kamieniem Koreańczyka. - Męczy się. Pomóżmy mu.

Minami spojrział na mnie dziwnym wzrokiem, ale bez namysłu poszedł za mną, gdy ruszyłem w stronę tamtego. Przeskoczyliśmy przez rzeczkę i pobiegliśmy po trawie. Duży Koreańczyk szybko się wyprostował, gotowy do ataku, i czekał, aż podejdziemy.

- Pomożemy ci - zawołałem, wymachując rękoma. - Ten kamień jest ciężki, co? Pomożemy ci.

- Sam go nie uniesiesz - dodał Minami.

Chłopak popatrzył na nas pełnym podejrzliwości wzrokiem, a potem jego twarz zaczęła wyrażać coraz większe zdziwienie. Podeszliśmy do niego, swobodnie wymachując rękami na znak, że nie zamierzamy podstępnie go zaatakować. Poczzerwieniał, pewnie z zażenowania i emocji. Pomogliśmy mu dźwignąć kamień. Gdy złożyliśmy go na ziemnym kopcu, odetchnęliśmy, zadowoleni. Wszyscy trzej wyprostowaliśmy się i popatrzyliśmy na siebie. Zrobiliśmy to, co mieliśmy zrobić. Co teraz? Czuliśmy się skrepowani.

- To na waszym domu była ta czerwona flaga? - zapytał nieśmiało, chrypliwym głosem, Minami. - Matka ci umarła?

- Nie, ojciec - odparł Koreańczyk, powoli poruszając ustami. - Ojciec umarł. Matka uciekła razem z wieśniakami.

- A ty czemu nie uciekłeś? - zapytał Minami.

- Ojciec umarł, to nie uciekłem - odpowiedział koreański chłopiec.

- Aha, ojciec - powtórzył odruchowo Minami i zamknął się wreszcie usatysfakcjonowany.

Koreańczyk przeniósł wzrok z niego na mnie i popatrzył uważnie na moje zaczerwienione, opuchnięte nozdrza. Ja z kolei patrzyłem na sinoczarne pręgi na jego szerokiej, płaskiej twarzy, którą powoli zaczął rozjaśniać nieśmiały uśmiech.

- Jak się nazywasz? - zapytałem nagle. - Co?

- Li. - Chłopak spuścił głowę, by ukryć ten uśmiech, i palcem u nogi, obutej bez skarpet w wyplatane ze słomy sandały, napisał swe nazwisko na miękkiej, pochylej powierzchni mogiły.

- Aha - mruknąłem z głębi gardła, ale tak naprawdę urzekło mnie piękno pojedynczego znaku, który utworzyły nakreślone przez Koreańczyka linie. - Aha, Li?

- Nie gniewam się za wczoraj - powiedział Li, wciąż ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Ja też nie - odpowiedziałem.

Popatrzyliśmy sobie w oczy i uśmiechnęliśmy się bez powodu. Zdałem sobie sprawę, że zaczynam go lubić.

- Pochowaliście go? - zapytał swobodnie Minamiego, jak ktoś związany z nim wspólnym ludzkim losem. - Ktoś wam umarł, prawda?

- Kolega.

- Nie tylko, bo w magazynie umarła jedna kobieta - dodałem, bo nagle sobie o tym przypomniałem. - To znaczy, że we wsi zmarły trzy osoby.

- Aha, ta ewakuowana - powiedział Li wyraźnie zainteresowany. - Już ją pochowaliście?

- Nie, jeszcze nie - odparłem.

- Każdy, kto umarł na zarazę, niepochowany może zarazić żywych - oświadczył autorytatywnie Minami. - Wiem to od jednego strażnika z poprawczaka.

- Nie mogliśmy jej zabrać i pochować - powiedziałem - bo została z nią jedna dziewczynka.

- Znam ją! - zawołał z dumą Li, ukazując szerokie, białe zęby. - Pogadam z nią.

- I będzie można tamtą pochować - odezwał się Minami tym samym tonem. - Pochowamy wszystkich.

Wraz z idącym między nami Li przeskoczyliśmy strumień i wróciliśmy do naszych podekscytowanych kolegów.

Kierowałem chłopcami kopiącymi nowy dół, trochę większy od tego, w którym pochowaliśmy kolegę. Li i Minami wzięli połowę z nich i pobiegli po ciało kobiety. Raz

po raz ślizgali się na zielonej trawie, pokrytej pożółkłymi, zwiędłymi liśćmi i gałęziami, i darli się jak dzikusy.

Mieliśmy już wprawę w kopaniu dołów, więc praca szła dobrze, choć wymagała wysiłku. Podzieliliśmy się na tych od motyk i tych od wybierania ziemi. Spod powierzchni wyłaziło mnóstwo robactwa, które natychmiast rozdeptywaliśmy. Li i reszta pewnie musieli najpierw porozmawiać z dziewczynką czuwającą przy trupie w magazynie, bo długo nie wracali. Wreszcie z drogi dobiegły ich donośne głosy. Zostawiłem moich chłopców, by dokończyli pracę, i ruszyłem pod górę błotnistą ścieżką, która powoli wysychała po roztopieniu się szronu na łące.

Minami i jego pomocnicy maszerowali drogą, niosąc na ramionach zawiniętą w koce i białe prześcieradła martwą kobietę, jakby nieśli cielę ze złamaną nogą. Inni pomagali im, wyciągając w górę ręce. Wysoki Li pochylał się, rozmawiając z dziewczynką, która co prawda trzymała się z dala od chłopców, ale szła za nimi krok w krok. Najpierw minęli mnie ci z ciałem; ustąpiłem im z drogi. Potem szła dziewczynka o bladej twarzy, spękanych wargach i oczach pełnych łez. Nie zwracała na mnie uwagi, patrzyła wprost przed siebie, a jej ramiona drżały od powstrzymywanego szlochu.

- Słuchaj, nic się na to nie poradzi, ona nie żyje - pocieszał ją żarliwie Li. - Twoja matka nie żyje. Już śmierdzi. Musimy ją pochować.

Ruszyłem za nimi. Moja grupa w milczeniu i wytrwale kopała ziemię. Może z szacunku dla dziewczynki, może z braku lepszego zajęcia ci od Minamię nadal trzymali trupa na ramionach. Dziewczynka zatrzymała się na skraju łąki mimo nawoływań Li, usiadła i nie chciała zbliżyć się do dołu. Patrzyła, jak pracujemy, i łzy spływały jej po policzkach, ramiona drżały.

Zręcznie, jak prawdziwi grabarze, nasi koledzy złożyli zwłoki na dnie dołu i zasypali je ziemią. Dziewczyna kwiliła z twarzą ukrytą w kolanach. Li i ja, stojący najbliżej, nie wiedzieliśmy, jak się zachować, więc zostawiliśmy płaczącą dziewczynkę i odeszliśmy.

- Tu też położyć kamienie? - zapytał Minami zbliżającego się Li. - Nie wiem, co się robi, jak się kogoś chowa.

- Trzeba ubić ziemię - wyjaśnił Li. - Nogami. Żeby stwardniała.

Zawahaliśmy się, a potem ostrożnie weszliśmy na miękkie, niezbyt wysokie mogiły nad pochowanymi w skulonej pozycji ciałami. Podzieliliśmy się na trzy grupy.

Mój brat nie mógł dłużej wytrzymać, stojąc z boku, i dołączył do tych, którzy ubijali kopiec zwierząt.

Gdy za przykładem Li powoli udeptywaliśmy ziemię, otaczając dolinę grzbiety górskie spłonęły głęboką czerwienią. Tylko wieczorne niebo nad ucichłą wioską pozostało białe. Szybko zapadający zmierzch przydawał naszej pracy szlachetności i znaczenia. Było to takie samo uczucie jak wizja „śmierci”, która dotąd nachodziła mnie tylko nocą, ale wtedy przygniatała mi pierś i sprawiała, że oblewałem się potem. Pracowaliśmy ze wzmożonym zapalem.

Dawni Japończycy, którzy tak bardzo obawiali się zmartwychwstania zmarłych, splatali chowanym zwłokom nogi i pokrywali ich groby ciężkimi płytami z kamienia. My też ubijaliśmy na płask ziemię nogami zdrętwiałymi ze strachu na myśl, że nasz przyjaciel, nasz dawny kolega, mógłby wrócić między żywych i siać postrach w wiosce, w której zostały same dzieci, porzucone i odcięte od świata.

A potem nagle zorientowaliśmy się, że ubijamy tę ziemię w całkowitym milczeniu, ciasno zbitym kręgiem stłoczonych ciał i splecionych rąk - w rześkim powietrzu gęstniejącej nocy, w zimnej, jakby ziarnistej mgle, na przygnębiającym, zimowym wietrze. Między naszymi zdezorientowanymi duszami zaczynała tworzyć się jakaś silna więź. A tamci spoczywali już pod cienką warstwą ziemi, w której zostało więcej wątłego ciepła dnia niż we mgle czy w naszych pokrytych gęsią skórką ciałach; leżeli z podkurczonymi rękami i nogami, z powiekami zamkniętymi na zimnych, ciemnych oczach, a wijące się robale już pewnie wdzierały się w najintymniejsze zakątki ich ciał.

Baliśmy się ich jak ptaków, które nagle ulatują w górę spod stóp, ale równocześnie byli nam oni bliżsi niż dorośli, celujący w nas z myśliwskich strzelb zza barykady tam w dolinie, ci tchórzliwi dorośli z „tamtej strony”, którzy pokrzyżowali nam plany. Zapadła noc, a ponieważ z martwych rzędów domów nikt nie miał wybiec nam na spotkanie, nawołując nas miłym głosem, długo jeszcze deptaliśmy w milczeniu ziemię, trzymając się nawzajem za ramiona.

Następnego ranka, gdy zanosilem jej resztki śniadania, dziewczynka wygrzewała się na słońcu na niskich, kamiennych schodach przed magazynem. Pierwszy raz wzięła do ręki garnek od razu, gdy go podałem. Aż poczerwieniałem z radości. Pomyślałem, że postoję i popatrzę, jak je, ale ona długo zwlekła.

- Na obiad przyjdź do nas - powiedziałem szorstko i odbiegłem, nie czekając na odpowiedź.

Nadeszła pora obiadu, ale dziewczynka nie skorzystała z zaproszenia. Z bratem prowadzącym psa znów zaniósłem jej jedzenie. Pochyliła głowę i głaskała pieska krótkimi, drobnymi palcami. My staliśmy z boku. Wraciałem do domu bardzo zadowolony, że dziewczynka zaczyna się ze mną oswajać.

Ponieważ było chłodno, po obiedzie znów rozpałem ogień na klepisku, położyłem się przy nim i trochę się zdrzemnąłem.

Obudził mnie brat. Mówił coś, czego nie mogłem zrozumieć, więc wyskoczyłem na drogę. Słońce było jeszcze wysoko na niebie.

- Li woła - krzyknął, tryskając śliną z kącików ust. - Mówi, że pokaże nam wszystkim żołnierza.

- Żołnierza? - odkrzyknąłem, zarażony jego podnieceniem.

- Żołnierza. Tego, co uciekł.

Klepnąłem go mocno po ramieniu i popędziłem w dół. Li stał na placu przed szkołą; jego zaczerwieniona twarz, nabrzmiała jak dojrzały daktyl, już prawie spurpurowiała z podniecenia. Jeszcze bardziej podekscytowani byli Minami i cała reszta.

- To naprawdę żołnierz? - wydyszałem do Li.

- Tylko obiecacie, że nic nie powiecie wieśniakom - powiedział nieufnie i podejrzliwie. - Nie złamiecie słowa, nie zdradzicie mnie, co?

- To naprawdę żołnierz? - powtórzyłem, już z gniewem.

- Jak obiecacie, to nikomu nie wolno się wygadać - upierał się.

- U nas nikt nie donosi. Łeb byśmy mu rozwalili. - Odwróciłem się i ryknąłem na innych: - No, przysięgać, wszyscy razem!

Cała grupa zaklęła się na wszystko, jak jeden mąż. Minami, zniecierpliwiony i rozdrażniony, powiedział groźnie do wciąż wahającego się Li:

- Masz nas za świnie? Przestań, bo pożałujesz...

Li w końcu się zdecydował i skinął głową. Otoczyliśmy go i wraz z nim pobiegliśmy w dół drogi. Li był spięty, jakby już żałował, że zdradził nam swą tajemnicę, i prawie nie odpowiadał na pytania, którymi go zarzucaliśmy. Przeszliśmy przez mostek i znaleźliśmy się na stromej ścieżce wiodącej do koreańskiej osady. Przypomniałem sobie kadetów, stojących na baczność w szeregu przy ciężarówce, potem krwiożerczych myśliwych z wioski, uzbrojonych w bambusowe dzidy, którzy

też szukali dezertera. Pewnie nie było łatwo wymknąć się z obławy i dotrzeć na drugą stronę doliny.

- Gdzie go znaleźliście? - Po raz kolejny, ale jeszcze bardziej stanowczo, zadałem to pytanie, kładąc rękę na ramieniu Li. - No, mów.

- Właściwie to nie wiem - zająknął się. - Ukrywa się u nas już od jakiegoś czasu. Za dnia śpi w opuszczonym szybie, a w nocy przychodzi jeść.

- A teraz jest w szybie? - pytał dalej Minami.

- Teraz jest u mnie, bo wieśniacy i nasi uciekli.

- A co robi? - zapytał mój brat podnieconym głosem. - No, mów, co robi?

- Zaraz go wam pokażę - powiedział urażonym tonem Li i więcej już się nie odezwał.

Koreańska osada to były chatynki jeszcze nędzniejsze niż najnędzniejsze domy we wsi. Ponieważ tu nie było nawet bruku, ze spękanej ziemi unosił się gęsty kurz. Domy przylegały od tyłu do lasu, więc nad drogą zwieszały się grube konary jodeł. Z wyschłymi z niecierpliwego oczekiwania gardłami szliśmy posłusznie za Li, po kostki w pyłe.

Li zatrzymał się przy końcu jednego rzędu domów przed krzywymi, przeżartymi przez korniki, niskimi drzwiami z podwójnych desek. Był to ten dom, na którym powiewała czerwona flaga. My też się zatrzymaliśmy. Potem Li gwizdnął cicho i ruszył wąską ścieżką wiodącą na tył domu. Czekaliśmy. Nagle niskie drzwi otwarły się, Li wysunął zza nich głowę i zawołał nas surowym, poważnym głosem:

- Wchodźcie.

Weszliśmy i gdy nasze oczy przyzwyczyły się do mroku, zobaczyliśmy leżącego na rozpostartych na klepisku matach człowieka, który na nasz widok zaczął powoli unosić górną część ciała. Patrzyliśmy na niego z zapartym tchem. Ci, którzy nie zmieścili się w środku, wsuwali głowy przez drzwi. Mężczyzna obejrzał się na stojącego za nim Li. Tępo wpatrywaliśmy się w szyję dezertera, ziemistą, pokrytą zarostem, która nerwowo drgała w ciemności.

- Wszystko w porządku - powiedział Li, jakby chciał go uspokoić. - To przyjaciele. Powiedzieli, że nie doniosą.

Ciepły węzeł nadziei rozpadł się w mojej piersi, a na całe ciało spłynęła gorycz rozczarowania. Ten mężczyzna nie miał w sobie ani trochę szyku i dystynkcji ucznia szkoły wojskowej. Nie miał też budzącej pożądanie małej, twardej, odzianej w mundur pupy, krzepkiego karku i niebieskawego, wygolonego podbródka. Wręcz

przeciwnie: był ponury i milczący, a jego mizerna, nieokreślonego wieku twarz była mroczna i zmęczona. W dodatku zamiast nad wyraz zmysłowego, wojskowego munduru miał na sobie roboczą kurtkę.

- Przypatrzcie się, a potem wpuście innych - powiedział Li, jakby pokazywał przyjaciółom królika. Widać było, że chce szybko schować tego „królika”. - Jest zmęczony. Nie chce, żeby się na niego długo gapić.

Żołnierz w milczeniu opadł na matę. Wyszliśmy, również w milczeniu, zamieniając się miejscami z tymi, którzy popychali nas od tyłu. Na zewnątrz powietrze było świeże, nie takie, jak w chacie, przesyconej zapachem domowych zwierząt. Przezuwając rozczarowanie, wdychałem wiatr pachnący korą drzewną.

Ale naszych młodszych kolegów, którzy aż dostali wypieków, podniecał i w pełni satysfakcjonował widok dezertera. Stawali jeszcze raz za tymi, którzy niecierpliwie czekali na swoją kolej. Poczulem pogardę dla tych chłopców, którzy z podziwem rozmawiali o jego ucieczce. Ja czułem tępy, nieprzyjemny chłód.

Dałem znak bratu, że czas wrócić do wioski, ale on, z błyszczącymi oczami, gadał z innymi o żołnierzu. Wszyscy omal nie wyskoczyli ze skóry z podniecenia.

- Koreańczycy go ukryli - mówił jeden, jękając się z wrażenia. - Policjanci ich nie rozumieli, bo między sobą mówili po koreańsku.

- Obławę zostawił daleko w tyle - dodał drugi. - A przecież tamci polują nawet na dziki.

- Uciekł - zapiszczał mój brat. - Uciekł...

Minami wyszedł z chaty z kwaśną miną, pocierając pięścią tył spodni. We dwóch pierwsi ruszyliśmy z powrotem do wioski. Gdy schodziliśmy w dół, Minami powiedział, wydymając usta z irytacji:

- To obrzydliwe. Ale z niego pokraka. Naprawdę się rozczarowałem.

- Niby kadet - powiedziałem - a wygląda mi na tchórza.

- No - przytaknął. - Takiego kadeta jeszcze nie widziałem.

- Przespałbyś się z nim?

- Co ty? Z taką zmokłą kurą?

Zmarszczył brwi z obrzydzeniem i pogardą, a potem zaśmiał się zimno. Na mostku zatrzymaliśmy się, by zaczekać na mojego brata i resztę, ale długo nie nadchodzili.

- A co tam, wróć i jeszcze sobie popatrzę - powiedział nagle Minami. - Mężczyźnie to.

Rozzłościłem się jeszcze bardziej. Patrzyłem, jak biegnie pod górę, a potem wyprostowałem ramiona i poszedłem na plac przed szkołą.

Przed magazynem siedziała w kucki dziewczynka. Podeszedłem do niej, by złagodzić w sobie uczucie osamotnienia. Spojrzała na mnie w milczeniu mętnymi, podkrążonymi na szarobrazowo oczyma. Oparłem się o ścianę magazynu. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie.

- Ej - powiedziałem, przetykając ślinę. - To ty nie słyszałaś o dezercerze?

Milczała dalej, jakbym w ogóle nic nie powiedział.

- No? - pytałem dalej, wzruszając ramionami. - Jesteś głuchoniema czy co?

Spuściła wzrok. Gęsty cień, rzucany przez jej rzęsy, jakby się rozpostarł i poniebieściał, podobny ceniom liści i traw.

- Chodź, zjedz dziś u nas - powiedziałem. - No, chodź.

Uniosła głowę, właściwie nie wiadomo czemu. Pochyliłem się i chwyciłem ją za rękę, chciałem zmusić, by wstała, ale znienacka okropnie mnie podrapała. Zezłościłem się i odszedłem, zostawiając ją samą.

Kiedy odwróciłem się na placu przed szkołą, zobaczyłem, że patrzy na mnie i podąża za mną krok w krok jak chytra łasica. Byłem zaskoczony i zdegustowany. Ale dobrze, że idzie za mną. Udałem, że jej nie widzę, poszedłem do spichrza i czekałem, aż przyjdzie.

Już prawie znudziło mnie to oczekiwanie, gdy weszła cicho tuż za moim podeksycytowanym bratem. Opowiadał z entuzjazmem, że dezercer w końcu wyszedł z chaty i zamienił z nim i z innymi kilka zdawkowych słów. Dziewczynka usiadła ze spuszczoną głową przy ogniu na klepisku i nawet nie próbowała pomóc nam w gotowaniu. Miałem wielką ochotę nawrzeszczeć i na nią, i na brata.

Ale gdy zaczęliśmy jeść, było nam dobrze razem we trójkę. Dziewczynka przeżuwała ryż, lekko poruszając czarnym od brudu karkiem. Z ciekawością przypatrywała się mojemu bratu, który karmił psa prosto z ust.

- Ej, bracie - powiedział nagle, jakby właśnie wpadł na ten pomysł. - Nazwij mi jakoś tego psa.

- To jest Miś - powiedziała dziewczynka.

Popatrzyłem na nią, zaskoczony. Chyba się zdenerwowała. Gdy brat zawołał na psa tym imieniem, ten mocno zamachał ogonem. Ja i brat wybuchliśmy radosnym śmiechem. Po chwili również dziewczynka zaśmiała się krótko i jakby ze zdziwieniem.

- To twój pies? - zapytał z niepokojem mój brat.

Dziewczynka pokręciła głową.

- Milutki, co? - powiedział z ulgą.

Ja też chciałem coś do niej powiedzieć, ale nie miałem pojęcia co. W dodatku drapało mnie w gardle, słowa jakby w nim grzęzły i nie chciały wydobyć się na zewnątrz. Dałem więc sobie spokój i zadowolilem się dorzucaniem drewna do płonącego przed nią ogniska. Byliśmy syci, rozgrzani ogniem, zaróżowieni na policzkach; i nasza trójka, i pies osiągnęliśmy stan wielkiego zadowolenia. Tyle że mój brat gadał w kółko o dezercerze.

Następnego ranka zawołaliśmy ją z magazynu jeszcze przed śniadaniem, a potem poszliśmy razem na plac. Dziewczynka usiadła z boku, w cieniu drzew, ale już nie próbowała wrócić do magazynu.

6. Miłość

Po południu wiatr nagle się wzmógł. Niebo było czyste, ale zrobiło się jeszcze zimniej. Pączkujące już krzewy i runo pod bezlistnymi zaroślami na zboczach otaczających kotlinę gór drżały na wietrze i skrzyły się w słońcu. Na placu przed szkołą rozpaliliśmy ognisko i zebraliśmy się wokół niego - jedni siedzieli z założonymi na kolana rękami, inni przechadzali się po placu. Bładoniebieski dym ogniska, szybko rozpraszany przez wiatr, nie wzbijał się w niebo. Tak już napatrzyliśmy się na wioskę, nad którą wznosiła się niewysoka dzwonnica, że widok ten wrył się nam w pamięć i stał się po prostu nudny. Spędzaliśmy więc czas, niczemu się nie przyglądając, albo trwaliśmy w bezruchu, albo chodziliśmy tam i z powrotem. Nagle zrozumieliśmy, że mamy już dość tego zamknięcia w odciętej od świata wiosce. Nastrój, który nas ogarniał, wyrażał znużenie i obojętność.

Ale chłopcom poprawił się humor, gdy tylko na placu pojawili się żołnierz i Li. Żołnierz zresztą wyglądał lepiej niż wczoraj, gdy przyglądaliśmy się mu w mrocznej chacie. Ale gdy opadł na ziemię przy ognisku, jego zmęczone, czerwone jak u królika oczy omiotły szybko nasze pytające twarze.

- Poszliśmy popatrzeć na szyny - wyjaśnił Li. - Teraz nikt z zewnątrz się tu nie dostanie, bo go złapiemy. Musieliśmy się upewnić.

Uświadomiliśmy sobie, że żołnierz skorzystał na tym, że wioska została odcięta od świata. Spuścił oczy pod naszym natarczywym wzrokiem.

- Jeżeli cię złapią... - nieśmiało odezwał się do niego mój brat, ale on milczał.
- To postawią cię przed sądem - wtrącił się Li.
- To cię zastrzelą - powiedział zjadliwie Minami. - Od razu cię zastrzelą.

Żołnierz patrzył na niego w napięciu. Minami naprawdę się rozzłościł. Już myślałem, że żołnierz podniesie się i powali go na ziemię jednym ciosem, ale on tylko patrzył na Minamiego jak zdziwione dziecko.

- No - Minami wyprostował ramiona.
- Ale on dobrze ucieka. Nigdy go nie złapią - powiedział Li.
- Nie złapią - powtórzył mój brat. - Prawda, że cię nie złapią?

Żołnierz popatrzył na niego. Czuję, że to go pocieszyło, ale widok pocieszanych w ten sposób dorosłych zawsze przyprawiał mnie o mdłości, więc stanąłem po stronie Minamiego.

- Zabiłeś kogoś, jak uciekałeś? - zapytał ktoś inny.
- Nikogo nie zabił i do nikogo nie strzelał - odpowiedział za żołnierza Li. -

Prawda?

- Prawda - powiedział żołnierz; odezwał się po raz pierwszy.
- Po prostu poszedł sobie i nie wrócił - ciągnął Li.
- Nie chciałeś wracać, prawda? - zapytał jeden z naszych, czerwieniąc się, że

zadaje takie głupie pytanie.

Żołnierz milczał.

- A ja chciałem zostać kadetem - powiedział ten sam chłopiec. Przez chwilę nikt nic nie mówił. Zamyśliliśmy się, bo każdy z nas zawsze marzył o mundurze kadeta.

- Nie chciałem iść na wojnę - powiedział nagle żołnierz i zamyślił się. - Nie chciałem zabijać ludzi.

Tym razem milczenie trwało jeszcze dłużej, bo to, co powiedział, zabrzmiało jak trudny do zniesienia, nieprzyjemny zgrzyt. Musieliśmy siłą powstrzymywać napływający do gardła chichot, który już nami wstrząsał.

- Ja tam chcę iść na wojnę i zabijać ludzi - oznajmił Minami.
- W twoim wieku się tego nie rozumie - odparł żołnierz - ale potem nagle się

wie.

Zamilkliśmy, nie bardzo mu wierząc. W ogóle nie był to ciekawy temat. Pies, leżący dotąd między nogami mojego brata, wstał nagle i podszedł obwąchać chude łydki żołnierza; ten z roztargnieniem pogładził łeb psa.

- Prawda, że milutki? - zapytał uszczęśliwiony brat. - Wabi się Miś.

- Lepiej Leo - stwierdził żołnierz.

- Leo - powtórzył brat po chwili namysłu. Unikał naszego pełnego wyrzutu wzroku. - Nazwę go Leo, bo to mój pies.

Bardzo chciałem wiedzieć, czy dziewczynka, oparta o morwę w rogu placu, słyszała rozmowę o imieniu psa, ale naprawdę nie miałem jak się o tym przekonać. Sam byłem zdegustowany, że brat tak łatwo zrezygnował z nadanego przez nią imienia.

- Leo - powtórzył z rozmarzeniem mój brat.

- Studiowałeś, prawda? - zapytał Minami.

- Aha - przytaknął żołnierz. - Nauki humanistyczne.

- Tak właśnie myślałem - zakpił Minami. - Obok mnie mieszkał jeden student, co tak samo nazwał kota.

Żołnierz nie wiedział, co odpowiedzieć, ale najwyraźniej usiłował nie zwracać uwagi na ciągle uszczypliwości Minamiego. Zostawiłem ich i podszedłem do dziewczynki, która wciąż siedziała pod morwą.

- Przestraszył się wojny i uciekł - powiedziałem do niej. Milczała. - Nie cierpię tchórzy. Jak się do niego zbliżam, czuję smród. Ty też go nie cierpisz, co?

Dziewczynka popatrzyła na mnie zdziwiona i tylko lekko się uśmiechnęła. Niezadowolony, wróciłem do spichrza, pogwizdując.

Tej nocy księżyc świecił jasno. Ponieważ brat poszedł z Li do osady koreańskiej na kolację z żołnierzem i zabrał ze sobą psa, ryżową potrawkę musieliśmy zjeść we dwójkę z dziewczynką. Potem długo milczeliśmy przy ognisku, grzejąc dłonie i pozwalając, by żołądki spokojnie strawiły posiłek. Od czasu do czasu w lesie piskliwie zawodził jakiś ptak. Trochę mnie denerwowała ta obsesja mojego brata na punkcie dezertera. Ziewnąłem, aż oczy zaszyły mi łzami; udzieliło się to dziewczynce. Lekko ziewnęła i wyciągnęła przed siebie mocno zaciśnięte pięści. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

- Chce ci się spać? - zapytałem.

- No - odpowiedziała cicho.

- A mnie nie - powiedziałem.

Jej niemal granatowe włosy wiły się wokół cienkiej szyi, a ciało pachniało stęchłą słomą. Pomyślałem spokojnie, że jej skóra nie jest wcale czystsza od mojej. Znowu długo milczeliśmy. Zacząłem się martwić, że brat nie wraca.

- Ej - powiedziała dziewczynka, obracając ku mnie swą drobną, smutną twarz.
- Co? - zapytałem zdziwiony.
- Boję się.
- Nic dziwnego, że się boisz.
- Boję się - powtórzyła, wykrzywiając usta, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem.

- Boisz się, że zostałaś we wsi, że są tu tylko dzieci?
- Boję się.
- Każdy się boi - powiedziałem naburmuszony. - My też się boimy, ale przecież nic nie możemy zrobić. Przecież jesteśmy odcięci.

- Przyrowadź z powrotem wieśniaków - powiedziała błagalnym głosem.
Milczałem zakłopotany.
- Powiedz im, żeby wrócili - naciskała.
- Nie mogę - odparłem szorstko. - Jesteśmy odcięci.
- Boję się - powtórzyła i zaczęła szlochać, kryjąc twarz w kolanach. Uparcie starałem się nie zwracać na to uwagi i zachować spokój, ale jej cichy płacz dręczył mnie i irytował coraz bardziej.

- Nawet jeżeli pójde i ich zawołam, to nie przyjdą - odezwałem się wreszcie. - A jeżeli wrócą, zaraz złapią żołnierza i go zabiją.

Wciąż szlochała żałośnie. Zaczęło budzić się we mnie jakieś dzikie uczucie. Zagryzłem wargi, wstałem i wyjąłem z tobołka mapkę narysowaną przez lekarza. Był na niej i tor kolejki, i droga do domu doktora.

- Powiem im, żeby przyszli po ciebie - powiedziałem sucho do dziewczynki, która teraz patrzyła na mnie z zalaną łzami twarzą. - Pójde powiedzieć to tym z drugiej strony doliny. Nie becz już.

Wyszedłem na drogę lśniącą w blasku księżyca. W powietrzu unosiła się kłująca, zimna mgła. Dziewczynka wyszła za mną, ale się do niej nie odwróciłem. Nie wiedziałem nawet, czy uda mi się dotrzeć na drugą stronę. Pragnąłem ze wszystkich sił odesłać do tamtych tę dziewczynkę o zapłakanej twarzy i śmierdzącym ciele. Nie mogłem tego dłużej znieść.

Gdy wyszedłem z lasu, zobaczyłem, że ociekające od mgły szyny kolejki lśnią jasno w księżycowym świetle i że dalej czernieje wielki kształt barykady. W szopie, w

której miał czuwać wartownik, nie paliło się światło. Odwróciłem się do dziewczynki - która zagryzała sine od chłodu wargi.

- Poczekaj tu. Powiem im o tobie.

Gdy wszedłem na podkłady szyn, uważając, by się nie poślizgnąć, uderzyły we mnie spod nich mgła i ostry chłód, szczypiąc mnie w policzki, kłując w nozdrza. W oddali szumiała rzeka połyskująca w świetle księżyca i ten odgłos jakby wgryzał się w skały i niósł się echem. Szedłem powoli, przyczajony jak dzikie zwierzę. Już nie byłem podekscytowany. Pomyślałem, że w końcu nie robię nic nadzwyczajnego. Nie zamierzałem się cofnąć. Zmrużyłem oczy od ostrego, dokuczliwego wiatru i skupiłem całą uwagę na tym, by stawiać stopy na samym środku każdego podkładu.

Tory były bardzo długie, a wiatr przeszywający. Gdy dotarłem do barykady, wzniesionej byle jak z pni, wiązek gałęzi, desek i kamieni, byłem tak zmęczony, że miałem ochotę położyć się i zasnąć. Zaszło mi w gardle. Zorientowałem się, że barykada jest zbyt ciężka i zbyt skomplikowana, by ją rozebrać, ale za to zawali się, gdy tylko spróbuję na nią wejść. Zajrzałem pod podkłady. Innej drogi nie było. Najpierw wyprostowałem się i wsunąłem zgrabiałe dłonie w spodnie, by się rozgrzać. Gdy po chwili palcom wróciło czucie, wyczuły mój członek, malutki i pomarszczony z zimna i ze strachu.

Oparłem się łokciami o obie szyny, podkurczyłem nogi i wsunąłem je w wąską przestrzeń między dwoma podkładami. Po chwili wisiałem już pod nimi, trzymając się ich oburącz i wystawiając ciało na lodowatą otchłań doliny. Zaatakowały mnie naraz straszliwy wiatr, zimno i jeszcze od nich gorsze poczucie samotności. Ale musiałem wytrzymać. Wijąc się jak gotowana we wrzątku krewetka, przerzucałem się z jednego podkładu na drugi.

Byłem u kresu sił. Położyłem dłonie na ostatni podkład i ostatnim tchem, który przypominał raczej krzyk, podciągnąłem się do góry, przerzuciłem ręce na wierzch pokrytego krystalicznym szronem podkładu i dźwignąłem resztę ciała. Wyciągnąłem się jak długi na szynach i chciwie łapałem oddech. Nie mogłem jednak długo leżeć tak w pełnym świetle księżyca. Gdyby teraz strażnik zaczął strzelać do mnie z szopy, pierwsza kula rozwalilaby mi głowę. Wydając z siebie krótkie, bolesne sapnięcia, przeszedłem ostatni, krótki odcinek toru i gdy poczułem pod nogami twardy grunt, pobiegłem pod górę za ciemne krzaki, żeby nie być na widoku. Potem nie musiałem nawet wyciągać mapy z kieszeni i patrzeć na nią; minąłem rzadkie, posadzone byle jak dęby i kasztanowce, i ukazała się przede mną niewielka wieś, spokojnie uszpięta w

światle księżycyca. Pojawiła się nagle, dokładnie tak jak wszystkie inne mijane dotąd wioski.

Ruszyłem w dół krętą, brukowaną okrągłymi kamieniami drogą. Stojące tu domy, drzewa wzdłuż drogi, nawet kręte zaułki były niemal takie same jak w wiosce, w której nas uwięziono. Ale w powietrzu wyczuwało się subtelną, przerażającą różnicę: tu mieszkali ludzie, obcy ludzie. W wiosce panowała cisza. Przez ściany domów czułem ruchy domowych zwierząt w środku, ciemnym i zimnym. Przemykałem się dalej pod niskimi domami. Księżyc rzucał na ziemię mój drobny cień. W tych domach spali obcy, którzy odcięli nas od świata i pilnowali, byśmy nie uciekli. Strach i gwałtowne podniecenie smagały mi dreszczem przemarznącą skórę. By opanować przemożne pragnienie ucieczki, w skupieniu zacząłem szukać domu doktora.

W końcu zapukałem do drzwi jego domu, całych w szklanych okienkach, w stylu zachodnim. Cofnąłem się o krok, prosto w światło księżycyca, i patrzyłem na tak niespotykane w naszych wioskach szklane drzwi. Za nimi zapaliło się światło, ktoś podszedł do wejścia, mamrocząc pod nosem. Wreszcie przez wpółotwarte drzwi wychyliła się mała, zwierzęca głowa lekarza, tego samego, którego widziałem wtedy przy magazynie. Spojrzeliśmy na siebie nieufnie. Pomyślałem, zmieszany, że muszę coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w krtani. Byłem bliski płaczu.

- No proszę - powiedział doktor tonem, od którego zaraz zhardział mój nadwątlony duch. - Po coś tu przyszedł?

Milczałem, wpatrując się w niego szeroko rozwartymi oczyma. Jego tłuste policzki i wąski nos jakby napełniły się strachem, więc moje serce jeszcze bardziej.

- No, po coś tu przyszedł? Jak zaczniesz się stawiać, zaraz kogoś zawołam.

- Nie będę się stawiać - powiedziałem podekscytowanym, zgrubiałym głosem, usiłując opanować gniew. - Nie po to tu przyszedłem.

- To po co? - zapytał lekarz.

- W magazynie została jedna dziewczynka. Z tamtej wsi. Chce odejść. Proszę, żeby pan ją wziął.

Lekarz popatrzył na mnie badawczo. Zobaczyłem jego obnażone dziąsła, ociekające i lśniące od śliny, i całą twarz, która w tej chwili skurczyła się przebiegle. Powtórzyłem pośpiesznie:

- Bardzo proszę, niech pan to zrobi.

- Ilu z was zachorowało? Ilu jeszcze żyje? - zapytał.

- Co? - zdziwiłem się. - Nikt nie zachorował. Dziewczynka też jest zdrowa. Tam nie ma zarazy.

Teraz spojrzał na mnie uważnie.

- Jeżeli myśli pan, że kłamię, to proszę mnie obejrzeć. Rozbiorę się, żeby mnie pan zbadał.

- Nie podnoś głosu - powiedział doktor. - I kto ci powiedział, że w ogóle zamierzam cię badać?

Przestałem rozpinać guziki kurtki. Nie musiałem pokazywać swojego ciała w świetle księżyca. On wcale nie zamierzał mnie wysłuchać.

- Jest pan doktorem, tak? Czyja to robota, jak nie pana, zbadać, czy ktoś jest chory, czy nie?

- Nie bądź taki bezczelny - powiedział, nagle okazując złość. - Wracaj i już nigdy się tu nie pokazuj.

- A ja myślałem, że powie pan wszystkim, że nie ma zarazy. Jest pan lekarzem - aż poczerwieniałem z oburzenia. - Odsyła mnie pan z powrotem?

- Wracaj tam! - powiedział. - Jak wieśniacy cię znajdą, drogo za to zapłacisz. A ja będę miał przez ciebie kłopoty. Wracaj tam, skąd przyszedłeś!

Wyzywająco napiąłem mięśnie. Doktor wyszedł zza drzwi. Miał na sobie szlafrok, sztywny jak zwierzęca skóra.

- Wracaj tam i więcej się tu nie pokazuj - powtórzył pełnym gniewu głosem i zniecierpliwiony wykręcił mi rękę.

Lekko jęknąłem z bólu, próbowałem uwolnić się z jego silnego uścisku, ale on stał pewnie, nieruchomy jak skała.

- Jeżeli wieśniacy zobaczą, że tu łazisz, to tego nie przeżyjesz - warknął. - Wracaj, skąd przyszedłeś.

Jego dłoń chwyciła mnie za kark. Musiałem zacząć iść, tak mnie włókł. Nie mogłem się wyrwać. Gotowałem się z wściekłości, ale nie mogłem uwolnić się z jego hańbiącego uścisku. Ciągnął mnie za sobą, prawie mną potrząsał.

- Rzygać mi się chce. Niby z pana lekarz, a nie chce nam pan pomóc - powiedziałem słabym, piskliwym głosem z głębi gardła.

Dłoń doktora ścisnęła mnie jeszcze mocniej. Jęknąłem z bólu. Zaciągnął mnie w końcu do torów kolejki. Upadłem na zimną ziemię i popatrzyłem w górę: ujrzałem nad sobą krzepkie ciało doktora, wznoszące się nade mną czarną plamą na ciemnym tle lasu. Poczulem, że jest ode mnie silniejszy i ma nade mną całkowitą władzę.

- Będzie pan przyglądał się, jak umieramy - powiedziałem. Było mi wstyd, że mówię to tak słabym i tak przestraszonym głosem, ale leżeć w milczeniu byłoby jeszcze gorzej. - Jest pan podły.

Lekarz pochylił się. Coś tak mocno uderzyło mnie w plecy, jakbym dostał ciężkim kamieniem. Krzyknąłem i rzuciłem się w tył, by mnie nie kopnął, a już się do tego szykował. Mściwie usiłował mnie gonić. Wrzeszcząc ze strachu, wczołgałem się pod tory i zacząłem przesuwając się wzdłuż nich.

Byłem krańcowo wyczerpany, ale gdy zobaczyłem, że lekarz schyla się po kamień, zrozumiałem, że nie mogę tu zostać. Czołgałem się dalej po torze, chwytając podkłady oszalałymi ze strachu palcami, a gdy dotarłem do barykady, zsunąłem nogi pod tor, drżąc z wściekłości w tej hańbiącej pozycji.

Gdy straszliwym wysiłkiem znów wynurzyłem się nad tor z drugiej strony barykady, ostatkiem sił podciągnąwszy się na powierzchnię, mogłem już tylko gwałtownie dyszeć. Klatka piersiowa wznosiła mi się i opadała jak u dręczonego zwierzęcia. A potem omal nie postradałem zmysłów z wielkiej wściekłości. Krwawiły mi zmasakrowane końce palców. Wydało mi się, że słyszę za sobą czyjeś kroki, ale zamiast odwrócić się, spojrzałem na oświetlony przez księżyc drugi koniec torów. Zza wyciągarki patrzyła na mnie mała główka dziewczynki.

Wstałem i zmusiłem kolana, by dźwigały mnie przez podkłady. Gdy stopami dotknąłem ziemi po drugiej stronie doliny, tej, w której byliśmy teraz uwięzieni na dobre, ona wyskoczyła z ukrycia, wpatrując się we mnie szeroko rozwartymi jak u gorączkującego dziecka oczyma. Długo patrzyliśmy na siebie. Moim ciałem wstrząsał gniew. Oddychając ciężko, uwolniłem się spod jej naglącego, pętającego mnie spojrzenia i ruszyłem przed siebie. Szła za mną pośpiesznie, ale ja nie zwalniałem kroku.

A to świnię, a to cholerne świnię, krzychałem do siebie. Kark wciąż bolał mnie tam, gdzie chwycił mnie doktor. Co za podłość. On silny jak dzika bestia, ja taki słaby. Jestem bezwzględny wobec tych świń. Jeszcze przyśpieszyłem kroku, by w moją wściekłość nie wmieszało się przygnębiające poczucie krzywdy i smutek. Dziewczynka teraz już biegła, dysząc ciężko. I dysząc tak, powtarzała coś w kółko, ale nawet nie próbowałem zrozumieć, co mówi.

Przebiegliśmy przez las, zesłiśmy w dół wybrukowaną drogą, jaśniejącą w księżycowym świetle, minęliśmy domy, w których byli nasi uśpieni koledzy i stanęliśmy przed magazynem. Ona zatrzymała się, ja też. Potem znów spojrzeliśmy na

siebie. W jej opuchniętych, przekrwionych oczach pojawiły się łzy, w których skrząco odbijał się księżyc. Jej usta poruszyły się bezdźwięcznie. Nagle zrozumiałem, co takiego powtarzała całą drogę.

Myślałam, że nie wrócisz, mówiła bezustannie. Myślałam, że nie wrócisz - to właśnie krzyczały jej usta między jednym bezwiednym spazmem a drugim. Odwróciłem wzrok od jej ust i spojrzałem na własne palce, z których krew kapiała na bruk. Dziewczynka nagle wyciągnęła dłoń, potem pochyliła się i wzięła moje palce do ust, a jej twardy język, wysuwając się delikatnie, dotykał i dotykał moich ran, zwilżając je lepką śliną. Jej kark, zaokrąglony i giętki jak gołębi grzbiet, poruszał się lekko pod moją spuszczonej głową.

Coś we mnie wezbrało, potem nagle buchnęło i uderzyło mi do głowy. Chwyciłem ją za ramiona i podciągnąłem do góry. Już nie widziałem jej drobnej, zwróconej w górę twarzy. Tulilem ją do siebie jak przerażonego, schwytanego w potrzask ptaka, i wbiegłem z nią do zaciemnionego magazynu.

Wpadliśmy do mrocznego środka. W milczeniu zsunąłem spodnie i podciągnąłem jej spódniczkę. I rzuciłem się na jej dziewczęce ciało. Jęknąłem, gdy wzwidziony jak dojrzały szparag członek utknął mi w bieliźnie i prawie zgiął się wpół. A potem dotyk zimnej, suchej, jakby papierowej powierzchni jej łona, i cofanie się z lekkim dreszczem. Odetchnąłem głęboko.

I tyle. Wstałem, niezgrabnie naciągnąłem spodnie i wyszedłem na zewnątrz. Ona została w środku, oddychając nierówno. Na dworze zrobiło się jeszcze zimniej, a księżyc oblewał drzewa i bruk swą zimną, mineralną poświatą. Byłem wciąż wściekły do szaleństwa, a na usta cisnął się gniewny bełkot, ale spod tego wszystkiego zaczynało dobywać się inne, słodkie, intensywne uczucie. Gdy pobiegłem do siebie, w górę zбочa, oczy miałem pełne łez. Musiałem z całej siły napinać mięśnie twarzy, by strumienie nie spłynęły mi po policzkach.

7. Śnieżne łowy. Święto

O świcie zbudził mnie dotkliwy chłód, ale nie otwierałem oczu. Radość, tłąca się w mej piersi i moja gorąca namiętność rozgrzewały mnie od wewnątrz i skutecznie chroniły przed tym, co na zewnątrz. Zastanawiałem się, co się ze mną dzieje, czemu jestem tak dziwnie spięty, ale nie mogłem skupić myśli, bo wciąż niespokojnie i

euforycznie kręciło mi się w głowie, a senne ciało przeszywały dreszcze. W końcu lekko otwarłem oczy i wpatrywałem się we własne palce w zimnym powietrzu, połyskującym teraz silniejszą, ostrzejszą jasnością niż zwykle o świcie. Miękkie, różowe ranki otwarły mi się na nowo. Przypomniałem sobie, jak poprzedniej nocy dotykał ich i zwilżał lepką śliną ruchliwy, jakby gołębi język dziewczynki. Miłość wlała się w każdy zakątek mego ciała aż po czubki palców, jak gorąca woda. Wzdrygnąłem się z rozkoszy, po czym zwinąłem się w kłębek i spróbowałem jeszcze trochę pospać. Ale uniesienie, które mnie ogarnęło, nie chciało mnie opuścić. Do chaty wpadało jak huragan ćwierkanie niezliczonych ptaków, których dotąd prawie nie słyszałem, a teraz słyszałem też wielką, przytłaczającą ciszę. Wstałem, odsunąłem matę z drzwi, zawieszoną, by nie było przeciągu, i wyjrzałem przez wąską szparę.

Na dworze wstał nowy, przeczysty świt. Ziemię spowił głęboki śnieg, zaokrąglając zarysy drzew, upodabniając je do dzikich zwierząt, i lśnił bezkresnym blaskiem. Śnieg, pomyślałem i odetchnąłem głęboko. Nigdy w życiu nie widziałem go tyle, w takiej obfitości. Ptaki śpiewały jak oszalałe, ale gruba pokrywa śniegu tłumiała wszelki inny odgłos. Śpiew ptaków i wielka cisza. Byłem sam jeden na całym świecie, i właśnie narodziła się miłość. Jęknąłem z rozkoszy, kiwając się w przód i w tył. Klęknąłem na jedno kolano, zagryzając wargi i ze łzami w oczach wpatrywałem się w śnieg. Nie mogłem milczeć.

Odwróciłem się i w podnieceniu zawołałem do smacznie śpiącego brata:

- Ej, wstawaj, wstawaj!

Poruszył ramionami, jęknął gardłowo, po czym powoli otworzył oczy. Były brązowe jak kasztany, mocno błyszczały; po chwili ich blask przygasł spokojnie i miękko. Pomyślałem, że miał koszmar. I chyba od razu się uspokoił, gdy zbudziwszy się, zobaczył, że na niego patrzę.

- Wstawaj - powiedziałem.

- Dobra - powiedział i usiadł. Przez dziury w spodniach widać było jego brudne kolana.

- Patrz - zawołałem, znowu odchylając matę. - Patrz, jaki śnieg.

To wszystko, ten bezkres, ta przestrzeń, wpadły nam wprost do środka domu. Nim przebrzmiały entuzjastyczne okrzyki brata, rozsunąłem drzwi i wytknąłem głowę na zewnątrz. Zawirowały wokół mnie grube płyty śniegu. Czułem ciepło, gdy spadały mi na skórę. Przekrzywiłem szyję i spojrzałem w niebo, a popieliście brązowawy śnieg padał i padał coraz szybciej.

- Och - powiedział piskliwie brat. Jego ramię drżało, przytulone do mojego biodra. - Ale napadało, jak spałem.

- No właśnie, napadało, jak spałeś - powiedziałem, klepiąc go po ramieniu. - Ja też długo spałem.

- Sto lat? - zapytał, śmiejąc się bez tchu. - A teraz muszę się odlać za sto lat.

- Ja też - zawołałem, szybko przebierając palcami.

Tuż przed drzwiami naszego spichrza utworzyła się wysoka zaspą. Sikaliśmy wprost w jej dziewczęcą czystość członek przy członku, skurczony z zimna; miodowej barwy plamy powoli topiły śnieg i zapadały się w głąb. Przypomniałem sobie dotyk zimnej, suchej, jakby papierowej powierzchni łona dziewczynki. Skórę przeszyło mi uczucie zdrowej rozkoszy. I ja, i mój mały, wzwiedziony członek byliśmy pełni młodzieńczej żywotności.

W śnieżnym polu zatańczył zwinny kształt; rozrzucał wkoło płatki śniegu, zbliżając się do nas coraz bardziej.

- Leo! - zawołał mój brat ostrym głosem i niemal w tej samej chwili pies skoczył na niego i pchnął na ziemię.

Leo turlał się, co chwila otrzepując się ze śniegu i znów lepiąc nim całe futro, lizał szyję i policzki brata, chwycił go zębami za ramiona i ręce. Brat wykrzykiwał z emocji, śmiał się i mocował z rozszczekany psem. W końcu udało mu się przycisnąć go do ziemi. Pies zaskomlał cicho, przejmująco, brat spojrzał w górę na mnie wilgotnymi, roześmianymi oczyma. Długo patrzyliśmy sobie w oczy z uśmiechem - pierś brata unosiła się i opadała w głębokim oddechu.

Owinąłem mu szyję jakimś szmatkami, a on wrócił na słomę pod koc, tym razem z psem. Rozpaliłem ogień drewnem zgromadzonym na klepisku i upiekłem na nim trochę suszonej ryby. Jedzenia wciąż mieliśmy na zapas, a w dodatku spod śniegu łatwo wykopać ukrytą pod nim smaczną, wodnistą kapustę. Na płonących drewniakach postawiłem garnek z zimnym, stwardniałym ryżem i wrzuciłem garść śniegu z dworu. Po chwili ta garść, długo zachowując odcisk mojej dłoni, stopniała wreszcie i zatonała w buchającej parze. Gdy odwróciłem się, by dołożyć jeszcze drewna, zobaczyłem, że brat - a myślałem, że śpi - spogląda na mnie w milczeniu.

- Co? - zapytałem z lekkim zdziwieniem. - Nie śpicie? Ty i pies?

- Pies wybiegł na dwór - odparł z uśmiechem. - Nie zauważyłeś, co?

- Nie - powiedziałem.

- Tak go wytresowałem - pochwalił się.

- Wstawaj i jedz.
- Tylko umyję twarz w śniegu - powiedział, wiążąc sznurek u spodni.
- Potem się umyjesz.

Sięgnął po menażkę do tobołka i powiedział cicho swym dziecięcym głosem:

- Zostańmy tu na zawsze, na długo.

- Aż zmienimy się w dwóch przygłupich dorosłych - powiedziałem. Ale podobnie jak on, i ja chciałem przeżyć całe, długie życie w tym opatulonym śniegiem domu. Wszystkie wyjścia stąd zamknęły się przed nami. Czego jeszcze mogliśmy pragnąć? Nie miałem zamiaru jeszcze raz narażać się na takie upokorzenie jak w nocy.

Po śniadaniu, gdy wraz z bratem wyszliśmy z domu, a woń pieczonej ryby wisiała nam wokół twarzy, śnieg przestał padać, wiatr wiać, a niebo rozchmurzyło się i było teraz oślepiająco niebieskie. Pokrywający ziemię, drzewa i domy śnieg błyszczał jaskrawo. Śpiew ptaków omiatał nas jak chłodny wiatr, jak świeży śnieg. Obejmując się ramionami, brnęliśmy w śniegu, zbierał nam się na piętach.

Nasi koledzy byli już na placu przed szkołą. Potem zobaczyłem też dziewczynkę, stała z boku, niemal oparta o mokry, czarny pień starego kasztanowca, przykrytego czapą śniegu. Razem z bratem zbiegliśmy w dół zbocza, krzycząc i kopiąc śniegiem wokoło. Chłopcy powitali nas okrzykiem; gdy już znalazłem się wśród nich, jakoś nie mogłem odwrócić się w stronę kasztanowca. Powstrzymywała mnie jakaś ciepła, wewnętrzna fala, która nagle zaczęła we mnie wzbierać.

- Tylko żołnierz i wy dwaj tak zaspaliście - powiedział z roziskrzonym wzrokiem Minami. - A my zaczęliśmy pracę jeszcze przed świtem.

- Pracujecie? - zawołałem, by otrząsnąć się z tego dziwnego zażenowania.

- Wpadliśmy na pomysł, że można by się poślizgać, więc zaczęliśmy robić ślizgawkę.

Na słowo „ślizgawka”, które niosło ze sobą ciężką, chwytającą za serce tęsknotę, zaczęliśmy śmiać się jak wariaci. Śnieg na zboczu zdążył stwardnieć, w środku, zmrożony, kolorem przypominał zakrzepły celulozoid. Jedni ślizgali się po nim chwiejnie, inni ubijali go jeszcze owiniętymi w szmaty deskami, by poszerzyć i przedłużyć wąski tor. Wszyscy mieli mocno zaczerwienione policzki i wydychali kłęby pary. Wziąłem krótki rozbieg i puściłem się po zamrożonym, lśniącym w słońcu zjeździe - i zaraz się wywaliłem. Brat brnął obok mnie jak niezdatny miś. Wstałem, otrzepałem plecy i tyłek ze śniegu na oczach rozbawionych, wyśmiewających się ze mnie kolegów, i gryząc wargę, poszedłem prosto pod kasztanowiec.

Dziewczynka uśmiechnęła się, widząc, że się zbliżam. Zaczerwieniła się. Pod jej cienką, blado lśniąca skórą wykwitwały na chwilę i gasły małe plamki krwi, w rytmie walki między ciepłym uśmiechem i zimnem.

- Zdziwiłaś się, jak zobaczyłaś tyle śniegu? - zapytałem, szybko zwilżywszy wargi językiem.

- Przyzwyczaiałam się, że tu tyle pada - odparła żywo, unosząc ramiona.

- Tak? - powiedziałem niepewnie. I roześmialiśmy się oboje.

Odzyskałem spokój. Byłem teraz pewny i szczęśliwy, że to znów trwa - ta moja pierwsza miłość. Gdy odwróciłem się i z dziewczynką przy boku oparłem plecami o pień drzewa, zobaczyłem, że koledzy spoglądają na nas ze zdziwieniem. Uśmiechnąłem się do nich wyrozumiale. I omal nie spłonąłem z radości, gdy poczułem, że prawy przegub ręki dziewczynki ociera się nieśmiało o moją lewą dłoń.

Minami gwizdnął z całych sił. Uśmiechnąłem się do niego bardzo przyjacielsko i tym uśmiechem zaraziłem wszystkich kolegów, jego nie wyłączając. Gdy domyślili się, że między mną a dziewczynką już doszło do zbliżenia, przestali się nami interesować i zajęli się swoimi sprawami. Tarzali się w śniegu, śmiejąc się i pokrzykując. Mój brat się z nimi nie bawił, bo trzymający się go uparcie Leo robił pazurami dziury w ślizgawce. Brat siedział więc przy nas, tuląc do siebie psa, i z wesołą miną przyglądał się zjazdowi.

- Bola cię palce? - zapytała dziewczynka, szybko wyciągając szyję do mojego ucha.

- Nic a nic - powiedziałem z godnością.

- Dzielny jesteś. Całkiem dzielny jak na swój wiek.

- Na mój wiek? - zapytałem, nie mogąc powstrzymać śmiechu i zarazem niepokojąc się, że może ją tym urażę. - A kto ci powiedział, ile mam lat?

- No, tak ogólnie - odparła po prostu. - Są grupy wieku: dzieci, dorośli, niemowlęta, tak? Tak ogólnie.

Poczułem lekką pogardę i umyślnie roześmiałem się w głos, a potem pochyliłem się i pogłaskałem psa po łbie. Brat wciąż trzymał go za tylne łapy, ale pochłaniała go zabawa kolegów.

- Rozumiesz? - powiedziała nieśmiało moja miła.

Potem wydobyla spod kurtki papierowe zawiniątko i podzieliła znajdujące się w nim jedzenie mniej więcej na pół. Było to twarde jak kamień ciasto. W milczeniu dała mi tę trochę większą część i usiłowała przełamać to, co znów pozostało, na pół.

Już miałem unieść prawą dłoń, spoczywającą na głowie psa, by podzielić się z bratem tym, co dostałem, kiedy pies podskoczył i ugryzł dziewczynkę w przegub ręki, wyciągniętej tuż nad jego głową. Dziewczynka krzyknęła, a Leo porwał pokrytą teraz śniegiem zdobycz i popędził z nią w górę zbocza. Dziewczynka przycisnęła zranioną prawą rękę do ust. Przypomniałem sobie, jak jej zwiny język przesuwiał się po moich ranach, i moją gorącą miłość do niej. W głowie słyszałem tylko łomot tętniącej krwi.

- Boli? - zapytałem, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Pokaż.

Ale ona nie odpowiedziała, tylko wciąż przyciskała ranę do ust. Potem jej policzki pobladły, zapadły się ze strachu i wykwitły na nich czarno-czerwone plamy - nagle zbrzydła. Przybiegli moi koledzy i otoczyli nas, a mną zawładnął wściekły gniew. Brat też pobladł i po chwili wahania pobiegł pod górę za Leo.

- Co, boli? - zapytałem. - No, jak tam?

Zostawiłem kolegów i w milczeniu odprowadziłem ją pod magazyn, obejmując ramieniem. Przed drzwiami strząsnęła je nagle i wbiegła w ciemność. Wróciłem więc na plac. Byłem zły i zrozpaczony. Nie miałem na nic ochoty, ale z krzykiem przyłączyłem się do zabawy na ślizgawce.

Zresztą była to rzeczywiście fajna zabawa. Tak fajna, że do południa zapomniałem o dziewczynce, gniewie i rozpacz. Rozgrzałem się tak, że aż się spociłem.

Potem zgłodniałem jak wilk, więc wróciłem do domu, żeby coś zjeść. Brat siedział niepokieszony w mrocznym, bo ocienionym wejściu, i między kolanami trzymał psa. Wstrząsnął mną ten widok.

- Skrzyczałem go - powiedział ze zwieszoną głową. - Porządnie go skrzyczałem.

Pomyślałem, że martwi się tym, co się stało, więc powiedziałem wspaniałomyślnie:

- Nie przejmuj się. Ona przesadza.

Kiedy to powiedziałem, wydało mi się, że rzeczywiście nie ma się czym przejmować. W końcu czy można tak bardzo winić psa i jego młodego opiekuna, żeby kazać im siedzieć w mrocznym domu w takie piękne, śnieżne popołudnie?

Stojąc na klepisku, zjedliśmy resztki śniadania. Leo też dostał. Jedliśmy, ale nie mogliśmy się doczekać powrotu na ślizgawkę.

Ale po południu już nikt się nie ślizgał. Pojawił się Li. Przyniósł z lasu w swych silnych, umięśnionych ramionach dwa gołębie, dzierzbę i dwa inne ptaszki. Ich

śliczne grzbiety miały kasztanowe, poprzeczne pręgi na tle ciemnobrązowych piór. Ptaki wyglądały bardzo godnie, gdy leżały na śniegu z mocno zaciśniętymi oczami. Li miał też ze sobą małe sidła.

Z dreszczem emocji, pod kierunkiem Li sporządziliśmy własne sidła. Zebraliśmy się jak armia przed wymarszem i ruszyliśmy w las. Gdy znaleźliśmy się w zagajniku, Li głośno pouczył nas, co trzeba zrobić. Rozbiegliśmy się we wszystkie strony, wsłuchani w ptasi śpiew.

Nasze pracowicie skręcone z konopnych włókien sidła rozłożyliśmy wraz z bratem w przyprószonej śniegiem trawie. Rozsypaliśmy ziarno wokół sideł - rzeczywiście bardzo pomysłowych - i czekaliśmy, by ptaki zaplątały w nie swe cienkie, twarde łapki. Mieliśmy też ze sobą wyplatany bambusowy kosz. Sidła zastawiliśmy w małym zagłębieniu, gdzie spod śniegu wystawały zmrożone źdźbła traw. Potem wycofaliśmy się, zacierając ślady. Sidła tworzyły na gruboziarnistym, bo już zamarzającym śniegu gęstą sieć. Gdy na nią patrzyłem, całym ciałem niemal czułem, jak ptaki zaplątują w nią swe ostre pazury, jak kwilą i szamoczą się, rozrzucając pióra, jak w powietrzu unosi się zapach krwi. Paliło mnie w gardle; radośnie poklepałem brata po ramieniu. Zaśmiał się, ukazując różowe dziąsła za suchymi wargami.

Musieliśmy wybrać miejsce na kosz. No i zostać w pobliżu, by usłyszeć szamotanie się złapanych w sidła ptaków. Li powiedział, że wystarczy zostawić je choć chwilę dłużej, a spłoszą się inne ptaki, w dodatku jakieś wygłodzone zwierzę może pochwycić naszą zdobycz. To w przyszłości utrudniłoby nam polowanie.

No właśnie: polowania w przyszłości... Z wielkim trudem udało nam się ustawić kosz do góry dnem wśród dębów, gdzie gruba warstwa przysypanych śniegiem zwiędłych liści miękko ugiwała się pod każdym krokiem; podparliśmy go kołkiem. Potem do kołka przywiązaliśmy długi sznurek i pośpiesznie skryliśmy się za ciernistym krzakiem. Trzeba było czekać, aż zjawi się znęcony podsypanym ziarnem gołąb, i gdy jego szaro-niebieska główka całkiem zniknie pod koszem, z całej siły szarpnąć za sznurek. Uwięziony w koszu gołąb zatrzepocze w naszych dłoniach, gdy wsuniemy je do środka, a gdy ukrećmy mu kark, będzie nawet trochę krwi.

Razem z bratem przycupnęliśmy w liściastych, włochatych i lekko ciernistych, sięgających nam do piersi zaroślach i patrzyliśmy na naszą pułapkę. Wysoko w drzewach śpiewały ptaki. Gdy spojrzałem w górę, zobaczyłem bladoniebieskie, zimowe niebo, nieprawdopodobnie wysoko nad splątanymi gałęziami. Nasłuchiwałem, ale słyszałem tylko oddech brata, śpiew ptaków i, od czasu do czasu,

ciężki odgłos spadających śniegowych czap. Wokół była tylko przerażająco ogromna cisza, w której nie dochodziły nas nawet okrzyki kolegów. Gdy tylko opadały mnie mroczne, smutne myśli, otrząsałem się, by je odpędzić. Nikomu, nawet bratu, nie zamierzałem zwierzyć się z doznanego poprzedniej nocy upokorzenia. Ptaki jakoś nie chciały się pojawić.

- Mam mokry tyłek - powiedział brat. - Od śniegu.

Gdy zastawiliśmy sidła, usiedliśmy na rozłożonych na śniegu suchych liściach. Wstałem, by przynieść ich jeszcze trochę spod drzew. Uniosłem pierwszą warstwę i zobaczyłem ze zdumieniem, że spływa po nich czysta woda i że ukazują się już spod nich świeże, biało-niebieskie pąki i owadzie larwy w kokonach.

Brat rozsiadł się na warstwie suchych liści i z natężeniem wpatrywał się w kosz. Razem z przytulonym do jego kolana Leo przyglądaliśmy się nabrzmiałym, czerwonym od mrozu dłoniom, w których trzymał sznurek, jakby to była śmiercionośna broń.

A ptaków jak nie było, tak nie było. Leo, brat i ja wpadaliśmy w łagodny, głęboki wir czasu, kręcący się wokół pułapki. My z bratem ziewaliśmy aż do łez, a pies nerwowo strzygł uszami. Byłem niespokojny i tak senny, że to ziewanie wydawało mi się czymś zupełnie normalnym.

Brat westchnął.

- O co chodzi? - powiedziałem, zwinąwszy dłoń w pięść.

- Zdawało mi się, że z gałęzi sfrunął wielki ptak - odparł z lekkim uśmiechem na swej sennej, dziecięcej twarzy. - Ale to tylko mały liść spadł mi tuż przed oczyma.

Wstałem i powiedziałem szybko:

- Wrócę na chwilę do wsi.

- Pójdziesz do tej dziewczynki, co wygląda jak gołąb - wokół oczu pojawiły mu się drobne zmarszczki.

- No. Pójdę przeprosić ją za Leo.

Zbiegłem w dół po zboczach, rozrzucając śnieg na boki. Suche gałązki krzewów - chyba różanych - łamały się pod naporem moich ud. Leo, który biegł za mną przez chwilę, porwał jedną z nich do pyska i wrócił do mojego brata.

W magazynie było zimno. W powietrzu unosił się duszny zapach gołej ziemi, mchu i kory. Otwarłem drewniane drzwi i przez chwilę nie ruszałem się, by mój wzrok przyzwyczał się do ciemności. Trwało to dość długo, bo na zewnątrz było bardzo jasno od słońca odbijającego się wszędzie w śniegu. Potem pojawiła się drobna twarz

dziewczynki - okryta od policzków po uszy złotawym puszkciem. Dziewczynka siedziała na środku klepiska, owinięta po szyję cienką kołdrą. Powoli zamknąłem drzwi, patrząc jej w oczy, przypominające w tej chwili oczy małego zwierzątka.

- Zimno ci, co? - powiedziałem ochryple.

- No - odparła, marszcząc brwi.

Ja za to pocilem się po biegu. Nie miałem pojęcia, po co właściwie tu wróciłem. Rozzłościłem się.

- Jesteś chora? - zapytałem i od razu zawstydziłem się tego pytania. Pewnie pomyśli, że jestem głupi.

- Nie wiem - odpowiedziała chłodno, co jeszcze bardziej mnie zawstydziło.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Rozpal ogień.

Odzyskałem pewność siebie i dziarsko rzuciłem chrust na palenisko. Rozdmuchałem ogień, choć krztusiłem się od dymu. Twarz dziewczynki wydała mi się w pomarańczowym blasku wynędzniała i bez życia, jak twarz niedorozwiniętego dziecka. Skóra wokół warg była sucha, porysowana białymi zmarszczkami.

Usiadłem na deskach i patrzyłem na nią przez ogień. Byłem teraz bardziej pewny siebie, bo rozpałem ogień, ale czułem też, że gdyby w tej chwili ktoś otworzył drzwi, uciekłbym stąd, bardzo zmieszany. Wiedziałem, że muszę powiedzieć jej coś ważnego, ale zaschło mi w gardle, a słowa nie przychodziły.

- Chce mi się sikać - powiedziała nagle, rozkazująco. - Ale nie mam siły wstać.

- Podniosę cię. - Poczulem, że krew napływa mi do twarzy. - Przytrzymam cię za ramiona.

Odrzuciła kołdrę; zobaczyłem, że ubrana jest w ładną koszulkę z czerwonej flaneli, której przedtem nie widziałem. Spojrzałem na jej drobne, drżące piersi i pomogłem jej wstać, trzymając ją za dziwnie gorące ręce. Przeszliśmy za drewniany parawan. Tam odwróciłem się i czekałem z zapartym tchem.

- Już - powiedziała z wielką godnością.

Zaniosłem ją z powrotem.

Gdy się położyła i podciągnęła kołdrę aż pod szyję, jej twarz wykrzywiła się jakby ze złości. Zamknęła oczy. Zaniepokoiło mnie to, ale pomyślałem, że lepiej do niej nie mówić.

- Nogi mam zimne i obolałe - powiedziała, nie otwierając oczu. - Naprawdę mnie bołą.

Zawahałem się, po czym wsunąłem ręce pod kraniec kołdry i masowałem jej łydki i kostki, twarde jak sęczki na młodym drzewku.

- Możesz ściągnąć ze mnie kołdrę. Rozgrzej ręce przy ogniu i rozmasuj mnie - zażądała.

Czerwona koszulka była krótka i trochę przybrudzona; widziałem smukłe, ładne kolana bez blizn. Masowałem dziewczynkę z zapałem, energicznie. Krew powoli wracała w jej łydki i zaczynała płynąć - miałem wrażenie, że wręcz to słyszę. Pomyślałem o moich kolanach, pokrytych grubą, zabliznioną skórą, i wzdychałem nad jej kolanami, równie gładkimi jak skóra wewnętrznej strony ud. Dziewczynka leżała bez ruchu i w milczeniu, powierzając mi swoje nogi i długo nie mówiła, żebym przestał. Jej łydki rozgrzały się w moich dłoniach. Przypominały mi ptaki przyniesione przez Li, które też były ciepłe w jego rękach. A potem, zdumiony rozpalającym mi się w piersi cierpieniem, poczułem powolny wzwód.

- Jak chcesz - powiedziała piskliwym, dziecinnym głosem, który wiązał jej w gardle - pokażę ci brzuszek.

Gwałtownie zawinąłem jej nogi w kołdrę i wstałem. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

- Wracam do domu - krzyknąłem, zły na nią i na siebie, i wybiegłem z magazynu.

Ale biegnąc do lasu, gdzie wśród twardych, różanych krzewów czatował mój brat, szalałem ze wzbierającej we mnie dumy i radości. Nikt nie wie, że mam tak słodką, cudowną ukochaną. Biegłem bez tchu pod ukoronowanymi śniegiem drzewami, pędziłem na własne łowy, łowy mężczyzny, często ślizgając się w drodze pod górę i słysząc spadający za mną śnieg.

Dysząc białą parą, wystawiłem głowę spod mokrych gałęzi, by zajrzeć do zastawionych na śniegu sideł. Ale w konopnej sieci nie widać było nawet wypadłych piór; ziarno też było nietknięte. Cmoknąłem z zawodu i chciałem dostać się do pułapki zastawionej przez brata, ale musiałem najpierw przebrnąć przez gąszcz. I wtedy, w cedrowym lasku po prawej stronie, usłyszałem nagle gwałtowne, silne uderzenia skrzydeł i szczekanie psa. Popędziłem tam co tchu.

Lasek cedrowy był ciemny i mokry. Oddychało mi się ciężko w gęstym powietrzu, więc biegłem wolniej. Szczekanie i szum skrzydeł dochodziły z lekkiego przejaśnienia na drugim końcu. Podążyłem w tamtą stronę wśród ocierających się o moje nogi paproci. Miejsce, gdzie cedry zrabano, świeciło jasnymi zaspami śniegu i

tam właśnie tarzali się w nim mój brat i pies. Uderzenia skrzydeł przybrały na sile, brat wciąż rzucał się po ziemi. Podbiegłem i zobaczyłem, że mociuje się ze wspaniałym bażantem.

- No, zabij go - zawołałem.

Pies szczeknął, kark ptaka złamał się z cichym trzaskiem, a potem opadł bezwładnie na pierś brata.

- No! - zawołałem podniecony. - No, proszę!

Brat zerwał się z ziemi, rozchylił blade, drżące wargi. Bażanta wciąż trzymał kurczowo przy piersi, a wpatrywał się we mnie z takim napięciem, jakby miał atak padaczki. Przywarł do mnie, objąłem go za ramiona i poklepałem po plecach. Mruknął coś, drżąc jeszcze na całym ciele.

- No proszę, udało ci się - krzyknąłem z radości, choć sam o mało nie wybuchłem płaczem.

- No - powiedział brat niskim, chrapliwym głosem, przyciskając twarz do mojej piersi.

Przez chwilę trwaliśmy w uścisku. Leo biegał wokół nas i szczekał, potem nagle podskoczył. Brat puścił mnie, rzucił bażanta na ziemię i złapał Leo. Znow tarzali się po śniegu, potem i ja przyłączyłem się do nich. Szaleństwo sączyło się nam w żyły jak trucizna.

Nagle brat osunął się wyczerpany na ziemię. Ja też usiadłem na śniegu, jeszcze mając splecione z nim ręce. Leo skoczył do bażanta i przyniósł go do stóp swego pana. Długo w milczeniu patrzyliśmy na ptaka. Palec brata gładził twarde, zielone, o czerwonym połysku piórka na jego głowie, potem ciemnofioletowy kark, mokry od psiej śliny, i wreszcie mieniący się bogactwem kolorów grzbiet. Ptak był piękny, jędrny, pełen życia.

Zobaczyłem, że po policzkach brata płyną łzy i że ma na szyi liczne zadrapania.

- Ale ci dał szkołę - powiedziałem, otrzepując go ze śniegu.

Popatrzył na mnie lśnącymi od łez oczyma i zaśmiał się krzykliwie, urywanie. Wstaliśmy i zataczając się, poszliśmy wśród cedrów do zagajnika. Przez całą drogę brat opowiadał o swych bohaterskich łowach, powtarzając się i od czasu do czasu wybuchając niepowstrzymanym śmiechem, jakby nie potrafił zapanować nad emocjami. Trzymał bażanta z całych sił, wbijając w niego paznokcie.

A odbyło się to tak: siedział w krzakach i pilnował swej pułapki, gdy Leo wypłoszył bażanta z zaśnieżonej trawy i ugryzł go w skrzydło. Brat rzucił się za

ptakiem, by pomóc Leo, ale zgubił ich przed cedrowym laskiem. O mało nie rozpląkał się ze wstydu. Ale gdy wrócił do pułapki, Leo znów nagnał bażanta w jego stronę; ptak nie mógł wzbić się w powietrze i krył się wśród paproci. Brat chwycił go i choć porządnie oberwał potężnymi, silnymi skrzydłami, w końcu zwyciężył.

- Patrz - powiedział, odrzucając głowę do tyłu. - Nieźle oberwałem w prawe oko. Ciągłe źle na nie widzę.

Oko było rzeczywiście zakrwawione, przypominało przejrzałą morelę. Chwyciłem brata za głowę i potrząsałem nią, naśladując jego śmiech.

Z wrzaskiem dobiegliśmy do placu przed szkołą, gdzie koledzy stali wokół Li, pokazując, co kto złapał. Zdobycz mojego brata natychmiast stała się przedmiotem podziwu i zazdrości każdego z młodych myśliwych. Złoty bażant tak rósł i pysznił się wśród zachwyty naszych kolegów, że chyba wypełnił po chwili całą wioskę. Brat z zapalem opowiadał całą swą przygodę, aż wijąc się w krótkich wybuchach nerwowego śmiechu, który chwilami przechodził w ledwo zrozumiały pomruk.

- Jesteś wspaniały - powiedział Li, spoglądając na niego pełnymi przyjaźni oczyma.

Uszczęśliwiony tą pochwałą brat rzucił bażanta na śnieg. A gdy powrócił Minami - złapał tylko jednego małego szlarnika - szydziliśmy z niego, aż miło. Było mu wstyd, bo w porównaniu z bażantem, lekko lśniącym w rozpalonym, złotopomarańczowym świetle wieczoru, jego mały, zielony ptaszek wyglądał jak kupka już niemej, kurczącej się gliny, co zresztą sam przyznał.

Minami cmoknął i rzucił swego szlarnika w śnieg. Inni poszli za jego przykładem. Emocje sięgnęły szczytu, gdy wokół bażanta urosła sterta miękkich, szaro-niebieskich, czarno-żółtych, zielonych i biało-brązowych piór.

- Dzień, w którym złapie się pierwszego bażanta, trzeba świętować - oznajmił Li. - To zapewni powodzenie przyszłych polowań. Tylko że wieśniaków tu nie ma, więc nie mogą uczcić tego święta. A jeżeli obchody święta się nie odbędą, to nikt już nic nie złapie, a wioska podupadnie.

- No to zorganizujmy to święto - powiedziałem. - Zapewnimy sobie powodzenie przyszłych polowań w naszej wiosce.

- W naszej wiosce? - zapytał, krzywiąc się Minami. - Ona jest nasza? Nas tu tylko porzucono.

- To jest nasza wioska - powiedziałem, patrząc na niego groźnie. - Mnie tam nikt nie porzucił.

- No dobra - odparł z chytrym uśmieszkiem. - Nie mam nic przeciwko świętowaniu.

- A jak trzeba świętować? - zapytał Li. - Jak to się robi?

- Gotuje się ptaki, a potem trzeba je zjeść - wyjaśnił. - Pośpiewamy, potańczymy, i tyle. To taki zwyczaj.

- A więc do roboty - powiedziałem.

Koledzy już wiwatowali:

- Święto!

- Niech każdy biegnie po chrust i jedzenie - powiedział Li. - Ja przyniosę wielki garnek.

Wszyscy rozbiegli się z krzykiem do domów, a ja chwyciłem brata za ramię i pobiegliśmy w górę zbocza nazbierać drewna.

- I nauczę was świątecznej pieśni! - krzyczał Li, wymachując rękami. - Będziemy śpiewać do rana.

8. Nagły wybuch zarazy i paniki

Gdy nazbieraliśmy dość zielonego drewna, które z każdym nacięciem wydzielало zmysłowy, słodki zapach, zanieśliśmy je na obszerne klepisko w szkole i zawiesiliśmy garnek na drucie nad ogniem. Miejsce świętowania zostało ustalone. Małe szczapki drewna natychmiast się rozpałyły, a woda w garnku, tłusta od plastrów suszonej ryby, wkrótce zaczęła się gotować. Żołnierz, którego Li ściągnął tu usilnym błaganiem, zakasał rękawy i mieszał wywar.

Oskubaliśmy ptaki. Rzuciliśmy w śnieg ich nagie ciała. Li po kolei opalił je nad ogniskiem, by usunąć puch; lekki zapach mięsa podrażnił nasze nozdrza. Niektóre ptaki nagle ożyły, zaczęły wykręcać szyje i wrywać się gwałtownie - nieźle się uśmialiśmy. Odrywaliśmy im głowy, wsadzaliśmy im palce w odbyty i poruszaliśmy nimi, błaznując i wrzeszcząc.

Li ostrym nożem rozciął brzuch drozda i rękami wydobył jego wstrętą zawartość, nawet kamyki, żeby każdy mógł się przypatrzeć. Zobaczyliśmy ciemnobrązowe łebki owadów, twarde nasiona, korzonki traw i kawałki kory.

- Ale paskudztwo jedzą - krzyknął Minami.

- Z głodu - wyjaśnił Li.

- Wszystko poza tą wioską głoduje. Ptaki, zwierzęta, wszystko umiera z głodu - wrzeszczał Minami. - I ludzie poza nią zataczają się z głodu. Tylko my mamy pełne brzuchy.

Wybuchnęliśmy śmiechem, a Minami biegał w kółko, triumfalnie wywijając nad głową oskubanym, wybebeszonym drozdem. Nim dotarliśmy do wioski, podczas długiej ewakuacji, gdy przerzucano nas od świątyni do świątyni, od szkoły do szkoły, od gospodarstwa do gospodarstwa - zwykle głodowaliśmy. Tak było przez cały czas, gdy prowadził nas strażnik, gdy szliśmy przed siebie, mdlejąc z głodu albo ściskając rękoma puste brzuchy, gdy maszerowaliśmy leśną drogą przez noc, gdy skrzypiały tory wiozącej nas tu kolejki. A teraz nadszedł czas, by zapewnić nam wszystkim - również tym, którzy mieli tu do nas dołączyć - powodzenie przyszłych łowów.

Gdy wszystkie ptaki leżały już w śniegu, siniejąc, krwawiąc z poukręcanych karków zmieszaną z tłuszczem krwią, zrobiły się dziwnie chude i kościste. Wspaniałe wrażenie robił tylko bażant mojego brata - jego umięśnione uda i złocista pierś. Li poprzebijał łapy mniejszych ptaków grubym drutem, który połączył z obu końców, tworząc prawdziwy pierścień mięsa, i zawiesił go nad ogniem. Potem przebił bażanta od szyi po odbyty zaostrzonym patykiem z dębiny. Trzymając patyk z obu stron, chłopcy piekli mięso nad ogniem, powoli je obracając.

Nasi młodszy koledzy, pokrzykując radośnie, pomagali żołnierzowi kroić warzywa i wrzucać je do garnka wraz z ryżem. Potrawki powinno być dużo. Brat zawiesił sobie u szyi ogniście lśniące pióra bażanta i czuwał, by koledzy płukali jarzyny, podawali je żołnierzowi, ale czasem podbiegał przyjrzeć się swej zdobyczy, która piekła się i ociekała żółtobrazowym tłuszczem, i wzdychał, zadowolony.

Gdy światło zachodzącego słońca zawisło nad śnieżną powierzchnią w oczekiwaniu na wschód księżyca, rozpoczęliśmy wreszcie naszą wspaniałą ucztę. Zebraliśmy się wokół ognia, żuliśmy mięso i wysysaliśmy miękkie kości ptaków, jedliśmy też gorący ryż z warzywami. Głośno połykaliśmy każdy kęs; nasze ciała kipiały energią. Li przyniósł kilka butelek samogonowej sake. Mętny płyn był okropnie kwaśny, wszyscy spróbowali i wypluli go z krzykiem. Nikt nie mógł tego przełknąć, zresztą nie potrzebowaliśmy sake, bo krew i tak w nas wrzała.

Li zaczął śpiewać w swym ojczystym języku. Refren szybko zapadał w pamięć, więc co chwila wtórowaliśmy mu między jedną zwrotką a drugą.

- Czy to świąteczna pieśń? - zawołałem do niego, przekrzykując śpiew innych.

- Nie, pogrzebowa - odpowiedział Li, śmiejąc się i pokazując ruchliwy język. - Musiałem się jej nauczyć, kiedy umarł mój ojciec.

- Ale i tak to jest pieśń świąteczna - uznałem. - W każdym razie coś w tym rodzaju.

Śpiewaliśmy długo. Potem nagle wzeszedł księżyc i śnieg skąpał się w miękkim świetle. Zadrżeliśmy wszyscy i wrzeszcząc, tańczyliśmy w śniegu jak szaleni. Po chwili znów poczuliśmy głód, więc wróciliśmy do ogniska. Żołnierz pilnował ognia. Siedział z głową zwieszoną w dół, otaczając kolana ramionami. Stwierdziliśmy, że jest głupi, skoro nie śpiewa z nami i nie tańczy.

Gdy znów najedliśmy się do syta, ogarnęła nas senność i znużenie. Patrzyłem, jak mój brat i inni wracają na śnieg wraz z Leo, ale sam zostałem przy ognisku; siedziałem, obejmując rękami kolana, jak nasz żołnierz. Li i Minami też nie odeszli od ognia. Znaczyło to jedno: my trzej nie byliśmy już dziećmi.

- I pomyśleć, że za wioską trwa wojna - powiedział sennym głosem Minami. - Gdyby nie wojna, byłbym teraz nad morzem daleko na południu.

- Wojna na pewno szybko się skończy - odezwał się żołnierz. - I to zwycięstwem wroga.

Milczeliśmy. Nam było wszystko jedno, ale żołnierz, poirytowany naszą obojętnością, mówił dalej, co myśli.

- Już niedługo muszę się ukrywać, tylko do końca wojny. - Powiedział to tak żarliwie, jakby odmawiał modlitwę. - Gdy tylko się poddamy, będę wolny.

- A teraz nie jesteś? W wiosce możesz robić, co chcesz. Możesz wszędzie chodzić, nikt cię nie złapie - powiedziałem. - Naprawdę jesteś wolny. Co, może nie?

- Na razie ani ty, ani ja nie jesteśmy wolni - odparł żołnierz - tylko odcięci od świata.

- Nie myśl o tym, co jest poza wioską, nie mów tak - poniosło mnie. - We wsi wolno nam wszystko. Nie mów o tych, co są poza nią.

Żołnierz zamilkł. My też ucichliśmy.

Tylko ogień trzaskał raz po raz. Z dala dobiegały głosy brata i innych kolegów, bawiących się w śniegu. Słyszałem też psa, szczekał i szczekał.

- Wojnę na pewno przegramy - powtórzył po chwili żołnierz. Potem nagle podniósł głowę, popatrzył na każdego z nas po kolei i zapytał: - No i co? Milczycie, ale nie czujecie hańby zwyciężonych?

- To nie nasza sprawa, tylko tamtych. Tych, co mają broń i co odcięli nas od świata - powiedziałem spokojnie. - Co nam do tego?

- Ale z was kanalie, tak się nie przejmować klęską - obruszył się żołnierz.

- My jesteśmy kanalie? - zapytałem. - A kto uciekł, bo bał się umierać?

- Myśmy nie uciekli - dobił go Minami, wykrzywiając usta w złośliwym uśmiechu. - O siebie się martw, nie o nas.

Żołnierz spojrział na nas groźnie, rozgniewany, a potem oparł czoło na kolanach. Widziałem, jaki jest przybity i upokorzony, ale mu nie współczułem. Oddzielał nas od niego wysoki mur, mur nie do przebycia. Mimo swej nieśmiałości żołnierz należał do świata zewnętrznego, z którym solidaryzował się nawet w tej chwili. I dorośli, i nie całkiem dorośli są beznadziejni, pomyślałem z lekceważeniem.

- I on mówi, że jesteśmy kanalie - powiedział z głębokim zadowoleniem Minami i spojrział na nas.

Zaśmialiśmy się głośno. Żołnierz nawet się nie poruszył. Wciąż siedział ze zwieszoną głową.

Gdy brat i inni przybiegli i zaczęli strzepywać z siebie śnieg, prawie już spaliśmy przy dogasającym ogniu. Stanęli przed nami, ich oczy błyszczały z podniecenia. Byłem tak senny, że z początku nie zrozumiałem, co mówią.

- Co? Mówcie jaśniej - powiedział żołnierz, unosząc się lekko. - Chora?

- No, i to okropnie - zapewnił mój brat. - Leży cała czerwona, jęczy i nic nie mówi.

Zerwałem się na równe nogi. Opadły mnie wyrzuty sumienia, że kompletnie zapomniałem o dziewczynce w magazynie.

- Byłeś tam? Widziałeś? - zawołałem, potrząsając bratem, aż błysnęły jego bażancie pióra.

- Poszedłem przeprosić ją za Leo - odparł przestraszony. - A ona tylko jęczała.

Wybiegliśmy na zaśnieżoną, błyszczącą w księżycu drogę.

Ogień na klepisku magazynu też prawie wygasł. Weszliśmy na palcach i otoczyliśmy leżącą dziewczynkę. Jej twarz, białą mającą w mroku, była jeszcze bardziej wynędzniała od gorączki. Drżała, a z jej otwartych ust wydobywało się piskliwe rżenie. Klęknąłem na klepisku i dotknąłem palcem wijących się ścięgien jej szyi. Wykrzywiła usta, ukazując dziąsła, i gwałtownie się odwróciła, uciekając przed

moim dotykiem. To był dla mnie szok. Dziewczynka przeciągle jęknęła i wymamrotała coś do siebie. Wstrzymałem dech.

- Ty, zapal ogień - powiedział żołnierz, szturchając Minamiego w ramię.

Jego głos wyrażał teraz powagę i spokój dorosłego; nie był to już słaby, drażniący głos gadający w kółko o wojnie. Minami, który dotąd tak szydził z żołnierza, bez słowa wyszedł z magazynu po chrust.

- A ty znajdź worek na lód i napełnij go wodą ze śniegiem - powiedział, patrząc na mnie.

- Worek na lód? - powtórzyłem z rozpaczą. Gdzie ja znajdę coś takiego?

- Jest - sapnął Li. - W domu naczelnika.

- Idź, przynieś - powiedział ostro żołnierz, pochylając się nad głową dziewczynki. - A reszta do ogniska w szkole. Jak będziecie się drzeć, ona umrze, a choroba przejdzie na was.

Obaj z Koreańczykiem wybiegliśmy na śnieżny blask i ruszyliśmy pod górę.

- Ten dezterter - powiedział Li, biegnąc bez tchu - studiował medycynę. Tak mówił, chociaż mu wtedy nie wierzyłem.

Modliłem się w myśli, by to była prawda. Bardzo chciałem w to uwierzyć.

Dom naczelnika ogrodzony był pomalowanym w biało-czarną szachownicę płotem, rzucającym cień w blasku księżyca. Przed niską bramą zawahaliśmy się i spojrzeliśmy sobie w oczy. Ten jedyny porządny dom w całej wiosce był dla nas symbolem moralnego porządku. Dlatego właśnie nie złupiliśmy go tak, jak inne domy po ucieczce wieśniaków. Teraz po raz pierwszy zrozumieliśmy, jak bardzo to dla nas ważne.

- Jeżeli tam się włamię, wieśniacy będą prześladować moją matkę do końca jej życia. A mnie wyrzucą z wioski - powiedział Li. - Albo zabiją.

W gardle poczułem płomień gniewu, ale już, gdy mówił, w jego oczach zbierały się spokojne, pocieszające łzy.

- Pójdiesz ze mną? - zapytałem.

- Pójdę. Choćbym miał zginąć - odparł.

Wspięliśmy się na bramę, szybko przebiegliśmy przez podwórze i kamieniami rozbiliśmy drewniane drzwi. Obszerne klepisko przedsiionka było jeszcze zimniejsze niż ziemia na zewnątrz i tak zalatywało wilgocią, że oddychaliśmy z trudem. Gdy w dłoni Li zapłonął mały płomyk zapalki, jej siarczany dym uderzył nas w nozdrza. Li uniósł zapalkę ku pochodni zawieszanej na pomalowanym na czarno słupie. W domu

było pełno ciężkich, wiekowych mebli. Rozglądałem się wokół po ogromnym klepisku, dopóki mój wzrok nie padł na wspaniałą domowy ołtarz na podwyższeniu za tatami.

Li ruszył prosto w tamtą stronę; otworzył wyłożone cynobrową laką drzwiczki pod ołtarzem. Ukazując zęby w uśmiechu, wyjął sporą papierową torbę i zeskoczył na dół. Znow wspieliśmy się na bramę.

- Co miesiąc razem z bratem musieliśmy całymi godzinami siedzieć na tym klepisku i wyplatać słomiane sandały. Taka praca przymusowa - opowiadał, gdy wracaliśmy biegiem do magazynu. - Jak nie pracowaliśmy dość szybko, stary pan pluł na mnie i na matkę też.

Teraz sam splunął z pogardą. Był rzeczywiście podekscytowany tym, że włamał się do domu naczelnika, aż głos mu drżał.

- Wiem dokładnie, gdzie co trzymają w tym domu. Jeszcze kiedy mój ojciec był dzieckiem, ci z tego domu kazali mojej rodzinie na nich pracować. Jak kiedyś malowałem im latrynę, cały dzień czołgałem się w gównie.

- Byłeś bardzo dzielny - powiedziałem, czując nowy przypływ koleżeńskich uczuć. Potem przypomniałem sobie, że to samo powiedziała o mnie dziewczynka, i zrobiło mi się tak smutno, że omal nie przykleknąłem w śniegu z krzykiem. Zagryzłem wargi i zebrałem śnieg, by Li miał co włożyć do torby na lód, którą wyjął z papierowego worka naczelnika. Potem obiema zziębniętymi dłońmi zaczerpnąłem mętnej wody z kałuż roztopionego śniegu.

- Ty też jesteś dzielny - odpowiedział, zawiązując torbę.

Żołnierz zabrał nam ją przy drzwiach magazynu. Potem ruchem podbródka kazał nam odejść.

- Ona nie umrze, prawda? Przeżyje? - zapytałem błagalnie.

- Nie wiem - powiedział chłodno. - Nie ma lekarstw, nic nie ma. Nic nie mogę zrobić.

Gdy zamykał nam przed nosem drzwi, wydał się nam nagle obojętny i surowy - jakby zaczął twardnieć gdzieś pod skórą.

Razem z Li wróciliśmy na plac przed szkołą, skuleni, milczący. Jak woda w chłonną gąbkę sączyło się we mnie znużenie.

Koledzy siedzieli wokół ogniska ze zwieszonymi głowami. Zaniepokoiłem się, kiedy zobaczyłem, że mój brat stoi poza kręgiem, bezczelnie odwrócony do innych plecami i tuli do siebie Leo. Minami wstał, postąpił krok ku nam i popatrzył prosto w

oczy i Li, i mnie. Wargi mu drżały. Gdy przełknął ślinę i otworzył usta, poczułem, że muszę go powstrzymać, ale było już za późno.

- Z tego, co mówi żołnierz - powiedział szybko - wygląda, że dziewczynkę dopadła zaraza.

To słowo: zaraza. To słowo natychmiast zapuściło korzenie, wypuściło liście po całej wiosce jak rozszalała wichura, niszcząca wszystko, co napotka na swej drodze. To słowo popłynęło ze wszystkich gardeł i nabrało sensu po raz pierwszy od chwili, w której dzieci zostały we wsi same. Czulem, jak napawa niepokojem siedzących przy ognisku chłopców, jak zaczynają się bać.

- To kłamstwo - krzyknąłem. - To kłamstwo!

- Nic nie mówiłem, póki nie wróciłeś - wrzasnął Minami. - Przysięgam, żołnierz powiedział mi wprost. Dziewczynka robi pod siebie jakby krwią. Sam widziałem. Dopadła ją zaraza.

Zobaczyłem, że młodszy chłopcy wpadają w panikę, więc uderzyłem Minamiego w drgające gardło. Upadł na roztopiony wokół ogniska śnieg. Jęczał, oburącz trzymając się za szyję. Li odciągnął mnie, bo już chciałem kopnąć w brzuch usiłującego chwycić oddech Minamiego. Ramię Li było mocne, gorące. Patrzyłem na kolegów, którzy stali teraz wokół ogniska, drżąc z nagłego strachu.

- To nie zaraza - powiedziałem, ale strach zdążył już wsiąknąć w nich głęboko. Nie słuchali mnie.

- Uciekajmy, bo my też poumieramy - odezwał się wystraszony głos. - No, zabierz nas stąd, uciekajmy.

- Mówię wam, to nie zaraza. Będziecie się mazać, to oberwiecie - podniosłem głos, by zagłuszyć strach, który powoli udzielał się i mnie.

- Już wiem - powiedział z rozpaczą inny, wysoki głos. - Zaraziła się od psa.

Zdziwiony spojrzałem na brata i Leo. Brat wciąż stał odwrócony tyłem, usiłując nie zwracać na nas uwagi, i z całych sił tulił do piersi głowę psa.

- Wiadomo - powiedzieli niemal chórem inni. - To wszystko przez psa twojego brata, tylko ty to ukrywasz.

Byłem oszołomiony, bo moi koledzy pierwszy raz wystąpili wspólnie przeciwko mnie.

- A co ten pies zrobił? - odezwał się Li ostrym, rzeczowym głosem. - No? Co zrobił?

- Pies wygrzebał trupy - powiedział cicho płaczący głos. - Twój brat zakopał je z powrotem. Widzieliśmy, jak mył sobie ręce i kąpał psa. Pies wtedy się zaraził, a potem ugryzł dziewczynkę i przeszło na nią. I dlatego wybuchła zaraza.

Koniec zdania rozplątał się w szlochu. Nie wiedziałem, co robić. Mogłem tylko zapytać brata, który uparcie stał odwrócony do nas plecami.

- Czy to prawda? Czy kłamstwo?

Brat odwrócił się pod przenikliwym spojrzeniem kolegów. Usiłował poruszyć wargami, ale tylko spuścił wzrok i milczał. Jęknąłem. Koledzy otoczyli jego i psa. Pies patrzył na nas, podkulając ogon między nogi i przyciskając się do kolan brata.

- Jest zarażony - powiedział ochryple Minami. - Chcesz to przed nami ukryć, ale my wiemy, że to on zaraził dziewczynkę.

- Wszyscy widzieli, jak ją ugryzł - powiedział ktoś inny. - Nic mu nie zrobiła, a on ją ugryzł. Jest wściekły.

- Nie jest wściekły - zaprotestował żarliwie brat. Chciał za wszelką cenę obronić psa. - Leo nie ma zarazy.

- A skąd wiesz? I co ty w ogóle wiesz o zarazie? - dręczył go Minami. - To twoja wina, że wybuchła zaraza.

Brat słuchał tego wszystkiego z szeroko otwartymi oczyma i drżącymi wargami. Potem wrzasnął, najwyraźniej usiłując zagłuszyć rosnący i w nim strach.

- Nie wiem, ale Leo nie ma zarazy!

- Kłamca - odpowiedziały mu zaraz liczne głosy. - Wszyscy umrzemy przez niego.

Minami wybiegł z tego oskarżycielskiego kręgu i porwał zielony dębczak, na którym wisiał przedtem garnek. Wszyscy oniemieli. Krąg rozszerzył się.

- Przestań! - zawołał przerażony brat. - Jak uderzysz Leo, nigdy ci nie wybaczę.

Ale Minami zbliżał się nieubłaganie. Gwizdnął ostro. Pies, zwabiony gwizdnięciem, zbliżył się, przemknąwszy między dłońmi brata, który pośpiesznie pochylił się do przodu. Brat popatrzył na mnie błagalnie, ale co miałem zrobić? Pies stał niepewnie z wywieszonym ozorem, na którym oczyma wyobraźni widziałem już mnożące się gwałtownie zarazki.

- Li! - zawołał mój brat, ale Li też się nie poruszył.

Dębczak opadł i pies runął ciężko na śnieg. Wszyscy patrzyliśmy na niego w milczeniu. Mój brat zatoczył się do przodu, zagryzając wargi, z oczyma pełnymi łez, wstrząsany szlochem, ale nie mógł patrzeć na rzucającego się w drgawkach psa,

którego czarna krew powoli sączyła się już przez futro za uszami. Brat trząsał się z wściekłości i żalu. Przemógł się jednak i wykrztusił:

- Kto wie na pewno, że Leo był zarażony? No, kto?

Odbiegł z płaczem, ze spuszczoną głową. Wszyscy patrzyli za nim, na jego wstrząsane szloch ramiona. Zawołałem, by wracał, ale on nie wrócił. Pomyślałem, że zdradziłem własnego brata. Jak mam go teraz pocieszać, gdy leży, szlochając, z głową wtuloną w wilgotną słomę naszego spichrza?

Może powinienem był pójść za nim, pocieszyć go, przytulić. Może tak byłoby najlepiej - tylko że musiałem jakoś powstrzymać panikę, która ogarnęła już młodszych chłopców i mogła doprowadzić do zbiorowej hysterii. Pomyślałem, że teraz, gdy stoją tu wszyscy wstrząśnięci widokiem zatłuczonego psa, mam doskonałą i być może ostatnią po temu okazję.

- Słuchaj no, ty! - krzyknąłem. - Niech mi tu jeszcze który zacznie jęczeć o zarazie, to rozwalę mu łeb tak jak temu psu. Zrozumiano? Przysięgam, zaraza wcale nie wybuchała.

Umilkli. Stali się bezwolni, posłuszni, bojąc się nie tyle mego głosu, ile zakrwawionego dębczaka Minamięgo. Zrozumiałem, że mi się udało. Powtórzyłem z naciskiem:

- W porządku? Nie ma zarazy.

Potem podniosłem i włożyłem do kieszeni naszyjnik brata z bażancich piór, pokryty błotem i śniegiem. Li i Minami wrzucili psie zwłoki do ognia i dołożyli sporo drewna. Przygaszony ogień nie rozpałił się bardziej. Łapy psa długo jeszcze wystawały spod sterty chrustu.

- A teraz - zwróciłem się do młodszych rozkazującym tonem - idźcie spać. Kto będzie się stawał, dostanie.

Minami przyglądał mi się drwiąco. Poczulem złość.

- Minami, ty też idź do łóżka.

- Nie będziesz mi rozkazywał - odparł wrogo. Mocniej chwycił dębczak, usmarowany psią krwią i sierścią.

- Idź do siebie - odezwał się Li, zerkając na dębowy kij. - Jak ci się nie podoba, będziesz miał ze mną do czynienia.

Minami skrzywił się, wepchnął kij do ogniska i wrzasnął na kolegów:

- Kto nie chce zdychać sam jak ten pies, niech idzie spać do mnie. Po tych dwóch już łążą zarazki.

Zostałem przy ognisku z Li. Żar parzył nas w czoła, ale czekaliśmy, póki tamci nie odejdą. Znów niespokojni, wszyscy pobiegli za Minamim. Najpierw słychać było tylko cichy, suchy trzask ognia. Potem zaczął topić się tłuszcz. Skwierczał, palił się, strzelały iskry, ostra woń spalonych kawałów mięsa uniosła się z ogniska i zawisła w powietrzu. Nie był to żywy, dający siłę zapach pieczonego ptactwa, lecz ciężki posmak śmierci. Pochyliłem się i zwymiotowałem stwardniałe części warzyw, ryżowe ziarna i niestrawne ścięgna ptaków. Gdy ocierałem usta wierzchem dłoni, Li patrzył na mnie oczyma gasnącymi już z wycieńczenia. Znużenie przelało się z nich w moje ciało wezbraną rzeką, głęboko pod skórę. Byłem tak zmęczony, że z trudem się wyprostowałem. I bardzo chciało mi się spać. Ani chwili dłużej nie mogłem stać w smrodzie palącego się psa. Wstałem powoli, zagryzając wargi, skinąłem głową Li i odwróciłem się plecami do ognia. Chciałem położyć się w słomie obok brata, jak małe zwierzątko. Jestem taki zmęczony, mam serce pełne łez. Brat mi przebaczy. - Tak dobrze było teraz o tym myśleć. Księżyc krył się za gęste chmury i perłowo rozświetlał ich dalekie brzegi. Śnieg znów zamarzał na ciemnej drodze. Czuję, jak trzeszczy mi pod podszwami. Szedłem w górę zbocza ze zdrętwiałymi od mrozu policzkami.

Drzwi naszego spichrza były uchylone; zasłaniająca je mata powiewała na wietrze. Odchyliłem ją ramieniem, wsunąłem się do środka i zawołałem brata. Nie odpowiedział. Na klepisku nie płonął ogień, w środku nie było zapachu ludzkich istot. Wyciągnąłem pudełko zapalek z kieszeni spodni i zapaliłem zapalniczkę, osłaniając ją od wiatru. Miejsce brata było puste. Potem zobaczyłem, że nie ma też jego tobołka i że leży tam tylko porządnie złożony otwieracz do puszek w kształcie wielbłąda, który mu pożyczyłem. Od kiedy zamieszkaliśmy w spichrzu, wszędzie zdążył się nagromadzić zwykły domowy kurz - miejsce po tobołku brata było czarne, bardzo wyraźne. Płomień zapalniczki oparzył mnie w palce. Krzyknąłem, odrzuciłem ją i wybiegłem na dwór.

Biegając w dół zboczem, z całych sił nawoływałem brata, ale dobywający się z mego gardła głos brzmiał słabo w ciemnym, mroźnym, suchym powietrzu. Ej, ej, wracaj, gdzie idziesz, ej.

Li wciąż siedział przy ognisku, tak blisko, jakby chciał osmalić sobie brwi, i kijem szturchał niestrawione przez płomień zwłoki psa. Brzuch pękł już, wylały się z niego jaskrawe wnętrzości, płonęły z sykiem. Jeden koniec jelita cienkiego podniósł się, zadrżał jak palec, potem powoli opadł i sczerwieniał.

- Nie widziałeś mojego brata? - zapytałem. Ledwie poruszałem suchym językiem.

- Co? - Li zwrócił ku mnie zaczerwienioną, tłustą twarz. Rozzłościłem się, że tak go zajmuje palenie psich zwłok. - Twojego brata?

- U nas go nie ma. Nie wrócił tu popatrzeć na psa?

- U was go nie ma? - powiedział Li, wciąż patrząc na psie wnętrzności, które obrzydliwie syczały. - To nie wiem.

Westchnąłem gorączkowo.

- No to gdzie on się podział, u diabła?

- Ale smród. Krew strasznie wolno się pali - powiedział Li. Smród jeszcze się wzmógł.

Pobiegłem w górę wąską, wiejską drogą. Wszedłem w las, napierający z obu stron na zwirową ścieżkę. Po chwili dotarłem na skalną półkę nad doliną, tu zaczynał się zamknięty tor. Dolina była ciemna, dochodził z niej głośny szum wody. Wołałem: ej, ej, wracaj, ej, nie odchodź, ej, ej.

Nikt nie odpowiedział. Milczały też leśne ptaki i zwierzęta. Kryły się w drzewach i trawie, spłoszone przecuciem straszliwej katastrofy, która zwała się na wioskę, i nadstawiały uszu na wołanie ludzkiego dziecka. Ale to wołanie zapadało w uszy milczących stworzeń i nie docierało już do mego brata. Ej, ej, wracaj, ej, nie odchodź, ej, ej.

W szpie po drugiej stronie doliny pojawiło się światło latarki, kołyszącej się w rękę uzbrojonego strażnika. Przesunęło się lekko, a potem rozległ się zwielokrotniony echem ostrzegawczy strzał. Płonąc z gniewu, wróciłem przez las do wioski. Pomyślałem sobie, że opuścił mnie własny brat. Nie wyparł się mnie, gdy w gimnazjum pchnąłem nożem starszego ucznia i pierwszy raz poszedłem do poprawczaka, ani gdy uciekłem stamtąd i ukrywałem się z dziewczyną z fabryki zabawek, dopóki nie znalazł mnie ojciec z policją, by brudnego i chorego na paskudną chorobę zabrać do domu, ani gdy znowu wylądowałem w poprawczaku. Ale teraz mnie opuścił.

Szedłem, rycząc jak dzikie zwierzę, roniąc łzy na śnieg. Brudna woda przeciekała przez dziurawe podeszwy i moczyła moje odmrożone, wściekle swędzące palce u nóg, ale ja tylko brnąłem w głębokim po kostki śniegu i nawet nie próbowałem się podrapać. Gdybym się schylił, pewnie nie znalazłbym już sił, by się wyprostować i znów ruszyć dalej.

Zatrzymałem się przed magazynem i zacząłem nasłuchiwać. Przez ciemne, grube ściany dobiegły mnie jęki bólu dziewczynki. Podbiegłem i uderzyłem pięścią w drewniane drzwi.

- Kto tam? - zapytał gniewny głos żołnierza.

- Czy ona wyzdrowieje? - zapytałem, łykając łzy. - Prawda, że to nie zaraza?

- To ty - powiedział. Usłyszałem, że się podnosi. - Nie wiem, czy wyzdrowieje. I nie wiem, czy to zaraza.

- A może powinien zobaczyć ją lekarz? - Ale gdy pomyślałem, jak już raz odrzucił moje błagalne prośby, straciłem resztki odwagi. - Tylko czy w ogóle jakiś lekarz chciałby tu przyjść...

- Przynieś mi więcej śniegu - odparł z drugiej strony drzwi zmęczony, oziębiały głos.

Uklęknąłem na śniegu i zacząłem zbierać go zmrożonymi, zdrętwiałymi palcami. Brat mnie opuścił, moja pierwsza miłość jęczy z bólu, jej drobne pośladki pokrywają się krwistym kałem. Poczułem, że przez dolinę przetacza się ze straszliwą mocą nawała zarazy jak oberwanie chmury, że porywa mnie, przygniata do ziemi, rozlewa się wokół, paraliżuje wszelki ruch. Byłem w ślepym zaułku. Mogłem tylko pochylać się nad ciemną, nocną drogą, zbierać brudny śnieg i szlochać.

9. Powrót wieśniaków i kaźń żołnierza

Zaraza rozprzestrzeniła się przez noc, ukazując swoją siłę, zupełnie wykańczając nas, porzucone dzieci. Świt był ciemny i potem już przez całe przedpołudnie ciemne było powietrze we wsi i w całej dolinie, przyduszonej brudną mgłą. Słońce, przebijające się przez tę grubą warstwę półprzezroczystej atmosfery, topiło jednak brudny śnieg, który powoli zamieniał się w mokre błoto. Nasza bezsilność i rozpacz, rojące się zarazki, olbrzymie zastępy maleńkich zarazków, które miały wkrótce pchnąć nas w nieprzytomność, w napady bełkotu jak ogniem trawiącego nasze gardła, to wszystko mieszało się teraz ze sobą jak bladożółta żelatyna, wygotowywana z bydłęcych kości i skór, i rozlewało po umierającej wiosce.

Koledzy siedzieli w domach i nie wychodzili na zewnątrz. Li też zamknął się w swej śmierdzącej świniami chatce. Ja leżałem z zamkniętymi oczyma na podłodze spichrza i od czasu do czasu ocierałem zimny pot, od którego przesiąkła już moja

bielizna. Żaden z nas nie zapadł jeszcze na zarazę, ale ponieważ jej atak przychodził zwykle nagle jak cios silnego ramienia, czekaliśmy na nią w zaciemnionych domach. Tylko żołnierz walczył jeszcze z zarazą, której pierwszą ofiarą padła dziewczynka. Choć od dawna nie zmrużył oka, kierował nami przez całe to niespokojne czuwanie tak stanowczo, że nawet Minami nie ośmielał mu się sprzeciwić. Niektórzy chłopcy wybiegali przerażeni z domów i dobijali się do zamkniętych drzwi magazynu, ale wtedy szyderczy głos żołnierza posyłał spanikowanych z powrotem do domów. W całej wsi głucho rozbrzmiewały szloch i okrzyki wściekłości.

A ja leżałem w mroku, gapilem się w sufit i oblewał mnie pot. Gładkie, suche łono dziewczynki jak letni kwiat, jej zabrudzone kałem pośladki, wynędzniała i czerwona od gorączki twarz co chwila pojawiały mi się przed oczyma, by zaraz zniknąć. Powtarzało się to dość często i dość często miałem hańbiący wzwód. Czasem zdawało mi się, że słyszę ciche kroki brata; tak tego pragnąłem, że myśl ta powoli przemieniała się w obsesję. Nieprzerwanie czułem jego obecność w stojącym w bezruchu powietrzu. Czułem, że ociera się dłońmi o suchą mgłę i kurz i że uśmiecha się nieśmiało, ale nie podchodzi bliżej.

Wieczorem zobaczyłem, że żołnierz schodzi do wspólnego grobu w miękkiej ziemi doliny, niosąc w rękach mały, zawinięty w pled ciężar, i że kilku z moich kolegów podąża za nim o parę kroków z tyłu. Podbiegłem do nich i szlochałem, patrząc, jak żołnierz wytrwale kopie ziemię, a potem składa w niej swe zawiniątko, od czasu do czasu patrząc na nas groźnie, byśmy się za bardzo nie zbliżali.

Potem, pochylony do przodu, poszedł w górę zbocza; wrócił do magazynu, gdzie zaczął w milczeniu rozkładać drewno i chrust. Tym razem przyszedłszy mu pomóc, również bez słowa. Patrzyliśmy, jak mały magazyn wyrzuca z siebie ogień i dym; potem nagle przemienił się w słup ognia. Rozeszliśmy się do mrocznych domostw. Żołnierz nam kazał.

Obejmując kolana ramionami, siedziałem na klepisku w spichrzu przy zgaszonym ogniu i długo szlochałem. Głowa bolała mnie tak, jakby ktoś ścisnął ją w kleszczach. Potem wyszedłem na ciemną drogę i nawoływałem brata. Nie pojawił się ani on, ani jego nieśmiały uśmiech. Wróciłem.

Dezertier stał ze spuszczoną głową, z trzęsącymi się ramionami przed spopielonym magazynem, w błocie, wytopionym w śniegu przez płomień. Szlochał. Podeszedłem do niego. Popatrzyliśmy na siebie w ciemności. Nic nie mówił, nawet nie otworzył ust. Mnie też brakowało słów, choć chciałem powiedzieć mu, że straciłem i

brata, i ukochaną. Ale potrafiłem tylko kwilić jak niemowlę, które nie zna słów, i płakać.

Zrezygnowany, pokręciłem głową, odwróciłem się od dezertera i ruszyłem z powrotem do spichrza. Śnieg znowu zaczął zamarzać i twardnieć. Nagle na ciemnej drodze pojawił się za mną żołnierz. Otoczył mnie ramieniem. Nie mieliśmy o czym mówić. Poszliśmy do spichrza i położyliśmy się na deskach, spleceni uściskiem. Pokryta wielodniowym zarostem szczęka i blade, kościste policzki żołnierza wydały mi się teraz bohatersko piękne. Gdy znów zacząłem szlochać, przytulił moją głowę do swej pachnącej potem piersi. Był niebywale czuły. Potem przez chwilę, choć zagrożeni zarazą, wyczerpani i wręcz oniemiały z rozpacz, zazналиśmy razem żalosnej rozkoszy. Bez słowa obnażyliśmy nędzne, pokryte gęsią skórka poślądki i zatraciliśmy się w ruchach zręcznych palców.

Tuż przed świtem na stłumiony okrzyk ocknąłem się z płytkiego snu. Drżąc z zimna, zorientowałem się, że żołnierza nie ma już w mych ramionach. Wstawał dzień. Wydawało mi się, że ktoś znów woła mnie cicho. Lekki, przyjacielski uśmiech brata, jego zęby, lśniące między lekko rozwartymi wargami... Zerwałem się i wyjrzałem przez okno, palcami ścierając z szyby drobne krople lodu. Za warstwą mlecznobiałej mgły powoli rozszerzał się krąg bladego, różowego światła.

A potem nagle, w chwili, gdy śpiew ptaków urwał się jak nagły koniec wichury, z przesuwającej się połaci mgły wyłoniło się kilka ciemnych, krępych, męskich postaci uzbrojonych w zaostrome, bambusowe dzidy - wieśniacy o nieruchomych, pozbawionych wyrazu, zwierzęcych twarzach stali w milczeniu, patrząc prosto na mnie. I tak przez chwilę spoglądaliśmy na siebie jak na jakieś rzadkie okazy zwierząt, przez okno, które zaraz spowilo się białym szronem. Oniemiałem, sapnąłem ze zdziwienia i poczułem, że przemożna ulga rozlewa się po mnie jak ciepła woda. Wieśniacy wrócili.

Za tymi, których najpierw zobaczyłem, wytknął z mgły głowę niski człowiek o mocno zarysowanej szczęce. Patrzył do środka, na mnie i poza mnie. Uświadomiłem sobie, że to kowal, i nawet wydało mi się, że za nim tęskniłem; ramieniem pchnął drewniane drzwi, trzymając w dłoni jak miecz krótki żelazny pręt. On jednak zmierzył mnie od stóp do głów surowym spojrzeniem, zaciskając grube wargi, i popatrzył mi w oczy nie jak człowiek człowiekowi, lecz jak człowiek zwierzęciu. Sprawdza, czy nie mam broni, pomyślałem, bezsensownie wstydząc się własnej bezradności.

- Nie próbuj stawiać oporu - powiedział i zwinnie przyskoczył do mnie, chwytając mnie za ramię. - Idziesz z nami.

Byłem traktowany jak jeńiec wojenny. Zresztą znalazłszy się w uścisku wielkich rąk w rękawiczkach, nie zamierzałem się bronić. Dorośli wrócili, uratują nas od zarazy, wieśniacy wrócili, nareszcie...

- Idź spokojnie - powiedział kowal. - Bo jak nie, to ci przyłożę.

- Pójdę - powiedziałem ochryple. - Tylko wezmę rzeczy. Nie będę stawiał oporu.

- To? - Kowal wskazał prętem mój tobołek. - Bierz.

Wepchnąłem do tobołka otwieracz do puszek, który zostawił mi mój brat, i zarzuciłem sznurek torby na ramię. Kowal czekał, aż skończę, podejrzliwie mi się przypatrując. Pomyślałem, że opowieści o okrucieństwie chłopców z naszego poprawczaka dotarły widać do najdalszych górskich wiosek.

Gdy popychany przez kowala wyszedłem na przeganianą przez wiatr mgłę, otoczyli nas tamci. W milczeniu ruszyliśmy w dół zbocza. Kowal chwycił mnie brutalnie za ramię, gdy nagle poślizgnąłem się na śniegu, i już nie poluźnił uścisku na mych cienkich mięśniach.

- Nie będę uciekał - powiedziałem, ale jego palce coraz bardziej stanowczo gniotły moje ramię.

Uzbrojeni mężczyźni szli tuż obok. Ich bambusowe dzidy głośno zagłębiały się w zmrożony w zimnym porannym powietrzu śnieg.

Z mgły wynurzyli się moi koledzy; stali wokół wygasłego ogniska przed szkołą, trzymając tobołki w rękach lub na kolanach. Powitali mnie okrzykiem. Obrzuciłem ich szybkim spojrzeniem, szukając brata. Ale gdy pchnięty od tyłu przez kowala dołączyłem do nich i usiadłem przy pachnącym węglem palenisku, powoli traciłem nadzieję, że zobaczę lekki ruch ramion mojego brata i jego ładną głowę. I traciłem ją jeszcze wielokrotnie, za każdym razem, gdy doprowadzano do nas kolejnych chłopców.

Ale wciąż byłem podekscytowany. Otaczającym mnie chłopcom, uwolnionym nagle od lęku przed zarazą, też udzielał się nastrój radosnej euforii. Myśleliśmy wszyscy tylko o tym, że wieśniacy wrócili i powoli zaczynaliśmy wierzyć, że zarazie udało się wyrwać spośród nas tylko dziewczynkę - jak ostatni kwiat. To zasiało radość w sercach naszej grupki. Niektórzy zaczęli się szturchać, robić nieprzyzwoite gesty, rozlegały się nawet wybuchy śmiechu.

Prowadzony za ramię przez jednego z wieśniaków pojawił się Minami, roześmiany i podekscytowany. Szedł do nas z zaczerwienioną, rozjaśnioną twarzą. Śmiały mu się i oczy, i wilgotne usta.

- Przyszedł po mnie akurat, kiedy robiłem sobie poranną toaletę - wołał. - Ale mu się spodobał mój goły tyłek, tylko że śmierdział, więc mi przywalił. A to dopiero! Akurat robiłem sobie toaletę.

- Poranną toaletę? - powtórzył niewinnie jeden z młodszych, który wreszcie przestał się bać.

To tylko wbiło Minamiego w jeszcze większą dumę.

- No, tak. Poranną toaletę tyłka.

Otoczający go chłopcy zaśmiali się dziecinnie, on zaś triumfalnie zademonstrował swoją obsceniczną pozycję. Wszystkim zrobiło się lekko na duchu, jakbyśmy czekali na apel przed wyruszeniem na wycieczkę.

Mgła się podniosła. Niskie, pochmurne niebo zalane było mokrym, porannym światłem, które zaczęło topić brudny, zmrożony, zmieszany z błotem śnieg. Przyprowadzono już wszystkich z naszych tymczasowych siedzib. Wieśniacy, których twarze wciąż pozbawione były wyrazu, otaczali nas, ściskając w dłoniach dzidy i strzelby myśliwskie. W porównaniu z ich milczeniem nasze szaleńcze podniecenie było zupełnie nienaturalne. Gdy mgła całkiem już się rozwiała, zobaczyliśmy, że w naszą stronę, przepychając się przez milkliwych wieśniaków, idzie dowódca policyjnego posterunku z naczelnikiem wioski. Napięcie skupiło się na nas i oblepiło nas ze wszystkich stron.

- Nieźleście tu narozrabiali - krzyknął naczelnik, wybuchając nagłym gniewem.
- Włamania, kradzież żywności, podpalenie magazynu... Ale z was hołota!

Aż zachwialiśmy się ze zdumienia. Nasza wielka radość natychmiast ustąpiła najgorszym przeczuciom.

- O wszystkim tym poinformujemy władze. Wykolejeńcy, bandyci...

- Kto spalił magazyn? - zapytał chrapliwie policjant. - No, gadać, ale prawdę.

Minami arogancko wzruszył ramionami i chciał usiąść. Rzucił już tobolek na śnieg. Policjant natychmiast przyskoczył do niego, chwycił za koszulę i uderzył go pięścią w szczękę.

- Nie ty przypadkiem? Podpalacz! - wrzasnął pełnym nienawiści głosem, szturchając Minamiego w żebra. - No, gadaj, sukinsynu. Chcesz się z nami bawić? To ty podłożyłeś ogień, co?

- Nie ja - krzyknął Minami, wijąc się z bólu. - To nie ja, to ten żołnierz, który uciekł od kadetów.

Policjant poluźnił uchwyt i spojrzał na Minamiego. Wśród wieśniaków zapanowało poruszenie. Wszyscy spojrzeliśmy na Minamiego z wyrzutem.

- To dezterter tu był? Tak? No to gdzie się ukrywa?

- Nie wiem - odparł Minami.

- Ty sukinsynu - sapnął policjant, rzucając go na ziemię i kopiąc w zębra. - Chcesz się pobawić?

- No, gdzie on jest? Gadaj - warknął naczelnik, wykręcając rękę innemu koledze. - Ale z ciebie zwyrodnialec! No, gdzie on jest?

Młody chłopiec odpowiedział, drżąc z bólu, gniewu, a zwłaszcza lęku:

- Uciekł w góry. Nic więcej nie wiem.

- Zamknąć ich! - krzyknął policjant. - A potem zbierzcie się wszyscy.

Pognali nas przed sobą. Szliśmy ciężko. Głód dał znać o sobie, strach wzrósł. Usłyszeliśmy, że z tyłu za nami gromadzą się wieśniacy. Zamknięto nas w małej komórce przylegającej do budynku szkoły. Byliśmy tak wstrząśnięci, że mieliśmy w oczach łzy gniewu i rozpacz. Ktoś mocno zasunął zewnętrzną zasuwę na drzwiach.

Z dala rozległy się rozkazy policjanta i tupot nóg zmieszany ze stukiem bambusowych dzid. Obława! Ruszą za żołnierzem, na pewno go złapią. Zobaczył, że wrócili, wcześniej niż ja, i uciekł, ale wkrótce go dopadną, bo jest wykończony, przecież długo nie spał, opiekując się dziewczynką.

- Ta banda - tłumaczył Minami siedzącym wokół niego kolegom, udając wesołość i próbując zatrzeć złe wrażenie po tym, co zrobił - przyszła sprawdzić, czy już umarliśmy, czy nie. Widzieliście, że kobiet i dzieci jeszcze tu nie ma? A teraz nie wiedzą, co robić, bo my wciąż żyjemy. A w dodatku trafili na mnie i moją poranną toaletę.

I zaśmiał się sprośnie. Ale innych opuściło już radosne rozgorączkowanie, więc nienaturalnie wysoki śmiech Minamiego ucichł, zamarł w budzącym się na nowo, głębokim, ciężkim, lepkiem strachu i przebrzmiał bez echa. W końcu on sam zamilkł posepnie i gryzł paznokcie. Czekaliśmy długo.

Nikt do nas nie przychodził. Nie było reakcji, nawet gdy jeden z chłopców musiał wyjść za potrzebą i zaczął gwałtownie dobijać się do drzwi. W końcu, błąd ze wstydu i upokorzenia, musiał sikać w rogu komórki. Małe pomieszczenie natychmiast wypełnił ostry zapach moczu.

Niektórzy wyglądali przez szpary między deskami i opowiadali innym, co zobaczyli. Nie widzieli wiele. Najpierw na zewnątrz było spokojnie, ale około południa ci, którzy przyciskali nosy do desek od strony wspólnej mogiły w dolinie, coś zauważyli. Wszyscy usłyszeli dziwny pomruk i rzucili się do szpar w ścianie, wskakując sobie wzajemnie na ramiona lub kładąc się na ziemi między nogami. Z ciała na ciało przeleciał gniew, który wydobyl nas ze stanu indywidualnego strachu i połączył mocno ze sobą.

Nad wspólną mogiłą w dolinie pracowało pięciu wieśniaków. Wymachiwali motykami, skapani w bladym, padającym na ich plecy i ramiona słońcu, ze spuszczonej w dół, ocienionymi twarzami. Wykopywali ciała, pieczołowicie złożone przez nas jak cebulki cennych kwiatów i kładli je na wciąż tonącą w śniegu łąkę. Nie wiedzieliśmy, które z nich było ciałem naszego kolegi, a które dziewczynki - jej choroba posiała w nas ziarno strachu - bo wszystkie były umazane błotem, niebiesko-ziemistą mazią. Ale gdy wieśniacy złożyli w zbeczeszczonym grobie stertę chrustu i małe, ostre płomienie palonych zmarłych uniosły się w nieruchome powietrze, nasz gniew stał się bardziej wyczuwalny. Nawet Minami płakał i zagryzał wargi. Odbywający się na łące rytuał miał nam uświadomić, że wszystko, co znajduje się w dolinie, nawet zwłoki, dostało się z powrotem pod panowanie dorosłych. Dorośli robili to właściwie obojętnie, jakby ze znużeniem; powoli na zboczu zaczęły pojawiać się inne postacie. To powracające kobiety i dzieci przypatrywały się niewzruszenie pracy w dolinie.

Zadrzałem. Pomyślałem, że przez jakiś czas to my zajmowaliśmy wioskę i nią rządaliśmy. Nas w niej nie odcięto, myśmy ją zajęli. A teraz bez walki oddaliśmy naszą zdobycz dorosłym, którzy w końcu zamknęli nas w tej komórce. Zostaliśmy oszukani. Po prostu oszukani.

Odsunąłem się od desek i wróciłem do przeciwległego kąta. Minami odwrócił się do mnie ze zwięzonymi, czerwonymi od łez oczyma.

- Nie ochrzaniają się - zaklął.

- No - powiedziałem. - Nie ochrzaniają.

Przecież to my przez ostatnie pięć dni opiekowaliśmy się wioską. Nawet urządziliśmy święto po polowaniu. A oni nas zamknęli! Naprawdę się nie ochrzaniali!

- Ciekawe, co z Li - powiedział jeden z kolegów. - Czy jego też złapią?

- Tylko gdyby próbował nas uwolnić - krzyknął z narastającą złością Minami. - Jakbyśmy tylko mieli broń, przegonilibyśmy stąd tych chamów, tych śmierdzących sukinsynów.

Poczułem, że Minami staje mi się teraz bardzo bliski. Gdybym miał broń, powystrzelałbym ich wszystkich, krew polałaby się strumieniem. Ale Li nie przyszedł nas uwolnić, no i nie mieliśmy broni. Usiadłem oparty o ścianę, objąłem rękami kolana i zamknąłem oczy. Po chwili podszedł Minami. Usiadł obok mnie i trącił mnie w ramię. Szepnął niskim, gorączkowym głosem:

- Przykro mi, że tak wyszło z twoim bratem. Ale ja wolałem nie myśleć o bracie.

- Twój brat jest zwinny i szybki - powiedział Minami. - Może schował się w trawie i widział, jak nas złapali. Przykro mi.

Nagle usłyszeliśmy gdzieś w lesie, w krótkim odstępnie, dwa wystrzały, pewnie ostrzegawcze. Natychmiast wstaliśmy i nasłuchiwaliliśmy, ale więcej nie strzelano. Zalała nas nowa fala lęku. Czekaliśmy, a tymczasem w naszej komórce całkiem się ściemniło i nasze twarze stały się ledwo widocznymi, bladymi plamami.

Potem usłyszeliśmy nagle szczekanie psów myśliwskich, gniewne przekleństwa, bezładne kroki. Wieśniacy wracali z lasu. Przycisnęliśmy oczy do cienkich pasków złotego światła, przeblaskującego między deskami. Wieśniacy szli, otaczając zdobycz pojmaną w okrutnej obławie.

Szli powoli, spokojnie. Dopiero gdy do pochodu usiłowały dołączyć dzieci, wśród dorosłych rozległy się groźne głosy. Kroczyli, z pochylonymi do przodu głowami, trzymając strzelby i dzidy pionowo przy bokach. Wreszcie zobaczyliśmy dezertera. Szedł niepewnie, z drżącymi ramionami, jakby ten marsz utrudniało mu jaśniejące, czyste powietrze wieczoru i wiatr pachnący lekko śniegiem i liśćmi. Nie miał na sobie kurtki, tylko koszulę z grubego płótna, z podwiniętymi rękawami, jakby to był środek lata. Gdy otaczający go pochód mijał naszą komórkę, zobaczyliśmy, że błoto na jego drobnej, ściągniętej twarzy zaschło i ma teraz kolor gliny; że brązowa szmata zakrywająca jego brzuch, poruszający się w nienaturalnie elastycznym ruchu nóg, jest podarta; że w rozdarciu widnieje ciemnobrązowa plama i że zwisa z niej coś miękkiego, jakby wodnistego, coś co odbija słabe światło i ślisko, żywo pulsuje. Że to coś lśni w przyćmionym, złotawym świetle przy każdym jego kroku.

Żołnierz potknął się, gdy wchodził na drogę biegnącą w dół przed budynkiem szkoły i usiłował uchronić się przed upadkiem, niezgrabnie rozkładając długie ręce. Był to budzący litość, dziecięcy gest. Zapłakaliśmy na ten widok, a dwaj silni

wieśniacy szybko chwycili go za ramiona i pociągnęli dalej. Pochód oddalił się. Kobiety, starcy i dzieci, wszyscy opatuleni aż po szyje, pośpieszyli za nim, jak świeży wiatr po burzy.

Odsunęliśmy się od desek, usiedliśmy na ziemi i w milczeniu wpatrywaliśmy się we własne stopy. W nasze nogi, suche, białe, łuszczące się jak rybie ciała, w nasze chuderlawe, jakby ptasie stopy, śmierdzące i ubłocone, patrzyliśmy na płócienne buty, brudne i podziurawione, i na znak potwierdzający, że jesteśmy z poprawczaka. Tkwiliśmy tak długo - ze wzrokiem wbitym w ziemię, płacząc ze strachu. Jeden z chłopców wstał i wysusiał się w kącie. Jego uda drżały od szlochu, a parujący mocz rozlał się po całym klepisku.

Usłyszeliśmy niepokojący, metaliczny dźwięk uderzających o siebie mieczów i zbliżające się miarowe, energiczne kroki. Jeszcze raz przywarliśmy czołami do desek i zobaczyliśmy w niebieskawym świetle zmierzchu, które utraciło już cały swój blask, dwóch żandarmów, naczelnika i policjanta. Żaden z nich nawet nie spojrzał w stronę naszego więzienia; wkrótce zniknęli za pochyłością zbrocza. Znow opadliśmy na ziemię z opuszczonymi głowami i odtąd mniej czujnie nasłuchiwalismy odgłosów z zewnątrz.

- Wieśniacy wcale nie mieli ochoty wracać - stwierdził Minami - bo przyszli po niego żandarmi.

- Ciekawe, co z nim teraz będzie - powiedział jakiś głos, nabrzmiały płaczem. - Pewnie go zabiją.

- Zabiją? - zadrwił Minami. - A nie widziałeś, jak flaki mu wypłynęły? Myślisz, że ktoś, kto dostał bambusową dzidą, długo pożyje? Że nie wystarczy tylko go dobić?

- To musi przecież okropnie boleć, tak iść z flakami na wierzchu - powiedział ten sam chłopiec ze szlochem. - Musi boleć, jak się dostanie bambusową dzidą.

- Przestań beczeć - Minami szturchnął chłopca w drżący bok, aż ten jęknął. - Rozumiesz? Bo te wsiowe głupki też ci przywalą, tam gdzie ja.

Wnętrznosci wylewające się z brzucha żołnierza powoli jakby napuchły w naszej wyobraźni. Czuliśmy się ociężali, znużeni i senni. To było jak trucizna. Niektórzy od czasu do czasu przerywali ciszę płaczem, niektórzy robili pod siebie, aż wokół ich tyłków i stóp porobiły się przezroczyście kałuże. Pomyślałem, że muszę wyrwać się z tego strasznego, przejmującego lęku, który ogarnął moich kolegów. I że lepiej już skoncentrować się na myślach o głodzie, którego jeszcze nie czułem, ale który przecież na pewno mi doskwierał. Tylko że nie potrafiłem nawet czuć głodu i zimna - niczego, tylko podchodzące mi do gardła nudności i pieczenie w ustach.

- Jeść mi się chce - powiedziałem chrapliwie, ale koniec zdania zamarł mi w krtani. Musiałem je powtórzyć kilka razy, nim koledzy mnie zrozumieli. - Jeść mi się chce.

- Co? - Minami spojrzał na mnie dziecinnie zdumionymi oczyma. - Jeść ci się chce?

- Tak jakby - odparłem powoli i poczułem, że słowa te zaczynają wywierać jakiś magiczny wpływ na moje jelita. Potem doświadczył tego Minami, a za nim bardzo szybko inni.

- Mnie też strasznie chce się jeść - powiedział podekscytowany Minami. - Szkoda, że nie zostało nam trochę mięsa z polowania.

Moje zakłęcie podziało. Kilka minut później staliśmy się grupką zdesperowanych chłopców, głodujących w małej, zamkniętej komórce. Poczułem, że z głodu aż kręci mi się w głowie. I tak głodowaliśmy rozpaczliwie, nie spodziewając się już, że drewniane drzwi jeszcze się otworzą i że brutalni wieśniacy przyniosą nam jedzenie.

Ale po chwili drzwi nagle się otwały i przez otwór wrzucono nie żywność, tylko Li, pokrytego od stóp do głów błotem, krwią i niesamowitym brudem. Patrzyliśmy na niego osłupiali ze zdziwienia, a on stał w ciemnej komórce z drżącymi z gniewu ustami. Ale tak bardzo doskwierał nam ten wywołany przez nas samych głód, że nikt nie wstał, nikt się nie odezwał.

Li rozejrzał się wokół, marszcząc brwi i mrużąc oczy. W końcu usiadł tak blisko mnie, że prawie stykaliśmy się bokami. Od jego ciała zalaływoła woń świeżej krwi i pachnących liści. Mocny kark i policzki aż po uszy całe miał podrapane, a w jego oczach czaiła się jakaś przemożna, zwierzęca siła. Natychmiast zrozumiałem, czym było dla niego wielogodzinne, niebezpieczne ukrywanie się w lesie i ucieczka przez gęstwiny. Pocieszało mnie to, że był pokiereszowany, pokryty strupami zaschniętej krwi i przede wszystkim niemal pijany gniewem.

- Myślałem, że ci się uda - powiedziałem do niego. Usta Li wykrzywiły się w ciemności. - Szkoda.

- Szkoda? - odparł. - Jestem wściekły.

- Nie tylko ty - odezwał się Minami.

Li spojrzał na niego, potem na mnie, i zawahał się. Próbował ukryć to wahanie. Gładka skóra jego twarzy nagle jakby napuchła i napeęzniała. Najwyraźniej chciał mi coś powiedzieć.

- No, o co chodzi? - zapytałem.

- Poszedłem w dół doliny - odpowiedział pośpiesznie - bo pomyślałem sobie, że mi się oberwie, skoro oni wrócili. Zostawiłem wszystko i poszedłem tam. Chciałem uciekać wzdłuż rzeki. Przywiązałem sznur do podpory toru i spuściłem się na dół.

- Dziś rano? - wtrącił Minami. - Poszedłbym z tobą, gdybyś mnie obudził.

- I kiedy szedłem między skałami na dnie doliny - wyrzucił z siebie jednym tchem Li, wpatrując się we mnie i nie zwracając uwagi na Minamiego - tam, gdzie woda opadła po powodzi, znalazłem tobołek twojego brata. Leżały przy nim zdechłe koty... Był zaplątany w kawałki drewna. A potem...

Urwał. Chwyciłem go za ramiona i potrząsałem nimi z całych sił. Miałem wrażenie, że otwiera się przede mną wielka, czarna studnia i że zaraz cały do niej wpadnę. Nie mogłem wykrztusić ani słowa.

- No i... - Li wrywał się z moich drżących rąk i patrzył mi błagalnie w oczy. - Wyciągnąłem go kijem i wracałem przez las, żeby ci go przynieść.

Nagły szloch wezbrał we mnie ogromną falą, rozpałił się w gardle i w piersi. Puściłem jego ramię i głośno płakałem, przyciskając czoło do desek komórki.

- No i co zrobiłeś z tobołkiem? - zapytał Minami, zniżając głos, by oszczędzić wszystkim nowego wybuchu mojego żalu. - No? Masz go? Czemu go mu nie przyniosłeś?

- Bo zobaczyli mnie, jak szedłem przez las, i zaczęli gonić - odparł zmieszany Li. - Rzuciłem go w krzaki, bo się bałem, że pomyślą, że ukradłem. A potem nagle wieśniacy z dzidami obskoczyli mnie ze wszystkich stron i nie mogłem już uciec.

- Ale będziesz umiał nas tam zaprowadzić, co? - powiedział naraz Minami. - A jak go tam nie będzie, to pożałujesz. Przecież to pamiątka po jego bracie.

Obróciłem się szybko i już chciałem chwycić Minamiego, gdy zobaczyłem, że jego bystre, ptasie oczy są pełne łez. Gniew i napięcie opadły i pojawił się wielki smutek. Pokręciłem głową, otoczyłem rękami kolana, potem oparłem o nie czoło i jęczałem.

Czas mijał, gdy już późną nocą, w oddali rozbrzmiał okrzyk bólu i zaraz ucichł, stłumiony, choć echo przez chwilę niosło go po dolinie. Koledzy poderwali się z ziemi, na której spali, i spoglądali na siebie wystraszonymi oczami.

- Po drugiej stronie doliny stał samochód żandarmerii - powiedział Li. - Chcą go zabrać, zanim umrze. Pewnie teraz przywiązują go do wagonika, żeby go posłać na tamtą stronę.

- No, jeżeli ma wyprute flaki - odezwał się Minami - to równie dobrze mogli go zabić.

- Oni zabijają się nawzajem - powiedział z nienawiścią Li. - My go ukryliśmy, ale Japończycy zabijają się nawzajem. Żandarmi, policjanci i wieśniacy z tymi swoimi bambusowymi dzidami, całe tłumy polują w górach na tych, którzy tam się ukryli, żeby ich zadźgać na śmierć. Ja tego nie rozumiem.

Desperacki krzyk - brzmiał tak, jakby dobywał się z gardła kogoś, kto umierał z bólu - znów odezwał się w dolinie i tym razem długo odbijał się echem od lasu i zboczy gór. Potem nagle ucichł. Ten przejmujący głos budził w nas wyobrażenia o tym, co tam się działo, ale więcej go nie usłyszeliśmy. Zobaczyłem, że Li, który siedział spokojnie, czujnie nasłuchując, ma przejrzyste, ciemne oczy, jak prawdziwy Koreańczyk. Popatrzył w moje, w których powoli schły już łzy.

A potem na placu przed szkołą zatupały liczne nogi i po chwili rozległ się głuchy odgłos odciąganej z drzwi komórki zasuw. Wieśniacy trzymali mnóstwo pochodni. W ich jasnym, migotliwym, kolorowym świetle pierwszy wkroczył do komórki naczelnik. Za nim weszli inni, szybko zapelniając pomieszczenie. Zepchnięto nas w kąt, w smród własnego moczu.

10. Sąd i wygnanie

Najmłodszy z chłopców nagle zaszlochał i przysiadł ze strachu, wysuwając do przodu podbródek. Wraz z wieśniakami patrzyliśmy na zatęchły mocz, który szybko popłynął na klepisko spod jego kolan. Wiedzieliśmy, dlaczego tak się przeraził. Ze świeżo naciętego końca bambusowej dzidy, którą trzymał w prawej ręce wysoki mężczyzna stojący tuż za naczelnikiem, zwisał czerwonobrazowy strzep - był to fragment ludzkiego jelita, który zaczepił się o brzeg pustego wnętrza kija. Przyciągał nasze oczy, przyprawiał o mdłości. Niektórzy koledzy pochylili się i zaczęli wymiotować, rozległy się zduszone okrzyki. Wieśniacy przyglądali się nam w milczeniu.

- Są wszyscy? - zapytał surowo naczelnik, gdy już przeliczył nas wzrokiem.

Nikt nie odpowiedział. W komórcie panowała cisza, przerywana tylko odgłosami wymiotów.

- Ilu uciekło? - zapytał znowu naczelnik.

- W porównaniu z tym, ilu ich było, jak tu przyszli, brakuje dwóch - powiedział mężczyzna, którego dzida uderzała o belkę w niskim stropie. - Ale jeden umarł przed tym wszystkim, więc tak naprawdę brakuje jednego.

Kiedy mówił „przed tym wszystkim”, zniżył głos, starannie akcentując sylaby. Widać było, że dla wieśniaków cały ten „incydent” już się zakończył, że przeszedł do legendy, że stał się opowieścią o jakiejś klęsce żywiołowej z zamierzchłej przeszłości. A my usiłowaliśmy żyć tym „incydentem” teraz. Myśleliśmy już tylko o tym, że będą wlec nas po ziemi ze spętanymi nogami. I że musimy się jakoś uwolnić.

- Wykopaliliśmy i spaliliśmy trupy, które pochowali - powiedział inny. - Ale drugie ciało to ta dziewczynka. Ten jeden pewnie uciekł w góry.

- No, wy - powiedział naczelnik, napierając na nas. - Gdzie się ukrywa? Nie powiecie, to poszczujemy na niego psy. Jak go znajdą, odgryzą mu łeb. Jak wam się to podoba?

Spuściłem wzrok i zagryzłem wargi. Gniew pchał mnie w na nowo rodzący się żal, żal mieszał się z gniewem i rósł. Duża, koścista dłoń Li niepewnie pogładziła mnie po udzie. To mnie pocieszyło, ale oczy wciąż zakrywała mgła łez wściekłości, więc nawet nie widziałem jego palców.

- Ty chyba coś wiesz - powiedział naczelnik do jednego z młodszych chłopców, którego usta drżały z lęku.

- Nic nie wiem! - wykrzyknął. - Od wczoraj go nie ma. Naprawdę nie wiem.

- Wy zasrane smarkacze z poprawczaka - wrzasnął rozwścieczony nagle naczelnik. - Wy już nie umiecie mówić prawdy. Chcecie nas nabrać? Jednym ruchem możemy skrócić wam karki. Albo nawet zatłuc na śmierć.

Na pewno nie chcieliśmy nabierać wieśniaków. Ze strachu cali byliśmy oblepieni potem. Gdy tylko ten z poplamioną krwią i tłuszczem dzidą poruszał się lub przestępował z nogi na nogę, nasze serca tłukły się w piersiach jak oszalałe, by zaraz uspokoić się, ale tylko na chwilę.

- Zresztą należy wam się to za każdą z rzeczy, które zrobiliście, kiedy nas nie było! - z wściekłością darł się naczelnik, ukazując ostre, lśniące zęby. - Włamaliście się do domów i nakradliście jedzenia. A w dodatku spaliliście w nich, nalaliście wszędzie, nasraliście. Popsuliście narzędzia. A jakby tego było mało, ktoś podpalił magazyn.

Postąpił do przodu i twardymi, sękatymi dłońmi spoliczkował każdego, kto znalazł się w zasięgu jego rąk, które po chwili były mokre od dziecięcych łez wściekłości, strachu i poniżenia.

- Który to zrobił? I który zniszczył ołtarz w moim domu? No, który, skurwysyny, sukinsyny?

Za każdym razem, gdy zbliżały się do mnie potężne uda naczelnika, ogarniał mnie lęk, ale patrzyłem na niego i wytrzymywałem ostre spojrzenie stojących za nim wieśniaków. Ich rozwścieczone oczy i otwarte usta, ociekające z podniecenia śliną, też nas zażarcie oskarżały. Kto mi ukradł jedzenie? Kto palił ogień na moim klepisku? Kto nabazgrał nieprzyzwoite napisy na ścianach i suficie mojego domu?

- Wiecie, że od dłuższego czasu zastanawiamy się, jak was za to ukarać, smarkacze? Wiecie, co z wami zrobimy, bando oszustów i złodziei?

Trącił w ramię jednego z chłopców.

- Ja nic nie zrobiłem - powiedział bezradnie, drżąc na całym ciele. - Przepraszam.

Gdy padł na ziemię od pierwszego ciosu, wstała następna ofiara, wskazana w ten sam sposób, również tchórzliwie się tłumacząc.

- Przepraszam. To dlatego, że nie wiedzieliśmy, co mamy robić.

Koledzy wstawali jeden po drugim i jeden po drugim padali od ciosów na ziemię. Leżących kopano. Nikt się nie bronił. Bicie przyjmowaliśmy z pokorą. Naczelnik długo szalał i krzyczał już chyba tylko do siebie.

Potem nagle przestał wrzeszczeć i wymachiwać rękami i oparł dłonie na udach. Popatrzył na nas, pokręcił głową i wyszedł, przepychając się przez tłum wieśniaków. Zamarliśmy. Wieśniacy też stali bez ruchu, jakby czekali, że wróci. Potem kilku z nich zostało wywołanych na zewnątrz, a gdy po chwili w wąskich drzwiach pojawiły się nowe twarze, Li skurczył się jeszcze bardziej. Nowe twarze były jakby bledsze, o gładszej skórze. Ci ludzie patrzyli na nas obojętnym, nieruchomym wzrokiem i o nic nas nie oskarżali.

- To twoi? - szepnąłem tuż przy uchu Li, ale on nie odpowiedział.

Zobaczyłem w jego uchu zaschnięty strup krwi. Nastąpiło długie milczenie, słuchać było tylko przełykanie czystej, ciepłej śliny w młodych gardłach i powolne ruchy wieśniaków. Przenosiły się falą na zbity tłum zgromadzony wokół komórki, który cierpliwie zaglądał do środka.

Wyczerpani, dręczeni sennością, trwaliśmy nieruchomo pod badawczym wzrokiem wieśniaków. Czekaliśmy długo. Minęła cała wieczność, nim wrócili naczelnik i jego towarzysze. Spojrzeliśmy na nich i zobaczyliśmy, że rozpalona wściekłość zniknęła z oczu i ust naczelnika.

- No, to przemyśleliście sprawę? - odezwał się. - Przemyśleliście wasze okropne postępowanie?

Milczeliśmy. Długo się nam przypatrywał i wreszcie przemówił powoli niskim, miłym głosem, niemal szeptem.

- Nic wam więcej nie zrobimy. Jest po sprawie.

Lepka, dziwnie obrzydliwa ulga, niehonorowa ulga o wstrętnym posmaku zaczęła wsączać się w nasze ciała i myśli. Potem przyszło zdumienie. Byliśmy kompletnie oszołomieni. Jeden z kolegów, dotąd pochlipujący nerwowo, teraz bezsilnie się rozplakał. I nawet uniósł mały podbródek, zmarszczył brudne, wąskie brwi i próbował się uśmiechnąć.

- Jutro rano wasz strażnik przyprowadzi resztę chłopców. Wtedy oficjalnie zacznie się wasza ewakuacja - mówił łagodnym głosem naczelnik, spoglądając na nas swym twardym wzrokiem. - Nie powiemy strażnikowi o waszych przewinieniach. Za to wy musicie nas wysłuchać. Powiemy, że od przybycia do wioski żyliście sobie normalnie. Nie było żadnej zarazy, nikt z wioski nie uciekł. Tak powiemy. Tak będzie dla wszystkich najlepiej. Zrozumiano?

Na wpół uchylona klapka w mojej głowie nagle się otworzyła. Mój nastrój udzielił się innym. Wszyscy koledzy jak na komendę przyjęli wyzywającą postawę względem naczelnika - czyli taką, jaką powinniśmy byli przyjąć od początku. Chcą nas oszukać. Nie ma nic bardziej hańbiącego, głupiego i niehonorowego, niż dać się oszukać. Od czegoś takiego nawet najgorszy, najnędzniejszy pedał spaliłby się ze wstydu.

- No, to powiedzcie, że tak było. - Gdy naczelnik wypowiedział te słowa i rozejrzał się dookoła, nasza obojętność pozbawiła go tej jego udawanej pewności siebie. Teraz byliśmy jak jeden mąż na nowo połączeni naszą prawie zapomnianą już więzią. Z prowokacyjnie wyprężoną piersią staliśmy przed nim, a oczy nam błyszczały.

- Ej, ty, powiedz, że tak było - naczelnik wskazał palcem Minamiego.

- Nic takiego nie powiem - otwarcie już zaszydził Minami. - Odcięto nas od świata, porzucono, zostawiono samych sobie i zarazie. Nie tak było?

- Właśnie. Porzuciliście nas - powiedział inny. Nagle wszyscy otoczyli naczelnika, krzyżąc: - Dość tych kłamstw!

Wytrącony z równowagi naszym kontratakiem, naczelnik natychmiast znowu dostał szału. Rozwścieczony, wymachiwał rękoma, tryskał wokół śliną, w otwartych ustach ukazując szerniałe, złote plomby.

- Jak będziecie się stawiać, to wam nie darujemy. Róbcie, jak każę, bo jak nie, to zatłuczemy was na śmierć. Mamy tu dość silnych chłopów, raz-dwa sobie z wami poradzą. Nie rozumiecie?

Nie mogłem pozwolić, by znowu pchnął kolegów w otchłań lęku. Musiałem krzyknąć na niego. Stałem przed nim, choć głowa anemicznie opadała mi na boki ze strachu przed nim i jego ludźmi. Otwarłem szeroko usta i krzyknąłem:

- Nie damy się zastraszyć! Nie damy się oszukać! Sami się nie stawiajcie!

Naczelnik otworzył usta, patrząc na mnie groźnie, i chciał coś powiedzieć, ale nie mogłem mu na to pozwolić. Musiałem wykrzyknąć jak najwięcej, nim zacznie mówić.

- Porzuciliście nas wszyscy. Mieszkaliśmy we wsi, w której mogła wybuchnąć zaraza. Potem wróciliście i zaraz zamknęliście nas w tej norze. Nie będę milczał. Opowiem o wszystkim, co nam zrobiliście, o wszystkim, co widziałem. Zakłuliście na śmierć tego żołnierza. Powiem o tym jego rodzinie. Przegnaliście mnie, kiedy przyszedłem prosić, żeby nas zbadano. O wszystkim powiem. Nie będę milczał!

Gruby trzonek dzidy jednego z wieśniaków dźgnął mnie w pierś. Upadłem, uderzając głową o podłogę. Jęknąłem. Nie mogłem złapać tchu. Poczulem w ustach gorzki smak krwi. I że płynie mi z nosa. Wciąż jęcząc, podniosłem głowę i podczołgałem się w kąt, by nie dostać jeszcze raz. Krew płynęła mi z nosa i rozmazywała się pod uszami, na karku i pod koszulą. Nos szybko przestał mi krwawić, bo byłem przyzwyczajony do bicia, ale nie mogłem opanować strachu, rozchodzącego się od żołądka po plecach, ani łez, płynących po lepkiej błonie krzepnącej krwi.

- Zrozumiano? Jak nie chcecie tak dostać jak on, róbcie, co każę - powiedział po chwili naczelnik, powoli i groźnie. - Powiedzcie, że nic tu się nie stało i że niczego nie widzieliście, a od jutra możecie ewakuować się jak należy.

Chłopcy cofnęli się przed nim jak najdalej i milcząco przycupnęli w mrocznym kącie jak małe zwierzątka. Starali się zachowywać jak najciszej. Wiedziałem już, co będzie. I że stanie się to szybko.

- Kto się nie zgadza, niech sobie tam siedzi - oznajmił naczelnik. - Kto potwierdzi naszą wersję, niech wstanie i podejdzie pod tamtą ścianę. Zaraz dostaniecie kulki ryżowe.

Chłopcy nagle się ożywili, a potem ożywiali się coraz bardziej. Mężczyzna trzymający dzidę z zakrwawionym strzępem na ostrzu wystąpił do przodu i krzyknął chrapliwym głosem:

- Komu się nie podoba to, co mówi naczelnik, niech dalej tam siedzi, to mu przywałę.

Jeden z chłopców zerwał się i podszedł do ściany. Ciężko dyszał, szlochał z czołem opartym o deski. Drżał cały. Potem inni koledzy zaczęli wstawać i robić to samo, płonąć ze wstydu. Po chwili zostali przy mnie już tylko Li i Minami. Oni też drżeli ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- No, jeszcze wam mało? - zapytał srogo naczelnik. Dzida wieśniaka trąciła Minamiego w twarz. - Dość tego. Macie powiedzieć, że nie widzieliście niczego i że nikt was nie porzucił.

Z ust Minamiego powoli sączyła się krew. Jego pobladłą twarz wykrzywił grymas spokojnej, obojętnej pogardy. Wstał, odsuwając dzidę, która jeszcze raz zawisała mu przed nosem. Odwrócił się ode mnie i idąc w stronę reszty kolegów, powiedział:

- Co widziałem, to widziałem. Całkiem było fajnie, jak nas tu zostawili. Nie ma sprawy, mogę o tym nie mówić.

I z całych sił uderzył w plecy otaczających go chłopców, którzy wciąż trzęśli się, wbijając wzrok w ziemię.

- Li. - Triumfujący głos naczelnika rozlegał się w całym pomieszczeniu. - Chcesz ze mną zadrzeć?

Li popatrzył na niego, nieśmiało poruszył głową i jękając się, usiłował się tłumaczyć.

- Bo ja... - zaczął pokornie. - Zostałem w wiosce z nimi, żeby jej strzec. Najpierw chciałem uciec, ale potem uznałem, że lepiej będzie pilnować wioski. Nawet mieliśmy święto po polowaniu...

- No to co? - przerwał naczelnik. - Co? Co to ma do rzeczy?

- Bo... ja...

- Jeżeli mi się przeciwstawisz - powiedział naczelnik okrutnie, przestając go słuchać - to wiesz, co się stanie z twoją osadą? Możemy was wyrzucić w każdej chwili, choćby jutro.

Li milczał. Zobaczyłem poruszenie i niepokój na gładkich, bladych twarzach w drzwiach. Oni jednak też milczeli.

- Policjant mówił mi, że dezterter pewnie ukrywał się w osadzie koreańskiej. Jeżeli to prawda, to wszystkich jej mieszkańców można wtrącić do więzienia. A bez naszej pomocy z niego nie wyjdziecie. Rozumiesz czy nie?

Li zdjął dłoń z mojego kolana. Potem nagle wstał i wyszedł na zewnątrz, z pochyloną głową przepychając się przez tłum wieśniaków. Z gardła wydobył mu się szloch. Wściekły i zrozpaczony patrzyłem, jak ludzie z jego osady odchodzą wraz z nim, a ich miejsce zajmują wieśniacy.

Teraz zostałem tylko ja. Naczelnik powoli odwrócił się do mnie i spojrzał mi w oczy. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- No, a ty? - zapytał. - Będziesz się sam narażał? O takie głupstwo? Przecież to bez znaczenia. No i co z tego, że wieśniaków nie było tu przez parę dni? To wy narozrabialiście. Ale, jak mówiłem, jesteśmy skłonni wam darować.

Uparcie milczałem. Wieśniacy świdrowali mnie wzrokiem na wylot. Kobiety wniosły kulki ryżowe na wielkich talerzach i zupę w żelaznym kociołku. Moi koledzy dostali ryż i po misce zupy. Zaczęli jeść. Było to niewątpliwie prawdziwe jedzenie, zdrowy posiłek porządnych ludzi, taki, jakiego nie dostaliśmy ani razu w poprawczaku, podczas ewakuacji i podczas pobytu w wiosce. Był to ryż gotowany przez kobiety żyjące na wolności na polach, łąkach czy w miastach. I zupa, którą najpierw kosztowały zwykle gospodynie. Nie były to zimne, mechanicznie, bez czułości wydzielane porcje, to był posiłek jak w normalnym życiu. Koledzy pochłaniali go, odwróceniem do mnie plecami. Było im wstyd, ale i ja wstydzilem się śliny napływającej mi do ust, skurczów żołądka i głodu, od którego krew niemal krzepła mi w całym ciele.

Gdy naczelnik podszedł do mnie w milczeniu i podsunął mi pod sam nos talerz kulek ryżowych i miskę z zupą, coś, zapewne właśnie ten wstyd, kazało mej drżącej ręce wytrącić mu to wszystko z dłoni. Chwycił mnie i aż zawarczał. Jego wydęte wargi drżały.

- Nie stawiaj się! - krzyknął. - Nie stawiaj się. Za kogo ty się masz? Przecież ty nawet nie jesteś człowiekiem. Wy tylko mnożycie się jak robactwo. I tak nic z ciebie nie będzie, kiedy dorośniesz.

Chwycił mnie za koszulę i omal mnie nie udusił. Ciężko dyszał z wściekłości.

- Słuchaj no. Takich jak ty trzeba zabijać w kołysce. My na wsi umiemy wrywać chwasty, zanim się rozwiną.

Był blady, pot spływał mu po ogorzałej skórze, trząsł się jak w febrze. Pluł śliną i wstrętnym oddechem zepsutych zębów na całą moją twarz. I drżał. Pomyślałem, że wreszcie udało mi się go wystraszyć, ale zamiast dumy sam poczułem jeszcze większy lęk.

- Słuchaj no - zawołał. - Możemy nawet zepchnąć cię w przepaść. Nic nam za to nie zrobią. - Pokręcił pokrytą krótkimi, siwymi włosami głową i wrzasnął w furii: - Ej, wy tam, który z was powie policjantowi, jeżeli go zatłukę na śmierć?

Koledzy milczeli, zastraszeni. Odchyliłem się do tyłu, wciskając szyję w ramiona. Zdradzili mnie. Wszyscy.

- No, dotarło? Dotarło wreszcie?

Zamknąłem oczy i skinąłem głową. Poczulem na rzęsach gorzkie łzy. Zrozumiałem, że zostałem sam w największej biedzie. Dusząca mnie dłoń poluźniła uścisk. Kilka razy odetchnąłem, odkaslnąłem, uspokoilem się. Nie chciałem, by koledzy, którzy mnie zdradzili, zobaczyli tych parę łez, które, drżąc, zawisły na suchej skórze pod oczami.

- No, jedz - powiedział naczelnik.

Odmówiłem ze spuszczoną głową. Otoczył mnie ramieniem i spojrzał na mnie. Potem wyprostował się, podszedł do kowala i coś powiedział mu szeptem. Ktoś rzucił mi pod nogi mój tobołek.

- Wstawaj - powiedział naczelnik.

Wstałem, zarzucając tobołek na ramię. Otoczyli mnie wielcy, zwaliści, opaleni mężczyźni. Był wśród nich kowal. Przepchnęli mnie przez tłum wieśniaków na plac pod szkołą. Musiałem długo stać i czekać. Wieśniacy nie przestawali mi się przypatrywać. Trząsałem się z zimna. Było ciemno, śnieg już zamarzł.

Po jakimś czasie naczelnik wyłonił się z komórki. Szedł szybko, stawiając długie kroki. Czekałem na niego w napięciu.

- Ej, ty tam - odezwał się. - Ej, ty tam. Zatrząsałem się, przeczuwając najgorsze.

- Moglibyśmy cię zabić, ale pozwolimy ci żyć - powiedział jednym tchem i spojrzał na mnie oczyma, w których tlił się nikły ogień. - Jeszcze dziś w nocy opuścisz wioskę i odejdziesz jak najdalej stąd. Pamiętaj, że jeśli pójdziesz na policję, nikt nie poświadczy, że mówisz prawdę. Nie zapominaj też, że za ucieczkę zostaniesz ukarany.

Nie rozumiałem go do końca. I nie wierzyłem mu. Ale potaknąłem, zagryzając wargi. Ruszyłem drogą, porwany pod rękę przez kowala i jeszcze jednego wieśniaka. W milczeniu dotarliśmy na skraj doliny.

By zwolnić hamulec kolejki, jeden z nich musiał stać przy mechanizmie, dopóki wagonik nie ruszy. Najpierw więc wraz z kowalem skuliliśmy się na dnie kołyski, stykając się kolanami w posępnej, nieludzkiej ciszy. Potem, gdy tylko mechanizm

zaczął się obracać, również ten drugi podbiegł do nas bezgłośnie po podkładach i wskoczył do środka.

Siadając, przypadkiem nadepnął ośnieżonymi butami na moje bose stopy, aż krzyknąłem z bólu. Obaj mężczyźni zmienili się w nocne zwierzęta, milczące, drżące ze strachu, i nie zwracali uwagi na moje jęki. Dręczony zgrzytem metalowej liny, wcisnąłem brudne palce w usta i poczułem na języku smak śniegu, błota i krwi.

A więc wygnano mnie z miejsca bez wyjścia, w którym mnie przedtem uwięziono. Ale gdzie indziej też będę jak w więzieniu. I nigdy nie uda mi się uciec. Wszędzie czekają cierpliwie silne palce i potężne ręce, by wycisnąć ze mnie życie, zadusić na śmierć.

Gdy wagonik zatrzymał się, kowal wysiadł, wciąż trzymając w ręku swoją broń, a ja wysiadłem za nim. Nagle zaatakował mnie, obnażając zęby. Upadłem na ziemię. Żelazny pręt kowala przeleciał mi nad głową, drasnął mnie w kark i trafił w próżnię. Nim jeszcze raz się zamierzył, zerwałem się i jak szalony popędziłem pod górę, w mroczny zagajnik. Biegłem między ciemnymi drzewami, liście biły mnie po twarzy, pnącza oplątywały nogi, z przeciętej skóry tryskała krew. Wreszcie wyczerpany upadłem w pokryte śniegiem paprocie. Mogłem już tylko podciągnąć się na łokciach i trzeć gardłem o zimne, mokre krzaki, by powstrzymać szloch. Ale szloch ciągle dobywał się z moich ubłoconych ust, niósł się w ciemnym, wilgotnym powietrzu i w każdej chwili mógł zdradzić moją kryjówkę tym, którzy krążyli wokół, szukając mnie gorączkowo, i innym wieśniakom, których pewnie zwabi tu niebawem żądza krwi. By jakoś stłumić szloch, zacząłem ziajać przez otwarte usta jak pies. Wpatrywałem się w ciemną noc, spodziewając się napaści, i gotowy do walki, ścisnąłem w zdrętwiałych dłoniach kamienne grudy.

Ale nie miałem pojęcia, gdzie potem pędzić po lesie w noc, jak uciec przed zwierzęcą brutalnością wieśniaków, jak się ratować. Nie wiedziałem nawet, czy mam jeszcze dość sił, by uciekać. Byłem tylko dzieckiem - zmęczonym, opętańczo gniewnym, zapłakany, trzęsącym się z głodu i zimna dzieckiem. Nagle powiał wiatr, przynosząc bliski już odgłos kroków - wieśniacy zachodzili mnie z dwóch stron. Wstałem, zacisnąłem zęby i rzuciłem się w głębszy mrok, między drzewa i ciemniejsze zarośla.